

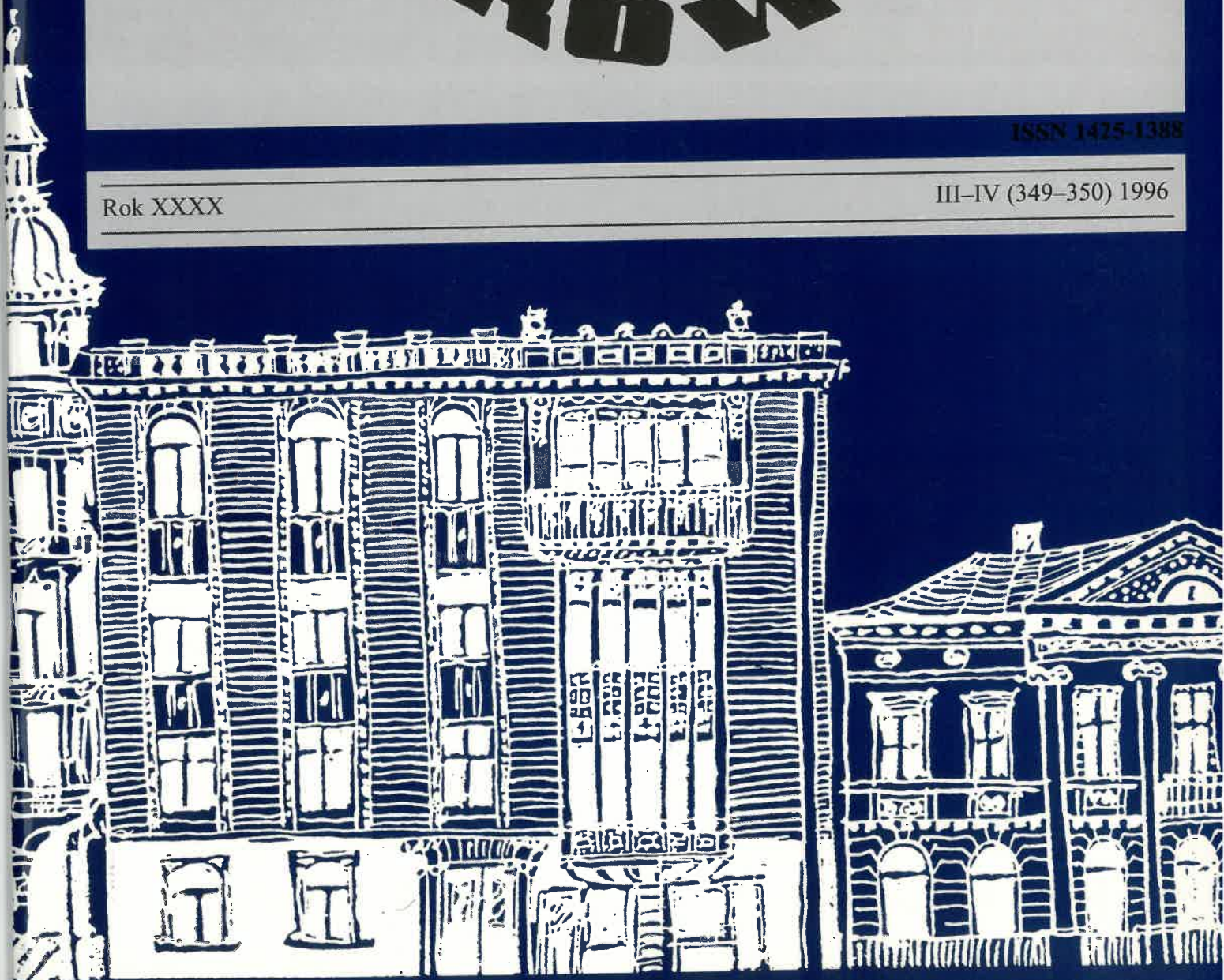
Biuletyn Krajoznawczy RPK PTTK w Łodzi

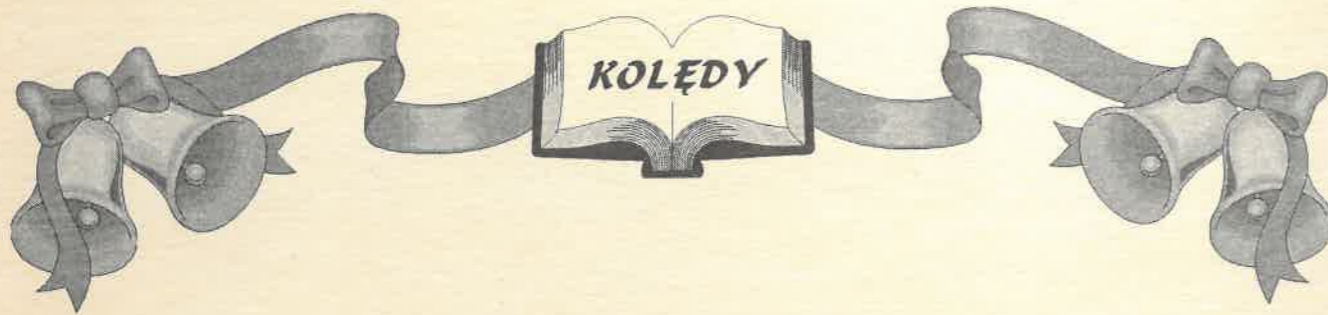


ISSN 1425-1388

Rok XXXX

III-IV (349-350) 1996





Pójdźmy wszyscy do stajenki...

Pójdźmy wszyscy do stajenki,
Do Jezusa i Panienki!
Powitajmy Małeńkiego
I Maryję, Matkę Jego.

Witaj, Jezu ukochany,
Od Patryjarchów czekany,
Od Proroków ogłoszony,
Od narodów upragniony.

Witaj, Dziecineczko w żłobie,
Wyznajemy Boga w Tobie
Coś się narodził tej nocy,
Byś nas wyrwał z czarta mocy.

Witaj, Jezu nam zjawiony;
Witaj, dwakroć narodzony –
Raz z Ojca przed wieków wiekiem,
A teraz z Matki człowiekiem.

Któż to słyszał takie dziwy?
Tyś człowiek i Bóg prawdziwy;
Ty łączysz w Boskiej Osobie
Dwie natury różne sobie.

Tyś świat stworzył, a świat Ciebie
Nie poznał, mając wśród siebie.
Idziesz dla jego zbawienia,
On Ci odmawia schronienia.

Za to u świata ubogich,
Ale w oczach Twoich drogich
Pastuszków, którzy czuwali,
Wzywasz, by Cię przywitali.

O, szczęśliwi pastuszkowie,
Któż radość waszą wypowie?
Czego ojcowie żądali,
Wyście pierwsi oglądali.

Obietnica w raju dana
Dziś została wykonana.
Boże! Jakżeś miłosierny,
W darach hojny, w słowach wierny.

Takżeś świat ten umiłował,
Iżes Syna nie żałował,
Zesłałeś Go na cierpienia
Od samego narodzenia.

O, Jezu, nasze kochanie,
Czemu nad niebios mieszkanie
Przedkładaś nędzę, ubóstwo
I wyniszczasz Swoje Bóstwo?

Miłości to Twoje dzieło,
Z miłości początek wzięło.
Byś nas zrównał z aniołami,
Poniżasz się między nami.

Spraw to, Jezu, Boskie Dziecię,
Niech Cię Kochamy nad życie,
Niech miłością odwiedzamy
Miłość, której doznawamy.

Święta Panno, Twa przyczyna
Niech nam wyjedna u Syna,
By to Jego narodzenie
Zapewniło nam zbawienie.



Pójdźmy wszy-scy do sta-jen-ki, Po-wi-taj-my
Do Je-zu-sa i Pa-nien-ki



Ma-leń-kie-go i Ma-ry-ję, Ma-tkę Je-go, Ma-tkę Je-go.



Z prac Regionalnej Pracowni Krajoznawczej PTTK w Łodzi: Anna Pilarska – Nasze 40-lecie	3
Z Archiwum Towarzystwa: Przedruk sprawozdania z prac Oddziału PTK w Łodzi w 1916 r.	8
Adam Chyżewski – Polskie Towarzystwo Krajoznawcze – geneza, historia, dziedzictwo	10
Grażyna Kobojeck – Polska YMCA w Łodzi.....	16
Tadeusz Maćkowiak – Grób Nieznanego Żołnierza w Łodzi	18
Stanisław Bulkiewicz – Papierowe bony łódzkie	20
Zbigniew Lipowski – Z życia muzycznego Łodzi schyłku XIX wieku	26
Janusz Kozłowski – Tyfus, gruźlica i Mozart	29
Mirosław Pietrzak – Rogi – osada na skraju lasu	32
Mirosław Pietrzak – Spotkania z zabytkiem – późnogotyckie arcydzieło	37
Bohdan Olszewski – „... śni mi się jakiś domek biały”	42
Wacław Jaroniewski – Życie w rodzinnej wsi i miejscowe zwyczaje, cz. II	44
Zbigniew Wilk – Jubileusz łódzkiego „Albatrosa”	48
Anna Dąbrowska – Zwyczaje świąt Bożego Narodzenia	50
Andrzej Danowski – Kącik Społecznego Opiekuna Zabytków	52
Wacław Jaroniewski – Rośliny lecznicze w magii i czarach. Dziurawiec zwyczajny	54
Celina Jaworska-Maćkowiak – Na szlaku ... śladami W. Reymonta i „Kamieni na szaniec” ..	56
Celina Jaworska-Maćkowiak – Trasa dla początkujących: Gospodarz – Rzgów – Konstanytna – Józefów – Łódź (ul. Rzgowska – Stawy Jana) 10 km	58
Daniela Kaszczyk-Grodzicka – Indie – kraj kontrastów, cz. II	60
Anna Pilarska – Viva Espania	63

*

Bieżący numer biuletynu PTTK „Wędrownik” wydano z pomocą finansową Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi.

*

Biuletyn RPK PTTK w Łodzi „Wędrownik” wydaje Regionalna Pracownia Krajoznawcza PTTK w Łodzi, ul. Wigury 12a, tel. 36-40-10, fax 36-43-70.

*

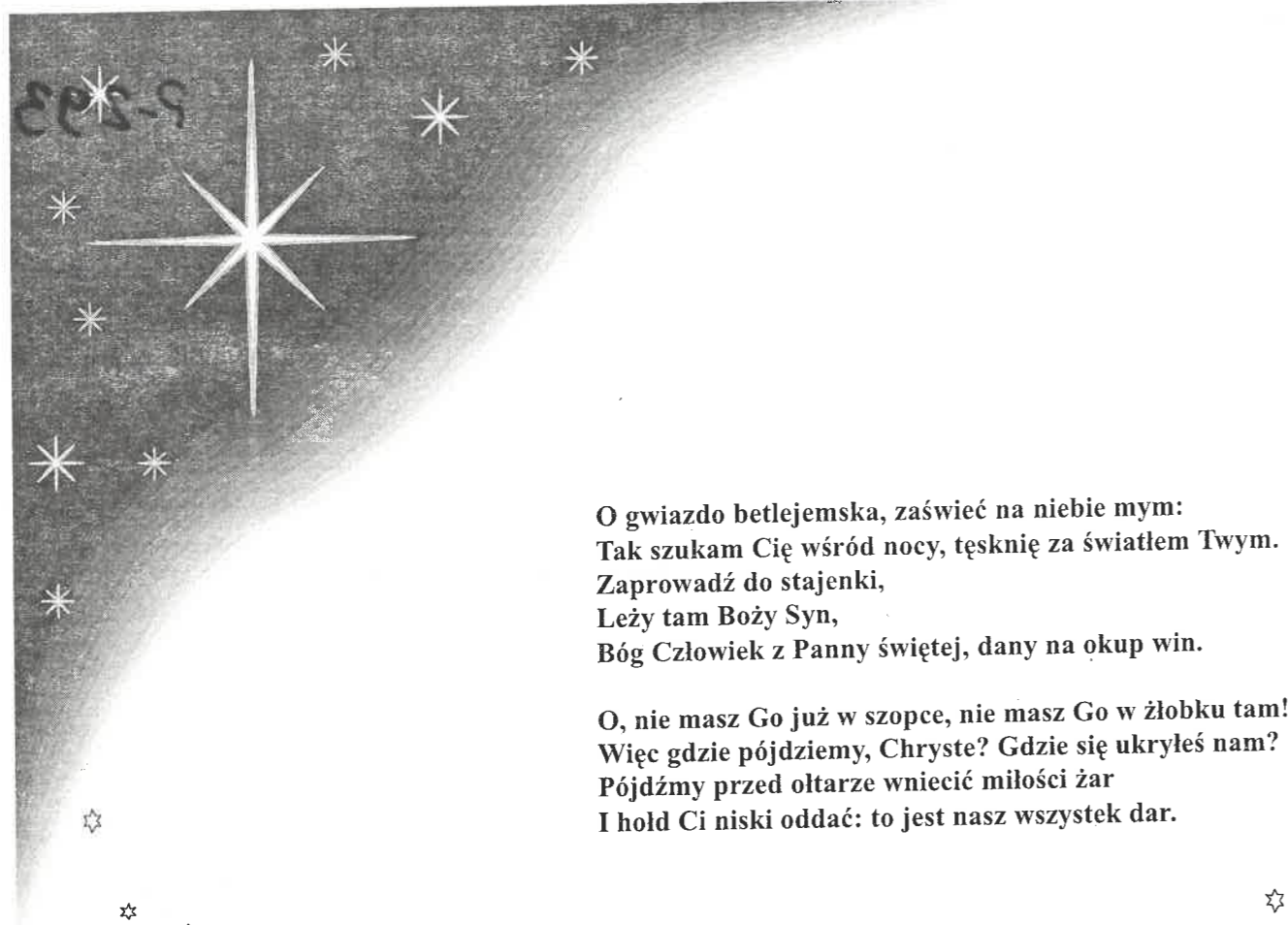
Biuletyn można kupić w siedzibie wydawcy – adres jak wyżej.

*

Redaguje Komitet w składzie: Bohdan Bazyliński, Adam Chyżewski, Anna Dąbrowska, Zbigniew Lipowski, Anna Pilarska (redaktor naczelny).

*

Numer zamknięto w październiku 1996 r.



O gwiazdo betlejemska, zaświeć na niebie mym:
Tak szukam Cię wśród nocy, tęsknię za światłem Twym.
Zaprowadź do stajenki,
Leży tam Boży Syn,
Bóg Człowiek z Panny świętej, dany na okup win.

O, nie masz Go już w szopce, nie masz Go w żłobku tam!
Więc gdzie pójdziemy, Chryste? Gdzie się ukryłeś nam?
Pójdźmy przed ołtarze wnieść miłości żar
I hołd Ci niski oddać: to jest nasz wszystek dar.

Radosnych świąt Bożego Narodzenia
wszystkim naszym Czytelnikom życzy

Redakcja



Z Prac Regionalnej Pracowni Krajoznawczej PTTK w Łodzi

ANNA PILARSKA

Nasze 40-lecie

9 października 1996 r. we wspólnych, reprezentacyjnych wnętrzach Muzeum Historii Miasta Łodzi w Pałacu Poznańskich odbyło się spotkanie redakcji „Wędrownika” z miłymi Gośćmi z okazji 40-lecia istnienia czasopisma.

jęwódzkiego, przedstawiciele Zarządu Głównego PTTK: kol. Adam Chyżewski – prezes ZGPTTK – nasz kolega z redakcji, kol. Anna Kulińska – sekretarz ZG PTTK, kol. Wanda Skowron – dyrektor Centralnej Biblioteki PTTK im. K. Kulwiecia, pani Kry-



Zespół Redakcji biuletynu RPK PTTK w Łodzi „Wędrownik”

Od lewej: A. Pilarska, A. Dąbrowska, Z. Lipowski, A. Chyżewski, B. Bazyliński

fot. A. Danowski

Obecnością swoją zaszczytili nas przedstawiciele władz wojewódzkich: pan Marian Łabędzki – wice-wojewoda łódzki, pan Andrzej Sonntag – wicedyrektor Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego, pan Lech Leszczyński – były dyrektor Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wo-

styna Bobrowska – prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, ksiądz Józef Janiec – dyrektor Archidiecezjalnego Wydawnictwa Łódzkiego i pani Barbara Libi-szowska – redaktor tegoż Wydawnictwa.

Nasze zaproszenie przyjęli autorzy i czytelnicy „Wędrownika”, dziennikarze prasy, radia i telewizji,

przyjaciele i sympatycy. Za wyjątkową życzliwość, fachowość, rzetelność i pomoc okazaną podczas drukowania kolejnych numerów „Wędrownika” Zarząd Główny PTTK przyznał Archidiecezjalnemu Wydawnictwu Łódzkiemu Medal „Za Pomoc i Współpracę”.

Po przedstawieniu historii biuletynu, jego zadań i tematyki przez Annę Pilarską – redaktora naczelnego „Wędrownika”, Goście złożyli redakcji wiele serdecznych i miłych życzeń. Pan wicewojewoda Marian Łabędzki wręczył redakcji medal i dyplom Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi, a kol. Wanda Skowron dyplom ZG PTTK.

Po bardzo ciepłych, życzliwych ocenach tego najstarszego polskiego wydawnictwa turystyczno-krajoznawczego wszyscy obejrzeli dwa piękne zestawy przezroczycy z podkładem muzycznym „Zachody słoń-

ca” i „Kwiaty i owady” Bohdana Bazylińskiego, redaktora „Wędrownika”.

Dzięki sponsorom: „Centermarketowi” Handlowej Spółdzielni Spożywców „Społem” w Łodzi i Firmie Handlowej S.C. Czesław Wojtalak, Krzysztof Wojciechowski, redakcja mogła zaprosić swoich Gości do sali balowej Muzeum na mniej oficjalną część spotkania przy owocach, słodyczach i sokach.

Uroczysty charakter spotkania efektownie podkreślały dekoracje kwiatowe od pań Jadwigi i Elżbiety Dziomdziora.

Sympatyczne słowa podczas spotkania i liczne miłe telefony po uroczystości przekonały redakcję, że wieczór jubileuszowy był świętem Autorów i Czytelników „Wędrownika”. Wieczór ten udowodnił redakcji, że „Wędrownik” jest lubiany, oczekiwany i ma duże grono prawdziwych przyjaciół.



Władze województwa

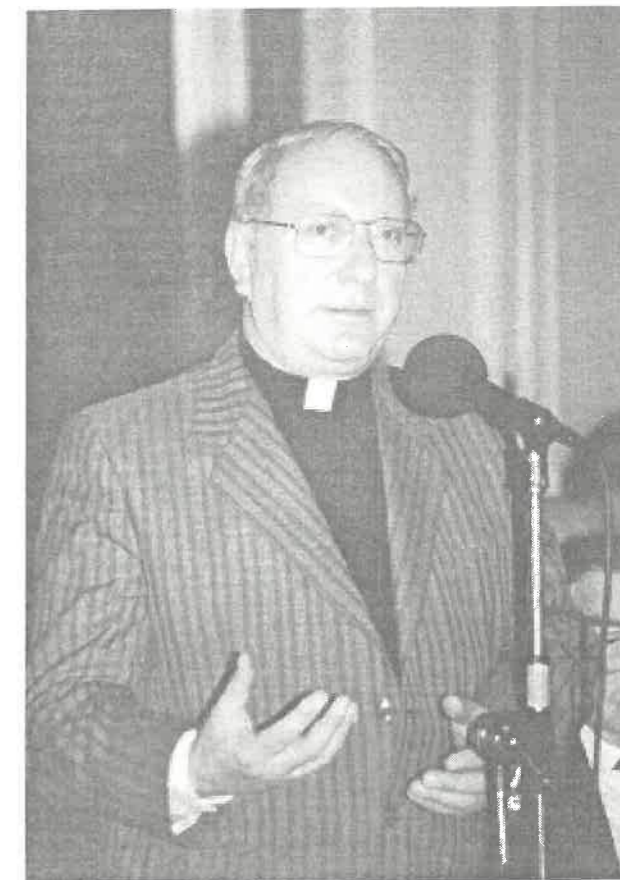
od lewej: A. Sontag – wicedyrektor Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki UW w Łodzi, M. Łabędzki – wicewojewoda łódzki, L. Leszczyński – wieloletni były dyrektor Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki UW w Łodzi

fot. A. Danowski



Koleżanka Celina Jaworska-Mačkowiak
– autorka licznych artykułów biuletynu

fot. A. Danowski



Ksiądz Jerzy Spychała
– autor licznych artykułów biuletynu

fot. A. Danowski



Wśród gości przedstawiciele Archidiecezjalnego Wydawnictwa Łódzkiego – ks. Józef Janiec, M. Barbara Libiszowska

fot. A. Danowski



Jubileuszowi goście w sali balowej Muzeum Historii Miasta Łodzi

fot. A. Danowski

Listy gratulacyjne



Urząd Wojewódzki w Łodzi

Z okazji jubileuszu 40-lecia "Wędrownika" składam na Pani ręce serdeczne gratulacje i podziękowania dla całej Redakcji Biuletynu za dotychczasową działalność.

Wyraży szacunku i uznania kieruję do Państwa za aktywność i wkład w rozwój wydawnictwa, które nieprzerwanie utrzymuje się na rynku, upowszechniając walory naszego miasta i świata.

Z przekonaniem twierdzą, że tematyka artykułów umieszczanych w Biuletynie znacząco wpływa na kształtowanie świadomości turystycznej, rozwój intelektualny i duchowy naszego społeczeństwa.

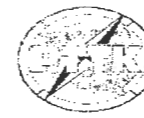
Życząc Państwu wiele satysfakcji osobistych i następnych lat owocnej pracy, wyrażam nadzieję, że "Wędrownik" będzie cieszył się wzrastającą popularnością i zyskiwał coraz większą rzeszę czytelników.

Łódź, dn. 9 października 1996 r.

Pani
Anna Pilarska
Redaktor Naczelny
Biuletynu PTTK
"Wędrownik"

Wicewojewoda Łódzki


Marian Łabędzki



Polskie Towarzystwo
Turystyczno-Krajoznawcze
Zarząd Główny

1924-1996
100 LAT
PTTK

Warszawa, 9. października 1996 r.

Drodzy Przyjaciele!

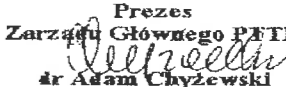
Dzień Jubileuszu Czterdziestolecia „Wędrownika” pozwala na refleksję obejmującą naszą działalność - naszą pracę. Przez dziesięciolecia, jak sformułował to Stanisław Thugutt, nie pozwalaliśmy zasnąć duszy narodu, teraz nieustannie budujemy wspólny mianownik dla społeczeństwa zranionego i podzielonego. - Tym wspólnym mianownikiem jest Polska-Ojczyzna wszystkich obywateli bez względu na wyznawany światopogląd, narodowość, wykształcenie, kondycję zawodową... „Wędrownik”, a więc ludzie skupieni wokół czasopisma mają w tej mierze ogromne zasługi. Prowadzili i prowadzą pismo szanujące i propagujące regionalizm, ale nie zamykające się jedynie w problematyce regionalnej. Krajoznawstwo stało się dla nich kluczem do badania i rozumienia tego skrawka Ziemi, któremu na imię POLSKA.

W czasach przelomu niewiele periodyków może poszczycić się nieprzerwaną działalnością czterech dziesięcioleci. Fakt ten jest legitymacją autentycznego zapotrzebowania na tego typu czasopismo.

Dziś, z dumą oglądając się w przeszłość, życzymy „Wędrownikowi” pięknej, mądrej przyszłości w służbie idei Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Sekretarz Generalny
Zarządu Głównego PTTK

mgr Wojciech Redziej

Prezes
Zarządu Głównego PTTK

dr Adam Chyżewski

DZIENNIK
ŁÓDŹ

22 X 1996

Turyści znad Łódki

Mija 40 lat, odkąd łódzcy turyści-członkowie PTTK wydają „Wędrownika”, najstarsze pismo turystyczno-krajoznawcze w Polsce. Początkowo pisane było na maszynie i odbijane na powielaczu. Dziś wychodzi w nowoczesnej szacie graficznej, korzystając z dotacji Zarządu Głównego PTTK i władz lokalnych. Zmienił się zespół redakcyjny, rozszerzał się wachlarz tematów.

wania historii i osobliwości miasta. Kontynuowali w ten sposób idee Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, które w czasie zaborów propagowało piesze wędrówki po Łodzi i okolicach. Chodziło o to, żeby zainteresować ludzi kulturą ich własnego regionu i zapobiec wynarodowieniu. Pierwsze wycieczki po Łodzi wzbudziły wielkie zaciekawienie - pisał Bronisław Szwałb, działacz PTK i PTTK. - Widziałem nie-

i okolicą, regionalną florę i faunę, zwyczaje i obyczaje. Drukują mapki i opisy tras. Niektóre propozycje adresują do młodzieży: relacjonowali wszystkie Przeglądy Piosenki Turystycznej YAPA, publikowali teksty piosenek i chwytły gitarowe.

Z myślą o młodzieży pismo prowadzi swoistą politykę wychowawczą, propagując hasła ekologiczne i kulturę na szlaku. Nawołując do indywidualnych spacerów, głosi też

Radość pisania

- *Piszemy z potrzeby serca* - mówi **Anna Pilarska**, redaktor naczelna „Wędrownika”. - *Nie jesteśmy, i nigdy nie byliśmy, redakcją etatową. W naszym zespole są ludzie różnych zawodów. Lubimy turystykę i pisanie.*

W ciągu 40 lat przez łamy „Wędrownika” przewinęło się kilkaset nazwisk. Pisali literaci, dziennikarze, pracownicy naukowcy, nauczyciele. Przesyłali teksty turyści, którzy pragnęli podzielić się wiedzą, wrażeniami, obserwacjami. W „Wędrowniku” było miejsce dla każdego, kto znalazł coś interesującego do przekazania innym ludziom z turystycznego szlaku.

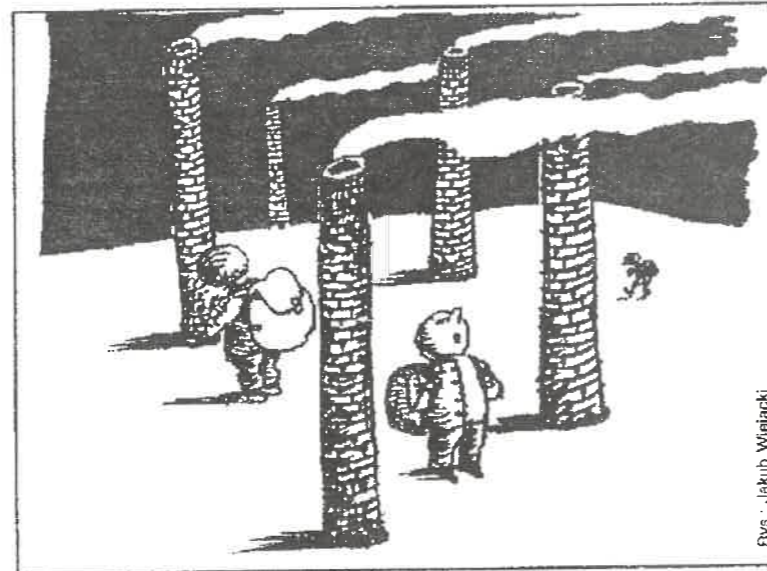
- *Dzięki takim pismom jak „Wędrownik” niektórzy ludzie mogą realizować swoje marzenia o pisaniu* - mówi **Anna Pilarska**, która przyznaje się, że sama kiedyś marzyła o dziennikarstwie (z zawodu jest muzealnikiem). Jej współpracownik, **Zbigniew Lipowski**, dołączył do zespołu po obronie pracy magisterskiej na geografii, a pisał w niej... o „Wędrowniku”, jego roli w propagowaniu turystyki. W stałej ekipie są jeszcze: **Anna Dąbrowska**, szefowa łódzkiej pracowni krajoznawczej PTTK i **Adam Chyżewski**, pracownik naukowy. Z zespołem od lat współpracuje fotografik **Bohdan Bazylewski**. I to już cała redakcja; łatwo odgadnąć, że w piśmie zostaje wiele miejsca dla osób z zewnątrz.

Może dlatego „Wędrownik” zachował żywotność przez tyle lat.

Spacerkiem po Łodzi

Autorzy „Wędrownika” namawiali do spacerów po Łodzi, do pozna-

raz uczestniczących w nich robotników, którzy przyłączali się do wy-
zalety turystyki zorganizowanej.
- *Turystyki jako takiej nie trzeba*



Rys. - Jakub Wlejański

cieczek, aby tylko usłyszeć żywe słowo o pamiątkach przeszłości.

Po II wojnie światowej zmieniły się formy uprawiania turystyki. Po Łodzi chodzą jednak nadal wycieczki prowadzone przez przewodników PTTK, a idea propagowania miasta i regionu przyświeca wielu towarzystwom i instytucjom.

Bez wątpienia Łódź - jak każde miejsce na Ziemi - ma swoje uroki. Czy jednak można pisać o nich przez 40 lat?

- *Z czasem wyczerpuje się lista łódzkich tematów* - przyznaje **Anna Pilarska**. - *Są jednak nowe inicjatywy związane z miastem, które warto omówić na naszych łamach.*

Na szlaku

Oprócz ciekawych obiektów, autorzy „Wędrownika” opisują wybitnych ludzi związanych z Łodzią

już propagować - twierdzi **Zbigniew Lipowski**. - *Ludzie przekonali się do tego sposobu spędzania czasu. Warto jednak przypominać niektóre zasady.*

Pismo przekroczyło ostatnio nie tylko miejskie rogatki, ale i granice państwa. Przeczytamy w nim o zagranicznych wycieczkach.

- *Ale nie wysyłamy w delegacje służbowe* - zastrzega **Anna Pilarska**. - *Nasi autorzy jeżdżą za własne pieniądze, czy to po kraju, czy za granicę.*

Pismo ukazuje się tylko dzięki dotacjom i tylko po dwa podwójne numery w ciągu roku. Egzemplarz jubileuszowy na 40-lecie to numery 347 i 348. Podobnie jak inne wydania „Wędrownika”, można je kupić w siedzibie Regionalnej Pracowni Krajoznawczej PTTK w Łodzi, przy ul. Wigury 12a.

BEATA OSTOJSKA

Z Archiwum Towarzystwa

PRZEDRUK SPRAWOZDANIA Z PRAC ODDZIAŁU PTK W ŁODZI W 1916 R.

ODDZIAŁ ŁÓDZKI

Adres: Łódź, ul. Piotrkowska 91.

Skład Zarządu w końcu 1916 r.: Jan Czeraszewicz - prezes; Franciszek Lenartowicz - wiceprezes, Bronisław Jasiński - wiceprezes i skarbnik, Małgorzata Szmidtówna - sekretarz, Arkadiusz Juskiewicz - gospodarz, Józef Adamowicz, Konrad Fiedler, Zofia Jarzębowska i Czesław Świerczewski - człon-

kowie Zarządu, Stanisław Przeździecki, Witosław Borowski i Walenty Byczkowski - zastępcy czł. Zarz.

Pp. Witosław Borowski i Walenty Byczkowski weszli do składu Zarządu wobec śmierci długoletniego sekretarza, ś.p. Franciszka Wróblewskiego, oraz z powodu wyjazdu z Łodzi p. Jadwigi Cissowskiej.

Zarząd odbył w roku sprawozdawczym 17 posiedzeń.

Delegatami Zarządu do poszczególnych Sekcji Oddziału byli pp.: do Sekcji Muzealnej - Czesław Świer-

czewski; Dochodów niestałych - Arkadiusz Juskiewicz; Wycieczkowej - Konrad Fiedler; Bibliotecznej - Franciszek Lenartowicz; Fotograficznej - Konrad Fiedler; Odczytowej - Franciszek Lenartowicz.

Skład Komisji Rewizyjnej: Juljusz Jarzębowski, Apoloniusz Szymański i Stanisław Zieliński.

Ilość członków. Było w roku 1915 - 350, ubywało 73 z powodu wyjazdu, zalegania w opłacie składek itd., pozostało 277, przybyło 85 - pozostaje 373.

Podsekcja Biblioteczna. Bibliotekarz F. Masłowicz. Księgozbiór zawierał 261 dzieł i broszur w 446 tomach, przybyło dzieł i broszur 12 w 15 tomach, razem jest 273 dzieł w 461 tomach.

Sekcja Dochodów Niestałych. Przewodniczący A. Juskiewicz, zastępca G. Binekówna, sekretarka W. Rotherówna i 19 członków Zarządu. Zebrań towarzyskich wtorkowych z programem artystycznym odbyło się 17, przy udziale 1110 osób. Oprócz produkcji artystycznych ogłoszono 9 referatów.

Wielką pomoc w organizowaniu naszych zebrań wtorkowych jest pianino, nabyte z funduszków, pożyczonych przez grupę członków. W miarę wpływów Sekcja amortyzuje tę pożyczkę drogą wylosowywania udziałów. Dotychczas splecono 105 rb. Pianino nabyto za 400 rb.

Sprawozdanie kasowe. Wpływy rb. 428 kop. 97; wydatki rb. 290 k. 67; spłata pianina rb. 105, Saldo rb. 33 kop. 30.

Sekcja Fotograficzna. Przewodniczący W. Borowski, sekretarka W. Rothnerówna i 4 członków Zarządu.

Uzupełniono zbiór przezroczy do ogólnej ilości 341, Sekcja sporządza katalog zbioru fotografii, stanowiących własność Oddziału. Zbiór ten obejmuje około 800 odbitek.

Sekcja Muzealna * Przewodniczący Cz. Świerczewski, sekretarz Ign. Hirszel, kustoszka Z. Jarzębowska i 6 członków Zarządu.

Zbiory nie tylko ucierpiały w czasie wojny, lecz przeciwnie, wzbogaciły się o 676 numerów. Prace Sekcji podzielono na następujące działy: przemysłowy, przyrodniczy, statystyczny, kartograficzny, metalurgiczny, rzemieślniczy i wojenny.

Szczególną uwagę zwrócić należy na podsekcję statystyczną, która opracowała projekt wydawnictwa **Monografii Łodzi** i zbiera w tej sprawie dokumenty i materiały. Plan Monografii zawiera 15 działów, do opracowania których zaproszono szereg wybitnych znawców Łodzi. Muzeum krajoznawcze to obraz całego miasta i okolic, wszyscy więc członkowie Oddziału muszą współdziałać w tej ważnej pracy i dokładać cegiełki do gmachu ogólnej potrzeby i ogólnego dobra.

Potrzeba nam wszystkiego, bo i ludzi i lokalu i pieniędzy, a choć nam brak wszystkiego, ani na chwilę nie

wątpimy, że wszystko przy energii i woli znaleźć się musi, a poczynania nasze z czasem świetnie uwieńczą rezultaty.

Sekcja Odczytowa. Zarząd: - Fr. Lenartowicz, K. Fiedler i Fr. Hirszberg.

Sekcja odczytowa zalicza r.b. do wyjątkowo pomyslnych, gdyż odbyło się 10 odczytów i wszystkie ogłoszone były przez siły miejscowe, gdyż z powodu utrudnionej komunikacji nie mogliśmy korzystać z prelegentów zamiejscowych.

Na zebraniach bywało przeciętnie po 54 osoby. Podsekcja popularyzacji krajoznawstwa urządziła 9 pogadanek dla dzieci szkół średnich od 8 do 12 lat. Na pogadankach bywało przeciętnie po 81 dzieci.

Sekcja Wycieczkowa. Przewodniczący K. Fiedler, sekretarka - M. Szmidtówna i 13 członków Zarządu. Zorganizowano 10 wycieczek przy udziale 308 osób. Na szczególną uwagę zasługuje 10-dniowa piesza wycieczka do Jezior Kujawskich, prowadzona przez prezesa Oddziału. Wycieczka w swojej podróży spotykała się - zarówno we wsiach, jak i w miastach - z dowodami szczerzej sympatyj dla P. Tow. Kraj., i była ze staropolską gościnnością przez wiele osób podejmowana, za co składa Zarząd Sekcji wszystkim tym osobom serdeczne podziękowanie.

Sprawozdanie kasowe.

Wpływy: Pozostałość z r. z. gotówka w kasie rb. 252.80; w Tow. Pożycz.-Oszcz. rb. 537.10 - razem 789.90. Wpisowe od nowych członków rb. 85.-; składki za r. 1916 rb. 674.25; skł. za lata ubiegłe rb. 423 k. 95; skł. na r. 1917 rb. 5.25; wpływy ze sprzedaży wyd. Centrali rb. 22.81; wpł. ze sprzed. wyd. obcych rb. 3.50; dochód z wycieczek rb. 44.58; z zebrań towarzyskich rb. 105.-; z pogadanek dla dzieci rb. 44.09; z zebrań miesięcznych rb. 34.30; za pren. „Ziemi” rb. 10.15; zwrotne: za żetony rb. 11.50; od Centrali za przyjęte na r-k Oddz. Ł. składki rb. 12.-; % od sumy lokowanej w Tow. Poż.-Oszcz. rb. 28.41 - razem rb. 1504 kop. 79. Ogółem wpływów rb. 2294 kop. 69.

Wydatki: Wynajem lokalu rb. 500.-; oświetlenie rb. 60.97; opał rb. 187.40; woźny i stróż domu rb. 34.-; wydatki na bibliotekę rb. 14.35; na Sekcję Muzealną rb. 160.90; na kupno pocztówek rb. 2.10; na kupno przezroczy rb. 23.-; drobne rb. 11.60; inkaso składek członk. rb. 25.50; za plany m. Łodzi zapł. rb. 4.50; odnowienie lokalu rb. 116.21; wydatki zwrotne: żetony rb. 12.50; na r-k pianina wypłacono rb. 105.- razem rb. 1258.03. Saldo gotowizna w kasie rb. 571.15; w Tow. Poż.-Oszcz. rb. 465.51 - razem rb. 1036.66. - Ogółem wydatków rb. 2294 kop. 69.

* Niezmiernie ciekawe Sprawozdanie Sekcji Muzealnej nie może być w całości pomieszczone, gdyż zmuszeni jesteśmy streszczać wszystkie sprawozdania dla braku miejsca. (Przyp. red.)

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze – geneza, historia, dziedzictwo

Sytuacja polityczna w zaborze rosyjskim uniemożliwiała aż do 1905 r. tworzenie polskich organizacji społecznych oprócz sportowych i dobroczynnych. Również „obcy nam z ducha i z treści kierunek szkół krajowych, zazdrosne i czujne oko administracyjno-policyjne, upatrujące we wszystkich poczynaniach organizacyjnych społeczeństwa »knowania polityczne«, a przynajmniej społeczeństwa »nieprawomyślność« w okresie poprzedzającym »konstytucję« rosyjską uniemożliwiała już nietylko wszelkie zabiegi w kierunku zapoznawania szerszego ogółu a przede wszystkim młodzieży z krajem ojczystym – ale wprost publiczne o tym kraju i otwarte przemawianie. [Wszystkie cytaty podawane są z zachowaniem pisowni oryginalnej.]

Wszelka wycieczka, chociażby złożona z trzech, czterech osób, stróżom bezpieczeństwa publicznego wydawała się podejrzana; aparat fotograficzny w rękę turysty był śledzony i prześladowany, niemal z taką samą stanowczością i zawziętością, jak przyrządy wybuchowe, używane przez anarchistów, wyprawy zaś lub wycieczki naukowe, podejmowane zbiorowo, były bezwzględnie wyłączone.

W tych warunkach zbiorowe zwiedzanie kraju, podejmowane przez nieliczne jednostki, odbywało się niejako ukradkiem” (K. Kulwiec).

Dotkliwą luką w tej dziedzinie próbowały zapełniać niektóre organizacje sportowe, jak np. powstałe w 1878 r. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie, a szczególnie o sześć lat późniejsze Warszawskie Towarzystwo Cyklistów. Atmosferę świątecznych wycieczek za miasto, które zawsze miały pewne cele poznawcze, można przeczytać w pismach członka WTC – Bolesława Prusa. Liczne opisy wycieczek można znaleźć w jego *Kronikach Tygodniowych*, a literacko przetwarzane motywy w opowiadaniach czy w wiejskim epizodzie w *Lalce*. Do WTC należeli w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku wybitni Polacy, jak choćby Henryk Sienkiewicz, Stefan Żeromski i Ignacy Paderewski. Towarzystwo było jak na ówczesne czasy dość liczne i w 1883 r. skupiało 900 członków.

Głównym propagatorem idei założenia organizacji, która nie zajmowałaby się działalnością sportową, a jedynie turystyczną i krajoznawczą, był w tym

czasie Aleksander Janowski. Jako urzędnik Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej korzystał z prawa do bezpłatnych przejazdów. Spędzał on większość wolnego czasu na wędrownkach, a ich ukoronowaniem były cztery tomy *Wycieczek po kraju*, wydane w latach 1898–1903. W późniejszej odznace Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego centralne miejsce zajmuje sylwetka ruin zamkowych w Ogrodzieńcu. W czasie wycieczki odbytej do Ogrodzieńca w 1885 r. miało miejsce opisanie przez Aleksandra Janowskiego zdarzenie, które stało się osią krystalizacyjną jego koncepcji krajoznawstwa polskiego. Pisał później:

„Miliony Polaków nie wiedziały, że jest Ogrodzieńciec. Miliony Polaków kraju swego nie zna, a powinny go znać, by tym goręcej go kochać. Przyjdą geolodzy, by badać skały krakowsko-wieluńskie, przyjdą historycy sztuki, by opracować architektoniczną wartość zabytku. Cześć im. Ale ja bym pragnął, żeby chłopcy ze wsi nie ciskali do celu kamieniami, druzgocąc kamienną nad bramą tablicę. A tę opiekę, a raczej to poczucie miłości i dumy można i trzeba wykrzesać w milionach, które muszą znać swój kraj”.

W latach następnych kształtowała się koncepcja ram organizacyjnych coraz powszechniejszego ruchu wycieczkowego. Aleksander Janowski akcją koordynował, a Aleksander Patek i Emil Schönfeld opracowali w 1904 r. projekt odpowiedniej „ustawy”, jak wówczas mówiono. Tak wspomina te lata Kazimierz Kulwiec, wiceprezes pierwszego Zarządu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

„Pierwsza ta próba jednakże, jak wszelkie inne, wobec trwającej presji władz, nie mogła wcielić się w życie.

Nie zrażając się pierwszym niepowodzeniem, wiosną r. 1904 sprawę ponownie ujął w swe ręce zamiłowany podróżnik i kierownik wycieczek, odbywanych od dawna z młodzieżą, p. Aleksander Janowski.

Jednakże zawierucha polityczna w latach 1904 i 1905 znowu wstrzymała ukonstytuowanie się naszego Towarzystwa.

W jesieni r. 1905 sprawą tą zajęli się sekretarz Komisji przyrodniczej Towarzystwa Ogrodniczego Kazimierz Kulwiec, wprowadzając ją kilkakrotnie na porządek dzienny obrad przyrodników warszawskich.

Komisja gorąco zajęła się przedstawionym jej projektem i uprosiła p. Aleksandra Janowskiego do opracowania ustawy w ostatecznej formie i przedstawienia jej Komisji na najbliższym posiedzeniu.

Uchwała ta, przyjęta przez Komisję, podlegała następnie dwukrotnej dyskusji na dwu zebraniach organizacyjnych i ostatecznie zatwierdzoną została na posiedzeniu osób, które się zapisały na założycieli, w d. 1 czerwca r. 1906.

W dniu tym obrano prowizoryczny Zarząd z 6-ciu osób, który podzielił czynności w ten sposób: Przewodniczący Zygmunt Gloger, wiceprezisi: Kazimierz Kulwiec i Karol Hoffman, skarbnik: Maksymilian Heilpern, sekretarz Aleksander Janowski i kustosz Kazimierz Czerwiński; do komisji rewizyjnej zaś powołano: p. p.: Konrada Olchowicza, Stanisława Magnusa i Józefa Włoskiewicza.

Zarządowi temu polecono wystąpić do władz ze staraniem o zalegalizowanie przyjętej ustawy.

W lipcu r. 1906 ustawa Towarzystwa była jednak przez warszawską Komisję gubernialną do spraw związków i stowarzyszeń – ze względów formalnych – odrzucona.

Dopiero skutek dalszych starań Zarządu i pō dokonaniu pewnych poprawek formalnych, ustawę zarejestrowano 9 listopada r. 1906.

3 grudnia r. 1906 odbyło się walne zebranie członków-założycieli oraz nowych kandydatów na uczestników Towarzystwa, na którym Zarząd prowizoryczny zdał sprawę ze swych starań przy rejestracji ustawy i, ustępując ze swego stanowiska, zarządził nowe wybory.

Wybory te jednak potwierdziły wynik głosowania z d. 1-go czerwca, poczem Zarząd rozpoczął od d. 12 grudnia swą działalność, określoną szeroko przez ustawę”.

Wydaje się celowe przedstawić pełny skład pierwszego Zarządu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, ponieważ oprócz nazwisk ludzi daje on pogląd na ukształtowaną wówczas strukturę działalności Towarzystwa.

Sprawozdanie za 1907 rok podaje:

Zarząd Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie

Prezes:	Zygmunt Gloger
Wiceprezisi:	Kazimierz Kulwiec Karol Hoffman
Skarbnik:	Maksymilian Heilpern
Sekretarz:	Aleksander Janowski
Kustosz:	Kazimierz Czerwiński

Kooptowani do pomocy Zarządowi Zastępcy i Pomocnicy jego Członków

Jadwiga Alchimowiczowa
Bronisława Kondratowiczowa
Roman Nowakowski
Antoni Ojrzyński
Zdzisław Rudzki
Mikołaj Wisznicki
Włodzimierz Włodarski

Komisja Rewizyjna

Stanisław Magnus
Konrad Olchowicz
Józef Włoskiewicz

Radca prawny

Oskar Scheller

Komisja Wydawnicza

Przewodniczący: Zastępca	Witold Wróblewski
przewodniczącego:	Kazimierz Kulwiec
Sekretarz:	Karol Hoffman
Członkowie Komisji:	Zygmunt Gloger Stanisław Konwerski Antoni Sujkowski (Będzin) Mikołaj Wisznicki Józef Witkowski (Łódź) Zygmunt Wolski

Komisja Wycieczkowa

Wacław Alchimowicz
Aleksander Janowski
Kazimierz Kulwiec
Antoni Ojrzyński
Zdzisław Rudzki

Komisja Wystawowa (w załączniku):

Aleksander Janowski
Mikołaj Wisznicki

Delegowani z ramienia Zarządu Towarzystwa, do nadzoru nad pracami w Sekcji popularyzowania wiedzy krajoznawczej wśród młodzieży

Kazimierz Czerwiński (zoologia)
Aleksander Janowski (historia sztuki i archeologia)
Wacław Jezierski (geografia)
Kazimierz Kulwiec (botanika i zoologia)
Leon Ostaszewski (fotografia)
Stanisława Rychterówna (botanika)
Oskar Sosnowski (kartografia)
Mikołaj Wisznicki (fotografia)
Zygmunt Wolski (etnografia)

Jadwiga Alchimowiczowa
Maksymiljan Heilpern
Karol Hoffman
Aleksander Janowski
Bronisława Kondratowiczowa
Kazimierz Kulwieć
Roman Nowakowski
Antoni Ojrzyński
Zdzisław Rudzki
Mikołaj Wisznicki
Włodzimierz Włodarski

Zarząd PTK energicznie rozpoczął działania, których główne cele i metody tak sformułowano w dwu pierwszych paragrafach Ustawy Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

§ 1

Towarzystwo zawiązuje się pod nazwą „Polskie Towarzystwo Krajoznawcze”.

Działalność Towarzystwa rozciąga się na Królestwo Polskie.

Towarzystwo Krajoznawcze ma na celu:

1) Zbieranie wiadomości, dotyczących krajoznawstwa polskiego.

2) Gromadzenie danych naukowych: geograficznych, fizjograficznych, antropologicznych, etnograficznych, statystyczno-ekonomicznych, archeologicznych oraz związanych z historią sztuki, dotyczących ziem polskich i krajów przyległych, historycznie lub geograficznie z nimi związanych.

3) Szerzenie wśród ogółu, a szczególnie wśród młodzieży, wiadomości dotyczących krajoznawstwa polskiego.

§ 2

Do osiągnięcia swych celów Towarzystwo dąży następującymi drogami:

1) Organizuje wycieczki po kraju, prowadzone przez specjalistów poszczególnej gałęzi krajoznawstwa.

2) Urządza wycieczki i ekskursje dla młodzieży i Członków Stowarzyszenia do miejscowości godnych uwagi z jakichkolwiek względów.

3) Gromadzi wszelkie zbiory, dotyczące fizjografii, folkloru, archeologii, etnografii, przemysłu, sztuki itd.

4) Zakłada i utrzymuje bibliotekę, poświęconą krajoznawstwu i gałęziom wiedzy związanym z krajoznawstwem.

5) Urządza odczyty i konferencje z dziedziny krajoznawstwa.

6) Organizuje wykłady; dotyczące sposobu badań, organizowania wycieczek, robienia zdjęć fotograficznych, kolekcjonowania okazów przyrodniczych.

7) Otwiera pracownie do badań i doświadczeń.

8) Tworzy Sekcje lub Oddziały prowincjonalne.

9) Urządza wystawy krajoznawczo-naukowe.

10) Posiada Korespondentów w kraju lub za granicą.

11) Wydaje czasopismo, poświęcone krajoznawstwu polskiemu.

12) Roztacza opiekę nad zabytkami sztuki, pamiątkami historycznymi i osobliwościami przyrodniczymi w kraju.

Ustawa zawierała 31 paragrafów, ostatni z nich wymienia Aleksandra Janowskiego, Karola Hoffmana i Kazimierza Kulwiecia jako „założycieli Towarzystwa”.

Od pierwszych miesięcy w PTK rozpoczęto formułowanie programu również wychowawczego, mającego pogłębiać pojęcie krajoznawstwa: „Krajoznawca szuka wiedzy o Polsce sercem. Na wycieczkach kształcić musimy zarówno ciało, jak umysł i uczucie, budzić gotowość słowem Ojczyzna, uczyć karność, kształcić miłość ziemi ojczyźnej” (M. Wisznicki), a L. Sawicki uważa iż: „Krajoznawstwo nie jest ruchem naukowym, jest ruchem społeczno-narodowym”, J. Smoleński natomiast uważał, że „Krajoznawstwo ma związać człowieka z ziemią ojczyzną, pogłębiać do niej jego stosunek uczuciowy i rozumowy”.

Towarzystwo od początku podkreślało swój ogólnokrajowy charakter, co symbolicznie wyrażały umieszczone na odznace herby Warszawy, Krakowa i Poznania otaczające ruiny zamku w Ogrodzieńcu. Już w 1907 r. Zarząd odbył 20 posiedzeń, w czasie których tworzone sekcje popularyzowania wiedzy krajoznawczej wśród młodzieży, ekonomiczno-statystyczną i fotograficzną, oraz komisję ochrony zabytków krajowych i osobliwości przyrody, bibliograficznej, wycieczkowej i wydawniczej. Niebawem „zwrócono się do redakcji pism prowincjonalnych polskich i do członków-korespondentów Towarzystwa z prośbą o kolekcjonowanie i przesyłanie artykułów treści krajoznawczej.

Uchwalono urządzenie szeregu odczytów agitacyjnych na prowincji, celem otwierania oddziałów prowincjonalnych w większych ogniskach kraju. Odczyty takie, w końcu roku 1907, wygłosił p. K. Kulwieć w Łomży i Siedlcach.

Wydano kosztem Towarzystwa, broszurkę: »Poznaj swój kraj!« z pracami członków Zarządu: Z. Glogera, M. Heilperna, Al. Janowskiego i K. Kulwiecia, mapy puszczy: Kampinoskiej i Białowieskiej, tudzież pow. nowogrodzkiego oraz szereg pocztówek, artystycznie wykonanych, dzięki łaskawej pomocy p. M. Wisznickiego.

Zainicjowana została przez Zarząd, a poparta zapewnieniem subwencji przez członka Towarzystwa, inż. J. Witkowskiego z Łodzi, sprawa wydawania »Przewodników po kraju«, wraz z uchwaloną sprawą wydawania rocznika Towarzystwa Krajoznawczego.

Urządzono trzy wycieczki, mianowicie: do Puszczy Kampinoskiej 2-go czerwca, do Żelazowej Woli 29-go września i do Czerska 13 października”.

Wspomniany apel o tworzenie „oddziałów prowincjonalnych” zaowocował powołaniem pierwszego z nich w Suwałkach. Będzie on obchodził swoje 90-lecie 12 maja 1997 r. Uregulowanie stosunków wzajemnych oddziałów i całego PTK objęły uchwały Zebrań Zarządu Głównego z Delegatami Oddziałów Prowincjonalnych z lat 1909–1912. Z obszernego tekstu, opublikowanego w Informacjach ZG PTTK (1993, nr 6), wynika jasno jak daleko sięgają swoimi korzeniami niektóre dzisiejsze problemy PTTK.

Stosunek Zarządów Oddziałowych do Zarządu Głównego

1. Oddziały obowiązane są odpowiadać na odezwy i listy Zarządu Głównego najpóźniej w ciągu tygodnia – na mniej terminowe – najpóźniej w ciągu miesiąca.

2. W razie uchylecia się Zarządu Oddziałowego od wypełniania przepisów ustawowych lub regulaminowych – Zarząd Główny wchodzi bezpośrednio w kompetencję danego Zarządu Oddziału Prowincjonalnego.

Tworzenie i zamykanie Oddziałów Prowincjonalnych

1. Zarząd Główny obowiązany jest zachować ostrożność przy otwieraniu nowych Oddziałów, zbierając informacje o miejscowych warunkach i widokach rozwoju projektowanego Oddziału.

2. Zarząd Główny ma prawo zamykać nieczynne Oddziały, o ile pomimo kilkakrotnych odezw nie może znaleźć środków pobudzenia ich do działalności.

Bezcennym osiągnięciem PTK było zorganizowanie muzeów krajoznawczych w Nowogrodzie Łomżyńskim, Sandomierzu, Ostrowcu, Suwałkach, Łowiczu oraz Warce.

Niezmiernie ciekawe jest zestawienie obrazujące stan organizacyjny PTK w grudniu 1913 r. zamykającym pionierskie lata przed I wojną światową. Istniało wówczas 26 oddziałów grupujących 5693 członków czynnych oraz 110 korespondentów; w omawianym roku wygłoszono 129 referatów, 48 odczytów publicznych, zorganizowano 159 wycieczek i 20 badań naukowych. Towarzystwo było wówczas centralnym ośrodkiem polskich badań naukowych w zaborze rosyjskim. W „Ziemi” organie prasowym Towarzystwa – ogłaszali swe prace uczeni tej miary co: Włodzimierz

Antoniewicz, Ludwik Krzywicki, Waclaw Nałkowski, Eugeniusz Romer, Ludwik Sawicki i wielu innych.

Wspomniane czasopismo „Ziemia” zostało pomyślane jako organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, chociaż pierwsze jego numery, te wydane jeszcze w czasach zaborowych, musiały swoje związki z Towarzystwem kamuflować. Pierwszy numer „Ziemi” ukazał się 1 stycznia 1910 r. Jej ówczesny redaktor i wydawca (wówczas już prezes PTK po śmierci Zygmunta Glogera) – Kazimierz Kulwieć wspominał po latach: „W obrazie przedwojennym »Ziemia« w swej formie oficjalnej nie miała jawnie wypisanego tytułu: organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Była nim jednak od pierwszej chwili swoich urodzin”. W 1985 r. Tadeusz Rycerski tak ocenia jej znaczenie: „»Ziemia« w popularyzacji wycieczek, zasad ich organizowania, ich metodyki odgrywała rolę pierwszorzędą. Kronika działań Towarzystwa na łamach tygodnika dostarcza systematycznych informacji o akcjach wycieczkowych centrali i oddziałów PTK. W jednym numerze jest zapowiedź wycieczki, w następnym sprawozdanie z niej, będące w gruncie rzeczy miniprzewodnikiem, zawiera bowiem opis zwiedzanych miejscowości, zabytków architektury czy przyrody.

Już w pierwszym numerze »Ziemi« z 1910 r. dowiadujemy się, że z wiosną zarząd PTK przystępuje do wykonania uchwały powziętej na zebraniu delegatów oddziałów prowincjonalnych, żeby wzorem Towarzystwa Tatrzańskiego w miejscowościach pod względem krajoznawczym na szczególną zasługujących uwagę założyć schroniska dla turystów lub badaczy naukowych. Pierwsze takie schronisko stanie we wsi Św. Katarzyna, w nowo zbudowanym przez Andrzeja Janickiego domu. Oczywiście, jest potem w numerze 37 w artykule *Pierwsze schronisko* opis jego otwarcia.

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze rozumiało doskonale, jak pomocną w organizacji ruchu wycieczkowego powinna stać się kartografia. Już w 1912 r. »Ziemia« popularyzuje wydaną właśnie mapę guberni kaliskiej w skali 1:100 000, pierwsze tego typu wydawnictwo w naszym kraju, a potem od roku 1913, wraz z powstaniem Komisji Kartograficznej Polskie Towarzystwo Krajoznawczej PTK, zajmuje się już coraz powszechniej problematyką kartograficzną, mimo iż carskie władze administracyjne odmówiły Towarzystwu organizacji wystawy kartograficznej.

Skoncentrowałem uwagę na problematyce wycieczkowej PTK i prezentowaniu tej tematyki na łamach »Ziemi« już choćby dlatego, że sam Kazimierz Kulwieć, bez fałszywej skromności oceniając działalność Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch pierwszej wojny światowej w artykule *Kolce naszej pracy społecznej*, stwierdził był: »I już gdyby Towarzystwo Kra-

joznowcze nic innego przez siedmioletni okres swego istnienia nie zdziało poza tem spopularyzowaniem naczelnego swego hasła: *Poznaj swój kraj*, już tem samem zasłużyłoby sobie na utrwalone stanowisko wśród instytucji krajowych pierwszorzędnej wartości».

A przecież były pierwsze schroniska, była założona pierwsza biblioteka, dzisiejsza Centralna Biblioteka PTTK im. Kazimierza Kulwiecia. Powstała ona już w pierwszym roku działalności Towarzystwa i od 1908 do 1911 r. podwoiła stan posiadania – od 734 do 1634 pozycji. W czasie obchodzonego już w odrodzonej Polsce jubileuszu 15-lecia Towarzystwa w bibliotece znajdowało się 10 000 pozycji i 15 000 przeźroczy.

Prezesem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w latach, kiedy Polska odzyskiwała byt państwowy był Kazimierz Kulwiec i miał to szczęście, że mógł zatytułować 30 sierpnia 1919 r. wstępny artykuł „Ziemi” słowami *Na Zmartwychwstanie*.

„Dziś uważać można, że nawałnica wszechświata minęła [...], a to, co grzmi jeszcze na ziemiach polskich – to potężnych piorunów echa; wszak napięcie sił przeciwstawnych było dokoła Polski największe, jako dokoła łupę spór zwaśnionych sąsiadów – najostrzejszy – to też przywracanie zachwianej równowagi, wygładzanie się zmarszczek zgniewanego Marsa – na ziemi naszej trwać musi najdłużej [...]. Odbywa się tu przytem wielki, proces biologiczny – budzenie się organizmu poczytanego za zmarły: zrastają się członki rozewiartowanego państwa, które dźwiga się do życia [...]. Organizm ten państwowy ma się nie tylko ocknąć z letargu, nie tylko dokonać skomplikowanego procesu wewnętrznego zespolenia okaleczonych składników, lecz i dźwignąć się z pod gruzów zwalnego piorunem dziejowym więzienia, skruszyć do reszty zerwane kajdany, uniezależnić się od powalonych tego więzienia budowniczych i stróżów [...].

Jak wstający z grobu ciemnego Łazarz mocuje się z niemocą własną, Naród dobywa z siebie energii, by stanąć o własnych siłach na nogi [...].

Jak dotąd, tak i nadal służyć zamierzamy polityce prawdy narodowej, za najwyższe sobie poczytując dobro – ogólny pożytek i uświadomienie narodo- we, jakie płyną z krajoznawstwa ojczystego; jak dotąd gwiazdą przewodnią dla Ziemi była nadzieja na ziemi naszej zmartwychwstanie – tak odtąd nią będzie pragnienie we Wskrzeszonej rozszerzyć i pogłębić Samopoczucie, Samowiedzę i Samokrytykę”.

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze podjęło swoją działalność w niepodległej Polsce i połączyło specyfikę swojego działania z jednym z głównych problemów państwa. Tak jak pod zaborami umiało ono dostrzec swoją rolę jako swoistego „ministerium polskości”, tak teraz przez wycieczki i krajoznawstwo twórczo włączyło się w działania mające zespolić kulturalnie ludność z trzech zaborów, w których bardzo odmiennie

przebiegał proces tworzenia się nowoczesnego społeczeństwa. Tworzenie społeczeństwa bardziej jednorodnego miało w sobie niebezpieczeństwo zacierania wartości regionalnych, które były przecież główną siłą kultury polskiej w I Rzeczypospolitej. W 1926 r. opublikowano w „Ziemi” *Program regionalizmu Polskiego* – myślę, że aktualny i twórczy do dzisiaj. W części ogólnej sformułowano następujące zasady:

I. JEDNOŚĆ PAŃSTWOWA I ZRÓŻNICOWANIE TERENOWE

1. Równowaga autorytetu państwa i wolności obywateli, interesów lokalnych i potrzeb całości, jest podstawą jedności państwa.

2. Pełna swoboda rozwoju materialnych i duchowych indywidualności terytorialnych ziem polskich (regionów), stwarza podstawę dla racjonalnego podziału pracy, rozwoju energii twórczej społeczeństwa i bogactw kultury.

II. ŻYCIE GOSPODARCZE

1. Każda ziemia polska (region) winna mieć swój własny typ gospodarczy, odpowiadający warunkom naturalnym, ludnościowym i kulturalnym danego terytorium. Na jedność gospodarczą państwa składa się harmonijne współistnienie regionów gospodarczych, a możliwie zbliżonych w poziomie.

2. Regionalizm koordynuje, budzi inicjatywę i uświadomienie społeczne w kierunku:

- a) badań naukowych i tworzenia terytorialnie zindywidualizowanych programów gospodarczych,
- b) i pracy nad podniesieniem poziomu gospodarczych indywidualności terytorialnych.

3. Regionalizm dąży do realizacji postulatów przez organizację związków lokalnych, oddziaływanie na opinię i przygotowanie fachowe ludzi, związanych swą pracą z działalnością samorządu ogólnego i gospodarczego. Pomieniona sfera oddziaływań obejmuje również zrzeszenia zawodowe i ruch spółdzielczy.

III. ŻYCIE SPOŁECZNE

1. Regionalizm dąży do takiego ukształtowania administracyjnego państwa, któreby zapewniło rozwój należyty indywidualnym wartościom gospodarczym i kulturalnym poszczególnych regionów. Powyższemu postulatowi odpowiada decentralizacja administracji wewnętrznej, nie naruszając jednolitej sprężystej administracji państwowej.

2. Szeroki samorząd, współdziałający z administracją publiczną, swym zakresem działania objąć winien wszystkie zadania istotne dla rozwoju indywidualności centrów lokalnych, gospodarczych i kulturalnych.

3. Regionalizm dąży do zapewnienia administracji publicznej zindywidualizowanych i dostosowanych do potrzeb lokalnych przepisów prawnych.

Najbardziej czynnym regionalnym działaczem Towarzystwa był Aleksander Patkowski. Zorganizował on w 1922 r. Wakacyjny Kurs Krajoznawczy Ziemi Sandomierskiej, który wykorzystał w pewnej mierze Stefan Żeromski w *Przezióreczce*. Patkowski stał się w 1927 r. inicjatorem Powszechnych Uniwersytetów Regionalnych, sprecyzował treść i istotę regionalizmu, który określił jako „budzenie prowincji polskiej do życia samodzielnego we wszystkich dziedzinach, rozkwit sił drzemających dotychczas po rozmaitych ośrodkach kraju. Zjednoczenie się Polski we współczesnych dążeniach nie powinno pociągać za sobą zniwelowania i zatarcia wszelkich różnic w wewnętrznym życiu kulturalnym poszczególnych ziem i krajów polskich. Zarówno Kaszub nadmorski jak i Góral podtatrzański powinni nadal pozostać przede wszystkim sobą”. Regionalizm był próbą stworzenia szerokiego frontu kulturalnego i gospodarczego, który objąłby nie tylko większe miasta, ale cały kraj. Lokalne pisma, takie jak „Gazeta Podhalańska” lub „Głos Puszczński”, były orężem realizującym ten program. Teoretyczne sformułowania podstaw regionalizmu szło w parze z działaniami organizacyjnymi. Liczba 26 Oddziałów PTK w 1914 r. wzrosła do 62 w 1939 r., a liczba członków do 7668; coraz liczniejsze były wydawnictwa Towarzystwa. W 1933 r. PTK wydawało: „Ziemię”, „Orli Lot” – miesięcznik krajoznawczy dla młodzieży, „Wiadomości Krajoznawcze i Turystyczne” – biuletyn miesięczny rozsyłany członkom bezpłatnie, a także monografie i przewodniki. Wiele Oddziałów PTK zorganizowało biblioteki krajoznawcze np. Kielecki, Kurpiowski, Ostrowiecki, Piotrkowski, Sandomierski, Włocławski. Towarzystwo prowadziło 16 schronisk i domów wycieczkowych oraz 20 muzeów.

Efektownym podsumowaniem pierwszego okresu działalności krajoznawczej był niewątpliwie I Ogólnopolski Kongres Krajoznawczy, który odbył się w lipcu 1929 r. w Poznaniu. Jedną z rezolucji Kongresu podaje sformułowaną tam definicję krajoznawstwa: „Krajoznawstwo jako ruch społeczny wypływa z uczucia, potrzeb umysłowych i gotowości do czynu – i jako takie stać się winno podstawą programową pracy oświatowej we wszystkich środowiskach wsi i miast i uwzględnienia naturalnych odrębności regionalnych”.

Powojenne Kongresy Krajoznawcze PTTK są kontynuacją poznańskiego i rozwijają twórczo zarysowane tam idee i problemy.

W sprawozdaniu Zarządu PTK już w 1907 r. czytamy: „Nawiązano rokowania o wymianę usług wzajemnych z Towarzystwem Tatrzańskim”. Jak każde „rokowania” trwały one długo, niemniej w 1937 r. postanowiono w obu Towarzystwach przystąpić do bardziej konkretnych prac, również prawnych, przygotowujących ich zjednoczenie. Niektóre oddziały PTK uznały sprawę za przesądzoną i już w 1938 r. na papierach firmowych umieszczały nagłówek przewidujący nową nazwę: „Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze”. Wybuch drugiej wojny światowej nie pozwolił na doprowadzenie sprawy do końca.

Okres wojny przyniósł Polskiemu Towarzystwu Krajoznawczemu ogromne straty. Zginęło wielu wybitnych działaczy (m.in. Aleksander Patkowski w obozie koncentracyjnym), zniszczony został majątek Towarzystwa. Po zakończeniu wojny przystąpiono do reaktywowania działalności PTK oraz jego oddziałów. W wielu regionach kraju, szczególnie tych, które dopiero teraz znalazły się w granicach państwa polskiego, PTK było pionierem tworzącego się życia turystycznego lub też wchłaniało utworzone wcześniej towarzystwa lokalne. Tak było np. z Mazurskim Towarzystwem Turystycznym w Olsztynie. W 1947 r. PTK liczyło 76 oddziałów zgrupowanych w 6 większych okręgach. W 1948 r. powrócono do idei utworzenia wspólnego towarzystwa wraz z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim. Prace powołanego wspólnego komitetu zakończono 15 grudnia 1950 r. na wspólnym zjeździe, na którym podjęto uchwałę o zjednoczeniu dwu Towarzystw – powstało Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, którego Statut w Art. 1 zawiera następującą informację:

„Towarzystwo powstałe z połączenia się utworzonego w 1873 r. Towarzystwa Tatrzańskiego – przekształconego w 1920 r. w Polskie Towarzystwo Tatrzańskie oraz utworzonego w 1906 r. Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a działające na podstawie niniejszego Statutu nosi nazwę: »Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze«, zwane dalej: PTTK – jest spadkobiercą majątku oraz tradycji i dorobku ideowego obu Towarzystw”.

Polska YMCA w Łodzi

Young Men's Christian Association – Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Mężczyzn, czyli YMCA, powstało jako międzynarodowa organizacja kulturalno-oświatowa. Założona została w 1844 r. w Wielkiej Brytanii przez G. Williamsa. Jej żeńskim odpowiednikiem była YMCA, czyli Young Women's Christian Association – Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet.

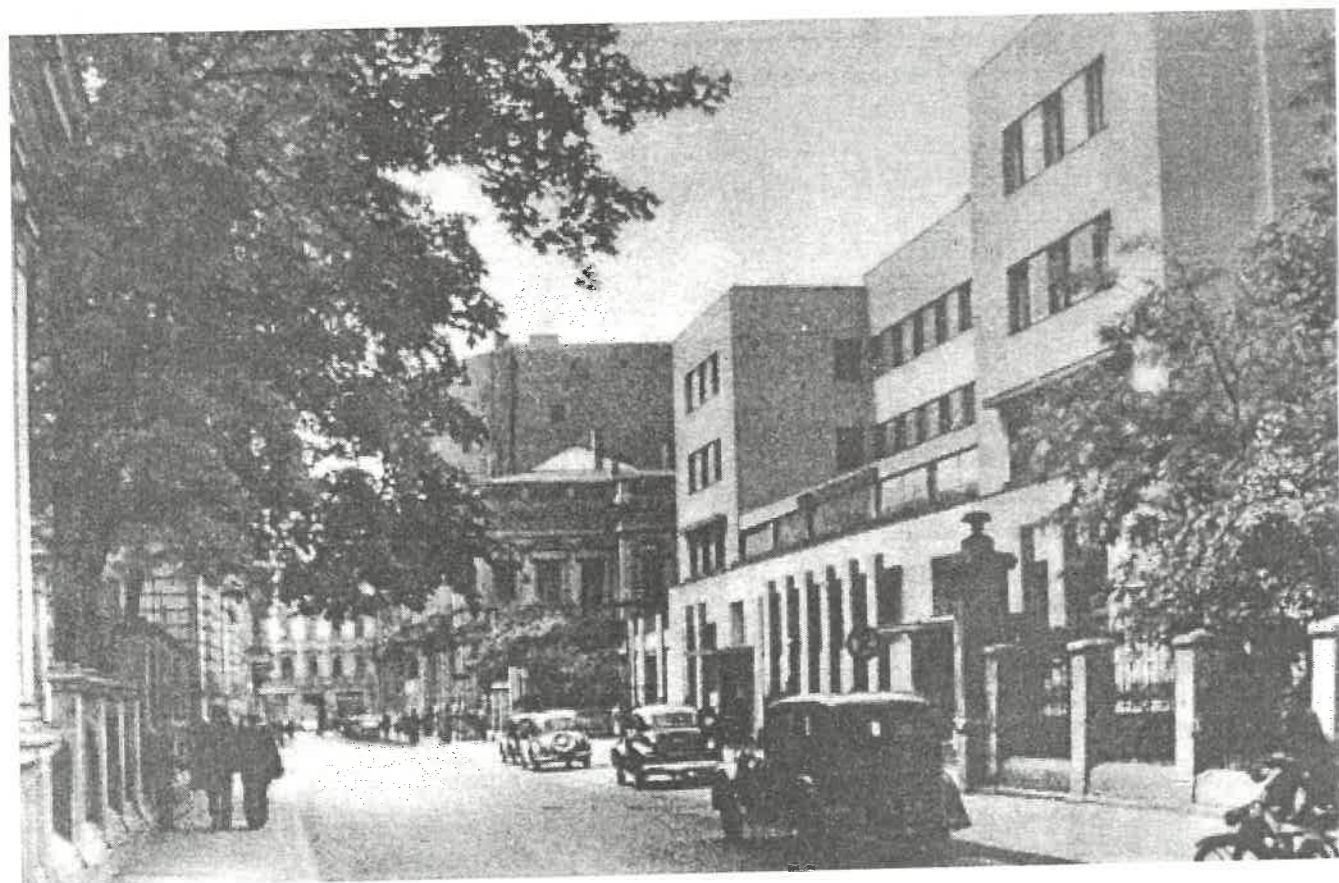
Największą popularność osiągnęła YMCA w Stanach Zjednoczonych. W Polsce działała w latach 1919–1939, jak również w konspiracji podczas okupacji oraz w latach 1945–1949.

Do Polski organizacja YMCA dotarła stosunkowo późno, bo dopiero w 1919 r., a więc w 75 lat od daty jej założenia. Idea tej organizacji pojawiła się w Polsce dzięki Misji Amerykańskiej YMCA działającej w szeregach wojsk generała Józefa Hallera. Z chwilą, gdy wojska te wyruszyć miały do Polski, YMCA wspierana przez sporą grupę ludzi, zaczęła organizo-

wać swoje Ogniska. W ten sposób powstało około 80 Ognisk Żołnierskich cieszących się dużym uznaniem społeczeństwa. Dzięki bezinteresownej pomocy niesionej polskiemu żołnierzowi, organizacja zjednała sobie serca wszystkich żołnierzy i otrzymała od nich spolszczone, zaszczytne miano „Ciocia Imcia”.

W 1920 r. na froncie wojennym misja YMCA pomagała walczącym Polakom między innymi przez rozdawanie ciepłej strawy, papierosów, słodyczy oraz przez stwarzanie im możliwości korzystania z biblioteki i czytelnicy.

Z chwilą zakończenia wojny wybitni społecznicy wystąpili z inicjatywą utworzenia polskiej organizacji YMCA, która miała zajmować się wychowaniem młodzieży. W 1922 r. zatwierdzono statut Polskiej YMCA. Na prezydenta Polskiej YMCA powołano prof. Franciszka Krzyształowicza. Organem zarządzającym wszystkimi Ogniskami Polskiej YMCA została Rada Krajowa.



Gmach polskiej YMCA w Łodzi przy ul. Moniuszki 4a

repr. B. Kaczyńska

Jako pierwsze powstały trzy Ogniska: w Warszawie, Krakowie i w Łodzi. Rozpoczęły one swą działalność w myśl jednej idei trójkierunkowego rozwoju człowieka (duch, umysł, ciało), wykorzystując te metody pracy, które najbardziej sprawdzały się w danym środowisku.

Za datę powstania Polskiego Związku Młodzieży Chrześcijańskiej uważa się 8 grudnia 1923 r., kiedy to podczas Pierwszego Walnego Zjazdu Polskiej YMCA przyjęto od Misji Amerykańskiej YMCA wszystkie sprawy dotyczące jej działalności na terenie naszego kraju. W Zjeździe uczestniczył ówczesny prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski, a godność pierwszego członka honorowego Związku otrzymał marszałek Józef Piłsudski.

W Pierwszym Zebraniu Organizacyjnym, które odbyło się 18 września 1921 r. w Łodzi w lokalu przy ul. Piotrkowskiej 243, wzięło udział 400 osób. Pracami wstępnymi zajęła się komisja, na czele której stał dr Alfred Grohman. Podczas kolejnych regularnie odbywających się zebrań wypracowano i utrwalono podstawy organizacyjne Ogniska. We wspomnianym już Pierwszym Walnym Zjeździe w 1923 r. uczestniczyli również delegaci z Łodzi. Idea Związku spotkała się z ogromnym poparciem ze strony najwybitniejszych przedstawicieli przemysłu i handlu, a pomoc materialna przez nich udzielana sprawiła, że Ognisko Łódzkie w 1925 r. było już całkowicie samowystarczalne gospodarczo. Wkrótce, wobec znacznego napływu członków, wyłonił się problem zdobycia większego lokalu. Dotychczasowe pomieszczenie wykorzystywano dla Działu Chłopców, a dla młodzieży starszej przeznaczono nowy, obszerniejszy lokal przy ulicy Piotrkowskiej 89.

Już w pierwszym roku istnienia YMCA w Łodzi w Dziale Chłopców powstały pierwsze kluby i koła o dużym znaczeniu wychowawczym.

Na zakupionym w 1922 r. placu w wybudowanych tam domach została otwarta pierwsza na terenie naszego miasta szkoła dla kierowców samochodowych. Zorganizowano kursy metalowców oraz stolarzy, kursy językowe oraz wiele innych kursów praktycznych cieszących się sporą frekwencją. Ponadto prowadzona była na szeroką skalę akcja odczytowa. W zakresie dokształcania zawodowego zaczął działać wyodrębniony Wydział Oświatowy. W tym czasie praca organizacji nadal rozwijała się na zasadzie osiągniętej już samowystarczalności gospodarczej.

W 1926 r. Ognisko założyło świetlicę dla robotników Zakładów Przemysłowych Ludwika Geyera oraz uzyskało prawo korzystania z sali gimnastycznej przy ulicy Targowej 77. Dostrzegając konieczność utworzenia ośrodka zdrowia dla mniej zamożnej młodzieży, przystąpiono do zorganizowania własnego



Zwieńczenie sztandaru polskiej YMCA

repr. B. Kaczyńska

oboju letniego. Obok lokalu Działu Chłopców wydzielono boisko, które zostało przeznaczone na plac gier i zabaw. Był to jeden z pierwszych tego rodzaju obiektów w Łodzi.

W 1927 r. nastąpiło dalsze rozszerzenie działalności Ogniska przez zorganizowanie kursów budowlanych oraz oddanie do użytku młodzieży stałego obozu, który mógł jednorazowo przyjąć 100 chłopców. Organizacja prowadziła ożywione życie towarzysko-klubowe, a jej program ogólnocłonkowski osiągał coraz wyższy poziom. Na terenie Działu Mężczyzn obok innych klubów działał klub szachowy i klub fotograficzny, a liczba członków w obu działach wykazywała ciągły wzrost. W odbywających się w tym okresie 15 kursach oświatowych uczestniczyło aż 289 słuchaczy. Dział Chłopców w 1928 r. osiągnął liczbę 250 członków.



W swojej działalności Łódzka YMCA uwzględniła doraźne potrzeby społeczeństwa. I tak w 1931 r. wspólnie z Komitetem Pomocy Bezrobotnym utworzono na terenie naszego miasta 10 świetlic przeznaczonych dla dzieci bezrobotnych rodziców.

Dzięki pomocy przyjaciół ze Stanów Zjednoczonych, którzy ofiarowali 200 tys. dolarów, oraz ofiarności społeczeństwa polskiego w 1932 r. Ognisko Łódzkie mogło rozpocząć budowę własnego gmachu w Łodzi przy ul. Moniuszki 4a. Częściowe otwarcie budynku nastąpiło we wrześniu 1935 r. Nowocześnie wyposażony gmach zbudowany według projektu W. Lisowskiego pozwolił na jeszcze lepszą realizację zadań programowych w duchu „trójkąta” YMCA.

Z czasem następowało coraz większe zrozumienie ideologii ruchu YMCA, co znalazło wyraz w powiększającej się stale liczbie członków. I tak np. w 1938 r. w działalności tej organizacji na terenie Łodzi brało udział około 5680 osób, w tym młodzieży szkół powszechnych – 912, młodzieży szkół średnich – 2669, osób starszych – 2099. W Ognisku pracowało w tym czasie 38 zespołów. Wspólnie z zawodowymi pracownikami Związku po odpowiednim przeszkoleniu działali wolontariusze, a ich liczba w latach trzydziestych wynosiła ponad 300 osób.

Po wojnie w latach 1945–1949 Ognisko Łódzkiej Polskiej YMCA nadal służyło młodzieży szkolnej oraz dorosłym mieszkańcom naszego miasta. Do dyspozycji uczestników oddano czytelnię, bibliotekę, pokoje zebrań i pomieszczenia klubowe, pokoje wykładowe, salę towarzyską, pokoje mieszkalne, stołówkę i bufet, poradnię sportowo-lekarską, sale gimnastyczne, krytą pływalnię, łaźnie, natryski.

TADEUSZ MAĆKOWIAK

Grób Nieznanego Żołnierza w Łodzi

Grób Nieznanego Żołnierza to symboliczny pomnik lub grobowiec wystawiany w wielu krajach ku czci bezimiennych żołnierzy, którzy polegli na wojnie. Przy tych pomnikach zaciągają się warty honorowe, są to bowiem centralne punkty, w których organizowane są ważne uroczystości nie tylko państwowe. Tak jest również w Łodzi.

Pierwszym człowiekiem na świecie, który wystąpił z projektem ufundowania Grobu Nieznanego Żołnierza był Francuz – Fryderyk Simon, prezes wielu towarzystw patriotycznych we Francji. Zgodnie z jego wnioskiem, na mocy uchwały parlamentu fran-

Wydział Kulturalno-Oświatowy prowadził bibliotekę, akcję odczytową, cykle wykładów, pogadanki, wieczory dyskusyjne literackie i muzyczne, organizował wystawy, konkursy, turnieje szachowe, wycieczki, koncerty, kursy dokształcające zawodowe oraz kursy językowe.

Wydział Wychowania Fizycznego zajmował się kompletami gimnastyczno-sportowymi, gimnastyką, szermierką, boksem, grami sportowymi i zabawami, prowadził naukę pływania, nurkowania, skoków z trampoliny, ratowania, organizował imprezy, zawody i pokazy sportowe.

W Ognisku między innymi działały: klub szachowy, klub literacki, klub bibliotekarzy, klub filatelistów, klub krajoznawczy, klub wędkarski oraz chór. Organizowane były wieczory towarzyskie z tańcami, wieczorki zapoznawcze, wieczory dyskusyjne itp. imprezy.

Dział Chłopców prowadził działalność dostosowaną do wieku w poszczególnych grupach. Organizował koła towarzyskie i samokształceniowe, popularne odczyty i pogadanki z dyskusją, wieczornice, pokazy filmowe, imprezy rozrywkowe, akademie, gawędy przy kominku, konkursy, wystawy, wycieczki, kursy języków obcych oraz prac ręcznych i konstruktorskich, wychowanie fizyczne łącznie z pływaniem, bibliotekę i czytelnię, akcję kolonii letnich, współpracę z rodzicami i ze szkołą, akcję świetlicową.

Działający w latach 1922–1949 Oddział YMCA w Łodzi ponownie został zarejestrowany w roku 1990. Wskreszenie organizacyjnych i dydaktycznych form wychowania dzieci i młodzieży przez Związek Młodzieży Chrześcijańskiej YMCA w Łodzi związane jest z odzyskaniem w 1994 r. budynku przy ul. Moniuszki 4a.

cuskiego (9 XI 1918 r.) po raz pierwszy 11 listopada 1920 r. oddano hołd prochom jednego z nieznanego żołnierzy. Aby uroczystość ta mogła się odbyć, nieco wcześniej 8 delegacji z ośmiu odcinków frontu, gdzie odbyły się najkrwawsze walki, przywiozło do cytadeli w Verdun prochy 8 nieznanego żołnierzy, zebrane w zwykłych drewnianych trumnach. Następnie 10 listopada 1920 r. na rynku w Verdun przy akompaniamencie werbli najmłodszy spośród obecnych żołnierzy – August Thien – złożył wiązankę kwiatów na jednej z tych trumien, wybierając w ten sposób prochy Nieznanego Żołnierza, które przewieziono do



Grób Nieznanego Żołnierza w Łodzi

fot. B. Bazyliński

Paryża i pochowano na Placu Gwiazdy, u wylotu Pól Elizejskich, w najpiękniejszej alei pod Łukiem Triumfalnym. Następnego dnia (11 XI 1920 r.) odbyła się uroczystość oddania hołdu poległym przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

Tego samego dnia podobna uroczystość odbyła się w Londynie – prochy nieznanego żołnierza złożono w środku nawy głównej kościoła opactwa Westminster. Wkrótce idea wznoszenia grobów Nieznanego Żołnierza rozpowszechniła się niemal w całym świecie.

W Polsce idea ta zrodziła się na początku 1922 r., wówczas to na łamach prasy pojawiły się propozycje uczczenia pamięci bezimiennych żołnierzy, którzy oddali swe życie w walkach za Ojczyznę. Spór o miejsce na grób rozstrzygnął podobno „przypadek”, 2 grudnia 1924 r. bowiem ktoś położył pod arkadami Pałacu Saskiego w Warszawie granitową płytę z napisem: TU LEŻY ŻOŁNIERZ NIEZNANY, przy której zaczęto kłaść kwiaty, palić znicze i świece. Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie odsłonięto 2 listopada 1925 r.

Natomiast w Łodzi Grób Nieznanego Żołnierza postanowiono ufundować na mocy uchwały Rady Miejskiej z 18 grudnia 1924 r. Prace przygotowawcze trwały zaledwie kilka miesięcy, a ich uwiecznieniem była podniesiona uroczystość odsłonięcia płyty pamiątkowej nazwanej wkrótce Grobem Nieznanego Żołnierza.

Uroczystość tę 22 marca 1925 r. rozpoczęła msza święta o godz. 11⁰⁰, celebrowana przez biskupa Wincentego Tymienieckiego, który po nabożeństwie – w asyście dostojnych gości: gen. dyw. Władysława Sikorskiego (ministra spraw wojskowych), wojewody Derowskiego oraz dra Bolesława Fichny – prezesa Rady Miejskiej, udał się na plac katedralny, gdzie dokonał poświęcenia płyty przy dźwiękach wszystkich dzwonów i odgłosie syren fabrycznych.

Następnie biskup Tymieniecki wygłosił przemówienie, w którym podkreślił, że „fundowana przez Radę Miejską płyta będzie miejscem pielgrzymki przede wszystkim matek, które poświęciły swych synów na ołtarzu wolności Ojczyzny. [...] Jako kapłan wołam o pokój, a jako Polak mówię: »My wojny nie

chcemy, a jeśliby zmuszono nas do walki, to staniami wszyscy, mając za sobą boskie i ludzkie prawo do wolności».

Odsłonięcia płyty dokonał gen. dyw. Władysław Sikorski, który powiedział wówczas: „Pomnik, przy którym stoimy, jest pomnikiem czynu spełnionego do końca. [...] Ślubujemy szlachetnym ceniom Zmarłym za Ojczyznę wytrwać niezłomnie pomimo chwilowych trudności w przemyślanym do głębi i przepracowanym do końca wysiłku na rzecz wielkiego jutra Najjaśniejszej Rzeczypospolitej”.

Na zakończenie uroczystości odbyła się defilada 31 i 28 Pułku Strzelców Kaniowskich, szkoły policyjnej i policji konnej oraz szkolnych pocztów sztandarowych, a komendant A. Grohman poprowadził kilka oddziałów straży ogniowej.

Autorem projektu Grobu Nieznanego Żołnierza w Łodzi jest warszawski rzeźbiarz – Stanisław Ostrowski. Na płycie umieszczono napis: NIEZNANEMU ŻOŁNIERZOWI – MIASTO ŁÓDŹ. Z inicjatywy łódzkiej młodzieży, działającej w PCK, 9 maja 1925 r. uchwalono wniosek o ufundowaniu znicza na Grób. Urnę sprowadzono z Warszawy i ustawiono na cokole ozdobionym odlewami Krzyża Virtuti Militari. Koszt instalacji znicza, lampy oliwnej i oświetlenia grobu pokrył Magistrat Łódzki. Uroczy-

stość poświęcenia i zapalenia znicza odbyła się 20 czerwca 1925 r. oraz ponownie 30 marca 1926 r. po podłączeniu dopływu gazu.

W okresie okupacji w nocy z 10 na 11 listopada 1939 r. hitlerowcy zniszczyli Grób Nieznanego Żołnierza podobnie jak wiele innych pomników.

Po zakończeniu II wojny światowej łodzianie odbudowali grób w nieco skromniejszej formie i 1 listopada 1946 r. zorganizowali uroczystość odsłonięcia. Inicjatorem odbudowy był Feliks Gózdź – główny architekt miasta i jego koledzy, miłośnicy Łodzi.

Obecny Grób Nieznanego Żołnierza wybudowano w latach pięćdziesiątych wg przedwojennego wzoru. Składa się z trzech płyt, ułożonych schodkowo. Na górnej płycie widnieje napis: GRÓB NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA. Na lewym narożniku przymocowano odlew wieńca z brązu z dwoma liśćmi i szarfą. Za grobem znajduje się znicz umieszczony na cokole, na którego ściany nałożono brązowe odlewy Krzyża Virtuti Militari. Znicz ufundowała Gazownia Miejska.

Przez wiele lat po II wojnie światowej jakby zapomniano o tym ważnym miejscu w mieście. Dopiero od 1980 r. Grób Nieznanego Żołnierza stał się centrum ważnych uroczystości, które gromadzą licznie mieszkańców Łodzi.

STANISŁAW BULKIEWICZ

Papierowe bony łódzkie

Próba chronologii

Często w naszych „wędrowkach” po szufladach za łodzianami natrafiamy na łódzkie, papierowe bony miejskie. Dlatego też warto coś więcej o nich wiedzieć.

W historii naszego miasta, w różnych okresach dużą rolę odgrywały zastępcze środki płatnicze zwane bonami. Ich najważniejszym celem w większości przypadków było zastąpienie brakującego pieniądza państwowego i unormowanie gospodarki rynkowo-finansowej miasta.

Poszczególne emisje bonów łódzkich zostały opisane w wielu publikacjach, brak natomiast pełnego ich zestawienia w porządku chronologicznym, co potrzebne jest chociażby dla początkujących kolekcjonerów tych numizmatów oraz dla osób interesujących się łodzianami.

Zanim jednak przystąpimy do opisanego w skrócie historii łódzkich bonów, warto wyjaśnić kilka podstawowych pojęć dotyczących tego tematu.

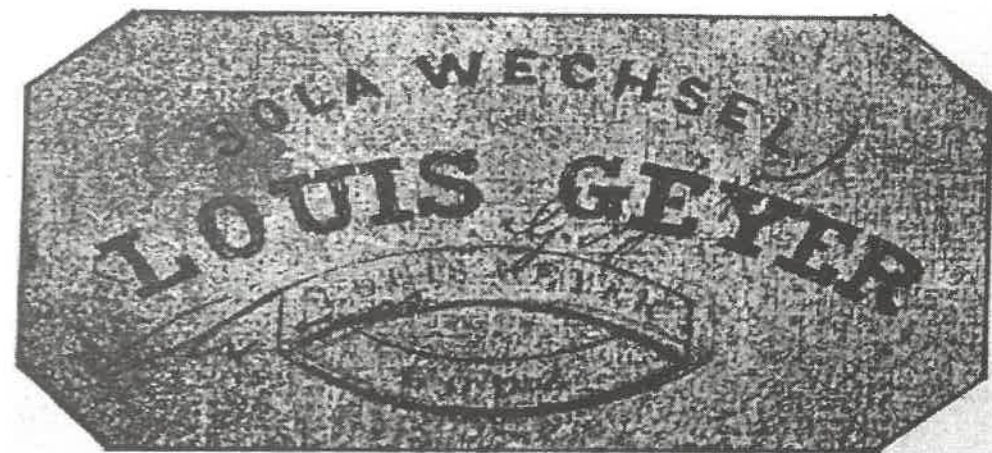
Przede wszystkim – co to są bony? Otóż Niemcy mają na nie precyzyjne określenie – *Notgeld* (pieniądz zastępczy). Skąd się biorą bony? Znany lwowski badacz i kolekcjoner tego pieniądza – Tadeusz Solski, określił, że bony rodzi wojna i głębsze wstrząsy ekonomiczne.

Kolejne pytanie – dlaczego są wydawane i przez kogo?

1. W większości przypadków wydawane są z powodu nieistnienia w obiegu państwowego pieniądza lub braku zaufania do niego.

2. Z powodu braku drobnych.

3. Z powodów kolekcjonersko-finansowych.



Łódzki bon z okresu powstania styczniowego

repr. E. Szkudlarek

4. Jako środek propagandowy – w rodzaju ulotek (np. w czasie plebiscytów).

5. Z powodów patriotycznych (powstania śląskie itp.).

6. Z chęci zagarnięcia prawdziwej, lepszej waluty (getto łódzkie) i jeszcze innych.

A kto je wydaje? W większości – zarządy miast, gmin, powiatów, ale również banki, kasy oszczędnościowe, fabryki, właściciele majątków ziemskich, instytucje, apteki i wiele innych, nawet prywatni właściciele małych sklepów i trafik.

W związku z powyższym rodzi się następne pytanie – kiedy bony te powstały? Otóż z publikacji łodzianina – prof. Józefa Litwina¹ dowiadujemy się, że podobno pierwszym, papierowym pieniądzem zastępczym miały być bony wydane w 1482 r. przez hrabiego Candilla w oblężonej przez Maurów twierdzy Alhama. Były to tekturki z pieczęcią, podpisem i oznaczoną wartością.

Natomiast stwierdzonymi emisjami są bony z 1573 r. wydane w Middelburgu (Holandia) w czasie jego oblężenia. W Polsce, najwcześniejsze bony powstały w latach 1848–1849 (okres Wiosny Ludów) w zaborze austriackim.

Bony można podzielić na:

- bony pańszczyźniane (1800–1850),
- bony z okresu Wiosny Ludów, wydawane w kraju i zagranicą (1846–1849),
- bony z okresu powstania styczniowego (1861–1865),
- bony majątków ziemskich (XIX–XX w.),
- bony z okresu I wojny światowej i zaraz po niej (1914–1922),
- bony Wolnego Miasta Gdańska (1922–1924),
- spółdzielni wojskowych (1925–1939),
- bony kryzysowe – Szamotuły (1930),
- bony miejskie z 1939 r.,
- bony oflagów (1939–1945),
- bony obozów koncentracyjnych (okupacja),

- bony gett,
- bony miejskie (1944–1945),
- bony obozów pracy (1944–1956),
- bony wydawane dla pacjentów przez szpitale dla psychicznie i nerwowo chorych,
- powojenne bony towarowe, kaucyjne itp.

Z wykazu tego można wyodrębnić bony dotyczące naszego miasta – Łodzi, są to:

- bony powstania styczniowego,
- bony I wojny światowej i czasu powojennego,
- bony spółdzielni wojskowych,
- bony miejskie z 1939 r.,
- bony getta łódzkiego,
- bony kasyna Gestapo w Łodzi,
- oraz powojenne bony towarowe, kaucyjne itp.

Po tym może przydługim, ale koniecznym wstępie, omówmy w skrócie historię bonów z okresu powstania styczniowego (1861–1865).

Z powodu braku monety metalowej (Komitety Narodowe gromadziły ją na zakup broni i żywności) nastąpiły perturbacje z powodu braku drobnych. Radzono sobie m.in. rozcinaniem banknotów rublowych na 4 części po 25 kopiejek, ale nie wszystkim to odpowiadało.

Pierwszym, który wydał w lipcu 1860 r. swoje bony, był fabrykant łódzki – Ludwik Geyer. Wydrukował je na materiale bawełnianym (perkalu), z czerwonym napisem: BROD, od którego ludność nazywała je „brodacami”. Miały wartość 30 kopiejek i można było za nie kupić chleb oraz inne produkty. Bony te kursowały do marca 1863 r. Podajemy za J. Litwinem (wg alfabetu) listę innych emitentów:

- Ludwik Geyer – fabrykant łódzki,
- Alojzy Balle – majster tkacki,
- Nusen Majer Bergier – kupiec,
- Franciszek Biszof – majster tkacki,
- Abram Bronowski – kupiec wyrobów żelaznych,
- Bronowski et Majerowicz – właściciele domu i mydlarni,



Łódzki bon z okresu powstania styczniowego

repr. E. Szkudlarek

- Dom Ziemiaków Włocławskich – filia w Łodzi,
- Robert Elsner – kupiec towarów korzennych i kolonijnych,
- Antoni Engiel – właściciel zajazdu „Hotel Polski”,
- Leonard Felser – właściciel drukarni perkalu i domu,
- Mosiek Goldkrantz – handlarz towarów korzennych i właściciel domu,
- Leopold Henschel – właściciel przędzalni i dwóch domów,
- Ludwik Kohn – kupiec,
- Komitet Budowy Bóżnicy (recte Synagogi),
- Edward Krusche – fabrykant z Pabianic,
- Frydrych Kunkiel – kupiec towarów korzennych,
- Paweł Landau – kupiec i właściciel fabryki tytoniu oraz tabaki,
- Józef A. Lande – kupiec przędzy i towarów łokciowych,
- Seweryn Liesel – majster tkacki i właściciel dwóch domów,
- Jakub Lipiński – majster tkacki i właściciel domu,
- Lewek Morgensztern – kupiec,
- Karol Pawłowski – szynkarz i rzeźnik, właściciel domu,
- Aleksander Rost – szynkarz i właściciel domu,
- Sejdeman i Rosen – kupcy przędzy i towarów łokciowych,
- Frydrych Selin – właściciel cukierni, emitował aż 30 szt. bonów na kwotę 4 rb (sic!)
- Walenty Sibliski – szynkarz i rzeźnik,
- Frydrych Sznelkie – właściciel apretury i domu,
- Otto Szwetysz – właściciel cukierni,
- Lajzer Zajbert – kupiec i właściciel domu,
- Morytz Zand – właściciel przędzalni i posiadacz osady Mania.

Podobno też i inni jeszcze łodzianie wydawali te bony. Były one fałszowane, odbywały się rozprawy sądowe i wielu emitentów z tego powodu części z nich nigdy nie wykupiło.

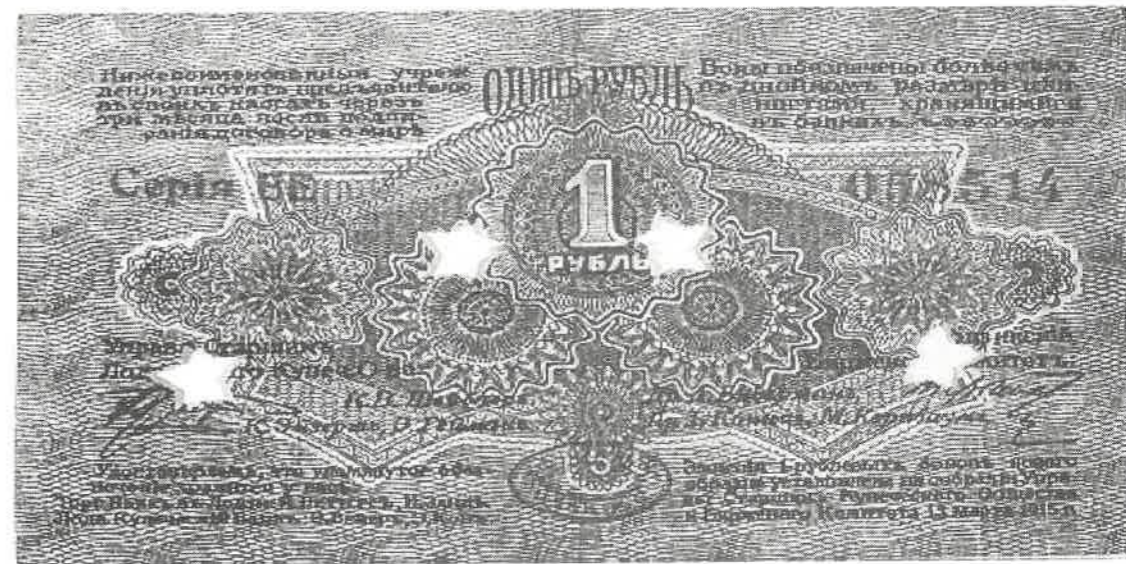
Podaliśmy specjalnie tak długą listę emitentów pierwszych bonów łódzkich, by czytelnik zorientował się o ich wystawcach, zamożności i potrzebie ich wydawania. Do naszych czasów zachowały się tylko 2 sztuki (w tym jedna nieczytelna), które były w dużym zbiorze łódzkiego kolekcjonera, a po jego śmierci zostały wraz z banknotami sprzedane do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Kolejnym okresem powstania bonów była I wojna światowa. Łódź, miasto frontowe, z którego ewakuowano banki – zostało bez pieniędzy. Ponieważ bez nich nie można było prowadzić żadnej działalności, ze sfer wielkoprzemysłowych wyszła inicjatywa wydania środka zastępczego – bonów. Wielkie zasługi przy ich wydaniu położył dr Józef Konic.

7 sierpnia 1914 r. Komitet Reprezentantów Zgromadzenia Kupców m. Łodzi na posiedzeniu łącznie z Łódzkim Komitetem Giełdowym² postanowiły wydać bony o nominałach: 20, 50 kop. i 1 rubla (b.d. 1914) z tekstem polsko-rosyjskim na kwotę – do 1 000 000 rubli. Bony te były zabezpieczone wartościami złożonymi w bankach i miały podpisy znanych i szanowanych łodzian – z Urzędu Starszych Zgromadzenia Kupców m. Łodzi: S. Silbersteina, K. Eiserta, E. Heimana, K. W. Scheiblera i z Komitetu Giełdowego Łódzkiego: dr J. Konica, dr A. Biedermana, R. Geyera i M. Kernbauma. Za Bank Handlowy w Łodzi podpisali: J. Petters i I. Zand, a za Bank Kupiecki Łódzki: E. Wewer i Z. Kon.

Została powołana złożona ze znanych obywateli Łodzi specjalna Komisja pod nazwą Wydziału Finansowego, który do końca zajmował się sprawami związanymi z bonami.

Emisja 1 000 000 okazała się niewystarczająca i kilkakrotnie dodrukowywano kolejne bony. Dalsze bony wydano już z datą 13 marca 1915 r. o nominałach: 50 kop. oraz 1 i 5 rubli. Ciekawostką jest fakt, że bony te



Bon 1-rublowy – I wojna światowa

repr. E. Szkudlarek



Bon 10 zł z 1939 r. (unikat)

repr. E. Szkudlarek

kursowały również w Pabianicach, Zgierzu, a nawet i w Tomaszowie Mazowieckim. We wrześniu 1915 r. w obiegu znajdowały się bony na kwotę 12 mln rubli. Ponieważ ze względu na nieskomplikowany wzór bonów I emisji zaczęto je fałszować, wymieniono tę emisję na drugą z 1915 r. i dodrukowano bony 1-rublowe z datą 27 czerwca 1916 r. ponieważ dał się odczuć na rynku brak tego nominału (z powodu ich wycofania).

W czasie okupacji niemieckiej bony łódzkie nadal kursowały i zdobyły zaufanie ludności. Dopiero na wyraźne polecenie władzy niemieckiej, na konferencji 20 kwietnia 1917 r. zapadła uchwała o przestemplowaniu wszystkich łódzkich bonów na marki, w relacji: 1 rubel = 2,20 marki. W ten sposób bony te miały możliwość dalszego obiegu wspólnie z wydaną przez Niemców (w Łodzi 2 VII

1917 r. Oddział Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej) marką (niby) polską.

Pod koniec 1917 r. bony te zniknęły z obiegu i nie przeprowadzono już nimi żadnych manipulacji. Po podpisaniu traktatu pokojowego, (a właściwie jego ratyfikacji przez sejm RP 31 VII 1919 r.) instytucje wydające bony ustaliły datę wykupu tychże na dzień 10 kwietnia 1920 r. Wydział Finansowy wykupywał wydane przez siebie bony za ... ruble.

Na skutek interwencji łódzkich przedstawicieli, minister Michalski wniósł do Sejmu RP projekt ustawy upoważniającej Rząd do wycofania nie tylko bonów łódzkich, ale i wszystkich wydanych w kraju.

Wartość minimalna wydanych łódzkich bonów w czasie I wojny światowej kształtowała się w granicach 6 mln dolarów i przyczyniła się do dobrego



Bon 2-markowy z getta łódzkiego

repr. E. Szkudlarek

gospodarowania finansami dla dobra ludności m. Łodzi i okolic.

Warto jeszcze dodać, że oprócz wymienionych bonów w Łodzi kursowały też i inne wydane zarówno w czasie wojny, jak i zaraz po niej. Były to bony prywatnie emitowane przez stowarzyszenia, sklepy, instytucje dobroczynne, spółdzielnie, apteki i wiele innych. Wśród nich wyróżniały się bony wydawane przez Łódzką Kolej Elektryczną.

W okresie międzywojennym, w latach 1925–1939, kursowały w obiegu zamkniętym (w garnizonach wojskowych) m.in. i w Łodzi pieniądze zastępcze wydawane przez spółdzielnie wojskowe, prywatne kasyna oficerskie itp., które otrzymywane w rodzaju pożyczek służyły do zakupu dla kadry oficerskiej i podoficerskiej podstawowych produktów, w kasynach obiadów, a czasami nawet jako brzęcząca moneta do gier hazardowych.

II wojna światowa

Na wieść o możliwości wybuchu nowej wojny państwo nasze przygotowało specjalne asygnaty mobilizacyjne oraz banknoty i monety. Również i działacze łódzcy pamiętający kłopoty finansowe Łodzi z okresu I wojny światowej powołały już 6 września 1939 r. Komitet Obywatelski³, a w nim Komisję Finansową, która miała dostarczyć miastu nowe środki płatnicze, gdyż historia znów się powtórzyła. Ewakuowano banki z gotówką, Łódź została więc bez pieniędzy.

Przewodniczącym Komisji Finansowej został Stefan Ender (przemysłowiec z Pabianic), wiceprzewodniczącymi zostali: Tadeusz Konarzewski (notariusz) i Bolesław Kotkowski (właściciel drukarni), skarbnikiem: Aleksander Znamięcki, sekretarzem: Paweł Seipolt (właściciel księgarni i główny prokurent

Zakładów Eiserta) oraz Karol Bajer, Józef Jabłkowski, Otto John, Ludwik Neugebauer, Stanisław Pawłowski, Kazimierz Roszak, Jerzy Scheibler i Wiesław Zbijewski.

Komisja urzędowała początkowo w lokalu Izby Przemysłowo-Handlowej przy al. Kościuszki 4, a potem na ul. Piotrkowskiej 57.

W krótkim czasie przygotowano projekty bonów miejskich, które już za zgodą władz niemieckich zaczęto drukować w zakładach Kotkowskiego i Manitusa.

Wyemitowano w 1939 r. bony o nominałach: 50 gr, 1, 2 i 5 zł. Kursowały one zaledwie około trzech miesięcy, a potem wymieniono je w relacji: 1 marka niemiecka – 2 złote. Badając i opisując te bony, znalazłem i udowodniłem, że dwa nominały: 1- i 2-złotowe były ... fałszowane. Warto dodać, że zachowały się niektóre kamienie litograficzne, na których drukowano te bony. Są one w posiadaniu Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi.

Na zakończenie relacji o tych bonach rewelacyjna wiadomość. Po 55 latach od chwili wydania tych bonów, światło dzienne ujrzał nieznan i niespodziewany nominał ... 10-złotowy. Badałem go i stwierdziłem jego autentyczność. Jest to bon próbny z sześcioma zerami. Ślad po spinaczu wskazuje, że zachował się przy jakimś dokumencie. Można jedynie domniemywać, że Komisja emitująca te bony, na wszelki wypadek zaprojektowała również i nominał 10-złotowy. Prace nad nim były już tak daleko posunięte, że wydrukowano kilka (kilkanaście) wzorów próbnych, które rozdano wśród członków Komisji. Z uwagi na szybkie wprowadzenie do obiegu w Łodzi oficjalnej marki niemieckiej i wycofanie wydrukowanych bonów Komisji Finansowej – nie zaistniała potrzeba wprowadzenia bonu o nominalu 10 zł do obiegu. Pozostał on tylko

w sferze projektów, poszczególne okazy zostały zniszczone lub uległy zagubieniu.

Zachował się jedynie, ku radości historyków i kolekcjonerów, tylko 1 egzemplarz, który przypięty do papierów spoczywał w domowym archiwum. Dopiero po śmierci właściciela, przy robieniu porządków w jego archiwaliach, ujrzał znów światło dzienne.

Z tego wynika ile to jeszcze ciekawych i nieznanych spraw numizmatycznych może pojawić się wbrew przewidywaniom sceptyków.

W czasie okupacji niemieckiej utworzono w Łodzi żydowską dzielnicę mieszkaniową, czyli tzw. getto. Ogrodzono je drutami kolczastymi i postawiono posterunki policyjne, by nikt z niego nie uciekł na stronę aryjską. By odebrać Żydom ich pieniądze – marki niemieckie, obcą walutę, złoto, kamienie szlachetne itp. wprowadzono tam żydowski pieniądz, z początku papierowy, a potem – monety. Z uporem maniaka, niektórzy badacze, a nawet i „numizmatycy” nazywają ten pieniądz banknotami, tak jak gdyby getto w Łodzi było państwem, a nie obozem koncentracyjnym. Nie ma więc żadnej wątpliwości, że wydawane tam kwity, czy też pokwitowania markowe⁴ tak się mają do banknotów, co wolność mieszkańców getta do wolności człowieka wolnego i demokratycznego państwa.

Pod datą 15 maja 1940 r. wydano tam bony o nominałach: 50 fen., 1, 2, 5, 10, 20 i 50 marek. Oprócz tego Poczta w getcie w latach 1942 i 1944 wydała swoje kwitki na 10 fen. (z powodu braku drobnych). Zachowały się też unikatowe kwitki wydawane przez sklepy w getcie zamiast reszty. I to tylko tyle pamią-

tek po narodzie, który z winy tyrańcy psychopaty zginął w naszym mieście lub został wywieziony do obozów zagłady.

Kolejna „pamiątka” tamtych złych czasów jest bon na 5 fen. wydany przez Kasyno Tajnej Policji – Gestapo w Litzmannstadt. Był taki okres (1940 r.), że zarówno w Warszawie, jak i w Łodzi chwilowo brak było drobnej monety i dlatego wyemitowano bony (w Warszawie było ich o wiele więcej).

Na zakończenie naszej krótkiej historii bonów łódzkich, pozostaje jeszcze okres powojenny po 1945 r.

Łódź, jako duże, przemysłowe miasto, produkujące dla wojska, w niedługim czasie została zaopatrzona w nowe banknoty polskie (które były tu w kolejności po Moskwie i Krakowie drukowane przy ul. Doborczyków) i nie było potrzeby drukowania osobnych bonów miejskich. Pozostało tylko trochę prawie niezauważalnej drobny, jak bonów kaucyjnych i towarowych wydawanych przez Bank PKO S.A. i „Orbis”.

Na zakończenie warto podkreślić, że dobrze by było, żeby został opracowany dokładny katalog łódzkich bonów papierowych. Byłby przydatny nie tylko kolekcjonerom, ale i instytucjom muzealnym i innym.

PRZYPISY

¹ J. Litwin, *Łódzkie surogaty monety zdawkowej z okresu Powstania Styczniowego*, Wyd. Arch. Akt Dawnych m. Łodzi, Łódź 1928.

² M. Hertz, *Łódź w czasie wielkiej wojny*, Łódź 1933.

³ M. Cygański, *Komitet Obywatelski miasta Łodzi 6 IX – 9 XI 1939 r.*, „Rocznik Łódzki”, t. II, Łódź 1959.

⁴ S. Bulkiwicz, *Pieniądze Getta Łódzkiego 1940–1944*, Piła 1993.



Bon 5-fenigowy kasyna Gestapo w Łodzi

repr. E. Szkudlarek

Z życia muzycznego Łodzi schyłku XIX wieku

Przekształcenie się miasteczka Łodzi z osady rolniczo-rzemieślniczej w drugie co do wielkości miasto Królestwa Polskiego, a jedno z większych w Cesarstwie Rosyjskim, choć przebiegało zgodnie z wizją urbanistyczną rządu, to jednak pojawiła się w nim duża sfera zaniechań w infrastrukturze społecznej i kulturalnej. Zmiany bowiem przebiegały tutaj żywiołowo; wygrywały te grupy zawodowe i wyznaniowe, które umiały się organizować i były silne ekonomicznie. Do nich należała przede wszystkim ludność niemieckojęzyczna i Żydzi. To ich tradycje kulturalne i aspiracje nadawały charakter miastu i stwarzały szczególny klimat. Polacy – choć nie pozostawali w mniejszości – mobilizowali się nieco wolniej. Decydowały o tym zarówno czynniki psychologiczne, jak i ekonomiczne. Wszak żyli oni na swojej ziemi, choć nie we własnym *de facto* państwie. W zdecydowanej większości stanowili najemną, tanią siłę roboczą. Ich status społeczny był zatem przeciętny, a często nawet zły. Ośrodkiem ich życia kulturalnego była parafia i cechy. To tam działały chóry i orkiestry. Jako konsumenci kultury tworzyli – na tle osadników z południa i zachodu Europy – grupę stosunkowo nieliczną. Polscy urzędnicy, nauczyciele, księża czy dziennikarze, a więc tzw. inteligencja, wobec prężnego żywiołu obcego do czasu wybuchu I wojny światowej, pozostawali w mniejszości. Miało to swoje odbicie nie tylko w liczbie polskich przedstawień teatralnych, tytułach polskojęzycznej prasy, nazwiskach wirtuozów, dyrygentów czy pedagogów, ale i w ich jakości. Łódź rodzima, polska, pozostawała tradycyjalistyczna i plebejska. Burżuazja łódzka zaś, choć nie grzeszyła najlepszym smakiem, z natury swojej była kosmopolityczna i snobistyczna, a przez to w jakimś stopniu otwarta na nowinki – nie tylko techniczne, ale i kulturalne.

W połowie XIX stulecia maszyna parowa wypierała już pracę ręczną, zastępowała mięśnie końskich zaprzęgów i konieczność piętrzenia wód niezbędnych do niedawna w pracy każdej fabryki włókienniczej. Poczta – jako jedyny uniwersalny przewoźnik ludzi, korespondencji i towarów – traciła na znaczeniu. Jej pracę usprawniał jednak telegraf, niebawem zaś telefon. Mnożyły się firmy przewozowe, ale dopiero połączenie Łodzi ze szlakiem Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej przyniosło zasadnicze zmiany i włączyło miasto w europejską sieć „dróg żelaznych”. W owych czasach oznaczało to mniej więcej tyle samo co dziś połączenia lotnicze. Była to więc rewolucja techniczna i skok cywilizacyjny zarazem.

Przywóz surowców, maszyn i paliw, a równocześnie wywóz gotowych produktów, liberalna polityka celna, a przede wszystkim chłonny i mało wymagający jeszcze rynek wschodni sprawiły, że już w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia potencjał i organizacja produkcji nosiły cechy wielokapitalistyczne, a Łódź nabierała wielkomiejskiego charakteru. Budowano w rewelacyjnym tempie już nie tylko wielopiętrowe kamienice czynszowe i gmachy publiczne, ale całe zespoły fabryczno-pałacowe, podmiejskie rezydencje, kościoły, ogrody prywatne oraz miejskie parki. Powstawały szkoły, szpitale i ochronki.

Jednak – w przeciwieństwie do starych miast europejskich – w Łodzi wcześniej zbudowano budynek dworca kolejowego aniżeli odpowiedni gmach teatralny (nie licząc drewnianej estrady Paradyża przy ul. Piotrkowskiej 175 czy teatrzyków letnich Sellina). Ale od tej chwili częściej i wygodniej mogli do Łodzi zaglądać instrumentalisci, dyrygenci i całe trupy teatralne. Po 1866 r., a więc od chwili uzyskania połączenia kolejją, coraz częściej zdarzało się, że artyści pozostawali w Łodzi na dłużej, a niektórzy osiedlali się na stałe. Rodziło się powoli samodzielne, lokalne środowisko muzyczne miasta, którego aspiracją stawało się z biegiem czasu posiadanie własnej i odpowiedniej sali koncertowej. Jej otwarcie nastąpiło jednak dopiero w 1887 r. w gmachu Ignacego Vogla przy ówczesnej ul. Dzielnej (dziś Narutowicza), odpowiednio reprezentacyjnym o niezłej zresztą akustyce i nie najgorszym zapleczu. Mieściła się tam również sala balowa, później restauracja „Tabarin”.

27 stycznia 1887 r. odbył się szczególnie uroczysty koncert inauguracyjny z udziałem chórów niemieckich „Freunde des Gesanges”, „II Männergesangverein Hoffnung”, chóru mieszanego, orkiestry 37 Pułku Piechoty oraz solistek: Julii Leichnic i panny Müller. Program składał się aż z 27 pozycji i był prezentacją nowych możliwości, jakie dawała sala Vogla zwana od tego czasu Domem Koncertowym.

Powstała też w Łodzi instytucja impresariatu artystycznego, dla której wzorem było Warszawskie Towarzystwo Muzyczne z tradycją koncertów publicznych zapoczątkowanych jeszcze w pierwszej ćwierci XIX stulecia przez Józefa Elsnera (nauczyciela Chopina), najpierw w Resursie Kupieckiej – później na scenie Teatru Narodowego.

Dużą popularnością wśród łódzkiej publiczności cieszyły się koncerty w parkach publicznych i prywat-

nych ogrodach, w których były usytuowane odpowiednie estrady lub sceny. Park Helenowski i Park Źródlika biły pod tym względem rekordy popularności. Koncerty kameralne muzyki rozrywkowej rozpowszechniały się też w łódzkich kawiarniach. Ich bywalcami stawali się w większości zamożni mieszkańcy, których stać było na kupno biletu. „Koncerty popularne” organizowało bezpłatnie Towarzystwo Muzyczne (była to orkiestra miejska), jak również Orkiestra Dęta Zakładów Bawełnianych Karola Scheiblera. Bezpłatnie koncertowały też orkiestry wojskowe, grające przeważnie do tańca w podmiejskich laskach. Orkiestry te nie stroniły od melodii polskich, a mazur, obertas czy kujawiak były na porządku dziennym. Grywały też popularne walce wiedeńskie Straussów, marsze wojskowe, a nawet pieśni ludowe polskie, rosyjskie i ukraińskie. Często do Łodzi zaglądały tzw. orkiestry włościańskie grające w strojach regionalnych, co było dodatkową atrakcją i cieszyło się olbrzymim powodzeniem, szczególnie wśród ludności robotniczej, która swoimi korzeniami tkwiła w tradycji wsi. Niewiele jednak od wnętrza wiejskiej chałupy różniły się ich miejskie sadyby skoszarowane w charakterystycznych „famioliakach”. To tutaj rodziły się kapele odwiedzające podwórka kamienic czynszowych i tym często zarabiające na życie. Najwierniejsza łódzkiej publiczności była jednak sławna Orkiestra Włościańska Karola Namysłowskiego. Nawiedzała też niejednokrotnie Łódź Orkiestra z Ojcowa, Orkiestra Krakowska i Kapela Bartusia Obrochty z Zakopanego. Pamiętajmy, że w Łodzi były to ich występy zagraniczne; przyjeżdżali bowiem z Galicji, a występowali w Kongresówce. Dla wielonarodowości publiczności łódzkiej Krakowiaczy i Górale byli równie egzotyczni co Kozacy Dońscy czy Tatarzy.

„Dziennik Łódzki” (nr 130) z 1890 r. odnotował nawet pojawienie się w mieście sędziwego lirnika-zebraka pochodzącego z Guberni Lubelskiej. Za to katarzynki były w XIX- i XX-wiecznej Łodzi na porządku dziennym i można je było nawet nabywać wraz z ... koniem (!) przy ul. Przejazd nr hip. 1138. Dodatkowo do wyposażenia mogły dojść małpki, białe myszki, świnki morskie i papugi wyciągające „koperty szczęścia” z horoskopami lub wróżbami, a nawet „złote pierścionki” – z tombaku oczywiście!

Muzyką mechaniczną rozbrzmiewały nie tylko ulice, ale i targowiska podmiejskie. Bałuty, nie będące wówczas w obrębie granic miasta, miały swoją własną wytwórnię katarynek prowadzoną przez Karola Bassiego, która – *nota bene* – dotrwała do czasów II wojny światowej, a przestała istnieć wraz z likwidacją łódzkiego getta. W kawiarniach łódzkich schyłku XIX stulecia pojawiały się też maszyny grające z repertuarem operetkowym i tanecznym. Katarzyniarzom często towarzyszyli iluzjoniści, zonglerzy,

tancerki, komicy i ... złodzieje kieszonkowi. Stąd nakaz wydalenia przez policję w 1888 r. większości ulicznych „artystów”, gdyż jak się okazało „[...] zwabiali grą mieszkańców do okien, a drudzy kradli co popadło [...]” („Dziennik Łódzki”, nr 150 z 1888).

Jak podaje Alfons Pellowski w swej obszernej monografii *Kultura muzyczna Łodzi do roku 1918*, w 1886 r. z Ręczna koło Piotrkowa przeniósł się na stałe do Łodzi lutnik Józef Radzikowski, który już w rok później wytwarzał skrzypce. Był on też konserwatorem i stroicielem instrumentów w teatrze Sellina. Produkowane w jego pracowni egzemplarze sygnowano inicjałami J. R. W 1886 r. powstała manufaktura instrumentów smyczkowych i dętych Teodora Lessiga. Jego syn – Alfred – odbywał praktyki lutnicze w Markneukirchen w Saksonii. Ożeniwszy się z córką swojego „mistrza”, wrócił do Łodzi, kupił dom przy ul. Nawrot 22/24, gdzie miał pracownię i sklep muzyczny. Istniała też w Łodzi fabryka harmonii Alberta Waitinka przy ul. Piotrkowskiej 186. W ostatniej ćwierci XIX wieku pojawiło się też sporo niezłe zaopatrzonych sklepów muzycznych, w których sprzedawano fortepiany renomowanych producentów. Największym składem fortepianów, pianin, fisharmonii, katarynek i pozytywek był sklep Zonera przy Nowym Rynku, później przy Dzielnej 13. Olbrzymie znaczenie dla kultury muzycznej Łodzi miało otwarcie w 1890 r. przy ul. Piotrkowskiej 34 składu fortepianów i nut warszawskiej firmy Gebethner i Wolff. Firma ta – znana z jakości edytorskiej – wypożyczała też instrumenty koncertowe, podejmowała się ich fachowego transportu i konserwacji. Przy ul. Piotrkowskiej 46 istniał też skład fabryczny fortepianów i pianin Małeckiego, a przy ul. św. Andrzeja skład instrumentów muzycznych prowadził Andrzej Rabowski. W 1898 r. znana kaliska fabryka fortepianów Arnolda Fibigera otworzyła swój sklep firmowy przy Piotrkowskiej 132. Także przy Dzielnej 44 działał sklep muzyczny braci Koischwitz; filia firmy Herman i Grosman mieściła się przy ul. Piotrkowskiej 86. Przy Piotrkowskiej 46 sprzedawała swoje instrumenty znakomita firma C. M. Schrödera, gdzie był też olbrzymi wybór instrumentów dętych. Księgarnie i składy nut na ul. Piotrkowskiej prowadzili Stefan Zienkowski pod nr 58; L. Zoner pod nr 90 i J. Friedberg pod nr 108. Znane też były sklepy Fiszera i Teschnera. Po Warszawie, Łódź była więc drugim co do wielkości rynkiem zbytu instrumentów muzycznych i nut w Królestwie Polskim. Klientela łódzka niczym szczególnym nie różniła się od odbiorców i melomanów w innych tej wielkości miastach na terenie Cesarstwa poza – co oczywiste – repertuarem.

Rozwojowi życia artystycznego Łodzi towarzyszyła też profesjonalna krytyka muzyczna w prasie zarówno

polskiej, jak i niemieckojęzycznej. Sprawozdania z wydarzeń muzycznych Łodzi ukazywały się też w czasopiśmie stołecznych, takich jak „Młoda Muzyka” czy „Przegląd Muzyczny”. Relacjonowane były przez wytrawnego muzykologa i publicystę Stanisława Szwarbacha. Do głosu dochodzili też łódzcy kompozytorzy – nie zawsze rodowici łodzianie – jednak ich twórczość nawiązywała do tradycji lokalnych. Miniatura muzyczna pt. *Wspomnienie z Helenowa* Emilii Röhme, polka *Helenówka*, polkamazurka *Łodzianka* i marsz pt. *Souvenir de Lodz* J. A. Quasta – to niektóre z bardziej popularnych w tym czasie kompozycji. We wspomnianej już książce A. Pellowski podaje informację, że np. kapelmistrz Albert Grasse skomponował z okazji III Zjazdu Śpiewaczego niemieckich towarzystw śpiewających Królestwa (odbył się w sierpniu 1872 r. w Zgierzu) utwór na chóry męskie pt. *Sänger – Grüss-Marsch*, a nauczyciel katolickiej szkoły elementarnej w Łodzi czterogłosowy utwór chóralny na cześć carowej, Korneliusz Melc – nauczyciel śpiewu w Szkole Wyższej Rzemieślniczej – *Mszę G-dur z akompaniamentem orkiestry* na otwarcie kościoła św. Krzyża. Znane są również: *Kwartet smyczkowy Es-dur* A. Dworaczka wykonany w 1898 r. w Łodzi, *Kwartet smyczkowy* i muzyka do dramatu *Salomon* Stefana Krzyszkowskiego czy *Sonata A-dur na skrzypce i fortepian* Karola Pöppera. Nie są to oczywiście wszyscy kompozytorzy działający wówczas w Łodzi i wszystkie ich dzieła.

Wraz z rozwojem życia muzycznego pojawiły się pomysły stworzenia w Łodzi stałej orkiestry symfonicznej. Wiązało się to z zapewnieniem odpowiednich środków z kasy miejskiej lub finansowania orkiestry przez sponsorów. Próby tworzenia 35-osobowego zespołu podejmował Otton Heyer już w latach 1882–1892. Opierał się on na instrumentalistach teatrów „Victoria” i „Thalia” oraz przeszkolonych amatorach. W repertuarze znalazły się takie dzieła, jak *II Symfonia D-dur* L. van Beethovena, *Symfonia A-dur* i *Uwertura koncertowa Ruy-Blas* F. Mendelssohna, uwertury do oper *Halka*, *Wilhelm Tell*, *Tennhauser*, *Czarodziejski flet* i inne. Choroba i zgon Heyera w 1898 r. przeszkodziły dalszemu rozwojowi tej orkiestry. Próbę kontynuacji tradycji koncertów muzyki symfonicznej podjęło natychmiast powstałe w 1898 r. Łódzkie Towarzystwo Muzyczne. Zorganizowało amatorską orkiestrę z jej kierownikiem artystycznym Henrykiem Melcerem na czele. Brak mecenatu ze strony miasta nie pozwolił rozwinąć się tej instytucji właściwie. Do Łodzi zaczęły więc znów przyjeżdżać warszawskie zespoły muzycz-

ne: Adolfa Sonnelfelda, Teatru Wielkiego, a niebawem już na początku XX stulecia – Filharmonii Warszawskiej. Grywały też w Łodzi orkiestry z Hamburga, Berlina, Wiednia, a Holenderskie Stowarzyszenie Orkiestrowe z Arnhem pod dyrekcją J. A. Quasta korzystając z impresariatu Anstadta, koncertowało pod koniec stulecia w Parku Hellenowskim, a także w ogrodzie przy hotelu Manteuffla. W sezonach zimowych Quast dyrygował operą w Amsterdamie.

Niewątpliwie bogate życie muzyczne Łodzi miało swoje odzwierciedlenie w muzycznym ruchu amatorskim. Wystarczy wymienić takie zespoły, jak Scheiblerowskie Orkiestry Fabryczne, Orkiestrę Amatorską Maurycego Wachtela, Orkiestrę Ochotniczej Straży Pożarnej, Orkiestrę Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, Orkiestrę Dyletantów przy Łódzkim Towarzystwie Komisowym, orkiestrę Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego czy Orkiestrę Robotniczą przy fabryce Heinzla i Kunitzera (orkiestra dęta i chór). Miały też własne zespoły muzyczne takie przedsiębiorstwa czy instytucje, jak np. Stowarzyszenie Pracowników Handlu czy rosyjskie garnizony wojskowe zlokalizowane na terenie miasta. Działy też wiele chórów świeckich i kościelnych różnych wyznań. Istniał też żydowski chór amatorski pod nazwą Towarzystwo Muzyczno-Literackie „Hazomir”, a także chóry synagogałne. W zamożnych domach łódzkich uprawiano muzykę kameralną. Szczególną popularnością cieszyły się występy solistów. Ogromne też było zainteresowanie operą i operetką. Wystawiano – choć rzadziej – dla bardziej wyrobionej publiczności kantaty i oratoria. Wiązały się one przeważnie z uroczystościami kościelnymi.

Pod wpływem nowych prądów w psychologii i pedagogice zaczęto dostrzegać w edukacji muzycznej ważny element kształtowania osobowości. Rytmika i śpiew były zatem jednym z elementów wychowania. Pierwsza szkoła muzyczna powstała w Łodzi w 1893 r. Była to Szkoła Muzyki i Śpiewu Julii Elszewicz, absolwentki Petersburskiego Konserwatorium Muzycznego, śpiewaczki operowej i oratoryjnej. Szkoła ta kształciła nie tylko miejscowych instrumentalistów i pedagogów, ale i wokalistów. W 1897 r. powstała kolejna Szkoła Muzyczna Daniela Boehma, byłego dyrektora analogicznej placówki w Petersburgu. W rok później otwarto Szkołę Muzyczną Tadeusza i Ignacego Hanickich, absolwentów klasy skrzypiec Królewskiej Akademii Muzycznej w Berlinie. Na tej bazie w kolejnym stuleciu mogły powstawać już własne, stałe zespoły operowe, a w dalszej kolejności Opera jako najwyższy stopień działalności muzycznej.

Tyfus, gruźlica i Mozart

Przez piekło łódzkiego getta przeszło ok. 200 tys. osób. Było to jedno z najbardziej tragicznych gett. Hermetycznie odizolowane od świata zewnętrznego, w 1942 r. przekształcone zostało w wielki obóz pracy, noszący charakter koncentracyjnego łagru.

Nawet w tak diabolicznych warunkach instynkt samozachowawczy wśród ludności getta osadzonej za kolczastymi drutami był bardzo silnie rozwinięty.

Do września 1942 r., do kiedy Niemcy tolerowali pozorną, wewnętrzną autonomię getta, bujnie rozwijało się życie kulturalne, przybierając różnorodne formy. Uczestnictwo w imprezach kulturalnych, jak twierdzą historycy Holocaustu, było formą biernego oporu, przyczyniało się do zachowania ludzkiej godności, ludzkiego oblicza w epoce dymiących pieców krematoryjnych.

Może wydać się szokujące, ale gruźlica, tyfus i Mozart w tych straszliwych czasach pogardy koezystowały ze sobą.

Łódzkie getto było drugim po getcie warszawskim ośrodkiem żydowskiego aktywnego życia kulturalnego. W początkowym okresie istnienia łódzkiego getta życie koncentrowało się wokół utworzonych przez żydowską administrację Chaima Rumkowskiego kuchni ludowych. Zapewniały one mieszkańcom zamkniętej dzielnicy miskę gorącej stawy. Przy kuchniach ludowych podejmowały działalność odradzające się, tradycyjne żydowskie partie polityczne. Były one współorganizatorami wielu imprez o charakterze artystycznym.

Najważniejszym ośrodkiem, centrum życia kulturalnego, do czasu oddania do użytku Domu Kultury, była kuchnia dla inteligencji (kuchnia nr 2) mieszcząca się przy ul. Zgierskiej 41 (Ceglanej 10). Dysponowała ona najlepszymi warunkami lokalowymi – odpowiednią salą do organizowania imprez. Wieczory kulturalno-rozrywkowe odbywały się również w pomieszczeniach na terenie kuchni przy ul. Berka Joselewicza 16, Brzezińskiej 59, Miodowej 12.

Doniosłą rolę w upowszechnianiu kultury w getcie odegrał Dom Kultury otwarty 1 marca 1940 r. przy ul. Krawieckiej 3. Przed wojną, paradoksalnie, była to siedziba partii endeckiej i rozbrzmiewały tam hasła antysemitki – nawoływania do wypędzenia Żydów z Polski. W Domu przy ul. Krawieckiej znajdowała się sala mieszcząca 400 osób, scena wraz z niezbędnymi rekwizytami. Stałe miejsce znalazła w odnowionym Domu Kultury orkiestra symfoniczna oraz zespół teatralny.

Do rozwoju życia muzycznego duże zasługi położyli Dawid Bajgelman i Teodor Ryder. Bajgelman był jednym z najbardziej znanych w Łodzi muzyków w okresie międzywojennym. W wieku 14 lat został oddany na naukę do klezmera (żydowskiego muzykanta przygrywającego na weselach). Później u profesora konserwatorium berlińskiego, Richarda Antoniusa pobierał lekcje teorii muzyki i gry na skrzypcach. W sezonie 1906/07 został zaangażowany jako skrzypek do orkiestry teatralnej przy trupie Icchaka Zandberga (założyciela stałej sceny żydowskiej w Łodzi). Dawid Bajgelman na stałe związał się wówczas z łódzkimi scenami teatralnymi. Komponował m.in. muzykę do programów słynnego awangardowego teatryku „Ararat”, utworzonego w latach dwudziestych przez Mojżesza Brodersona. Wiele podróżował po świecie: koncertował w Brazylii, Argentynie, Paragwaju. Długi czas prowadził orkiestrę teatralną w Rydze. W 1944 r. zginął w Oświęcimiu.

Rok temu Stowarzyszenie Żydowsko-Chrześcijańskie w Nowym Jorku na dorocznym koncercie przypominało twórczość muzyczną Dawida Bajgelmana. Przyznano mu też pośmiertną, specjalną nagrodę, którą odebrał jego 98-letni brat.

Nieocenione źródło, jakim jest *Kronika getta łódzkiego* pod datą 1 marca 1941 r. relacjonuje przebieg kilku imprez kulturalnych:

„Dziś w sali Domu Kultury przy ul. Krawieckiej 3 odbył się pierwszy występ orkiestry symfonicznej pod batutą Dawida Bajgelmana [...]. Po skończonym koncercie prezes Rumkowski przemówił do zebranej publiczności o aktualnych wydarzeniach i swoich zamierzeniach [przemówienia Rumkowskiego o sytuacji w getcie na większych imprezach artystycznych stały się tradycyjnym zwyczajem – przyp. J. K.].

W sali kuchni nr 2 odbył się jak zwykle, z wielkim powodzeniem, występ skrzypaczki Bronisławy Rotsztatówny. Akompaniował Teodor Ryder. Pan Sztajman czarował publiczność swym miłym tenorem.

W lokalu kuchni przy ul. Masarskiej odbył się dziś piąty już z kolei podwieczorek sobotni Oneg Szabat, poświęcony recytacjom i śpiewowi”.

Życie kulturalne bardzo się ożywiło po wsiedleniu do getta ok. 20 tys. Żydów z krajów Europy Zachodniej. Wśród nich znajdowało się wielu utalentowanych artystów, szczególnie w gronie przybyszów z Pragi czeskiej i Austrii. Wśród przybyłych znalazł się również znany pianista (z Wiednia) Birkenfeld.



Śpiewak łódzkiego getta

Do końca 1941 r. w Domu Kultury przy ul. Krawieckiej odbyło się aż 100 koncertów muzycznych!

Największym powodzeniem wśród publiczności w getcie cieszyły się rewie. Programy rewiowe były kontynuacją tradycji awangardowych teatrzyków z lat dwudziestych, m.in. wspomnianego już słynnego „Araratu”. Programy miały charakter szopki politycznej o zacięciu satyrycznym.

Twórcą i równocześnie reżyserem programów rewiowych był Mosze Puławer, wywodzący się z przedwojennego „Araratu” (przeżył wojnę i spisał w Izraelu, w jidysz, swoje wspomnienia), scenografię projektował Pinhas Shaar (Pinkus Szwarz), grafik i malarz – mieszka obecnie w USA, a oprawa muzyczna spoczywała w rękach Dawida Bajgelmana.

Zachowały się informacje o trzech wystawionych w getcie łódzkim rewiach (oznaczonych w kolejności rzymskimi cyframi I, II, III). Skrupulatny kronikarz odnotował pod datą 31 maja 1941 r.:

„W sobotę dnia 31 maja Dom Kultury wystawił rewię. Na całość złożyły się skecze, aktualne obrazki rodzajowe, monologi i występy taneczne. Rewia, jak na warunki getta, z uwzględnieniem w pierwszym rzę-

dzie braku zawodowych artystów, przeszła wszelkie oczekiwania. Imprezę można bez ogródek zaliczyć do rzędu widowisk pozostających na poziomie dobrego przedwojennego teatru [...]”.

Dodajmy, że śpiewane w czasie rewii aluzyjne piosenki i kuplety następnego dnia nuciła ulica w getcie. Kilkakrotnie parodystyczne teksty zdejmował z afisza sam Rumkowski oraz ingerowali inni wysocy dygnitarze żydowscy. Zaskakujące może być, że nawet tzw. Sonderowcy (Oddział Specjalny Policji Żydowskiej) pokusili się o wystawienie rewii własnymi „siłami aktorskimi”. W zbiorach izraelskiego kibucu Bejt Lochamei Getaot przechowywany jest album zdjęć z tego przedstawienia, wręczony po spektaklu Rumkowskiemu. Własną rewię przygotowała też na swój jubileusz (obchodzony 3 VI 1943 r.) Żydowska Policja.

W koncertach i przedstawieniach odbywających się w Domu Kultury przy ul. Krawieckiej wzięło łącznie udział ok. 70 tys. osób.

Ulica w getcie miała swojego trubadura. Był nim Jankiel Herszkowicz, pochodzący z Opatowa. Urodził się w tym małym miasteczku w 1910 r. Po nauce w szkółkach religijnych (chederze) poświęcił się



Trubadur getta łódzkiego Jankiel Hirszkowicz

rzemiosłu krawieckiemu. Za lepszym chlebem przywędrował do Łodzi, która dawała większe perspektywy życiowe. Od młodości wykazywał samorodne uzdolnienia muzyczne, komponował piosenki na kanwie popularnych szlagierów i innych utworów. Umiął sobie pracę śpiewaniem i graniem. Kiedy przyszła okupacja i znalazł się w getcie łódzkim, postanowił piosenkami podtrzymywać swoich rodaków na duchu. Wędrował po bałuckich, parszywych ulicach i podwórkach, po dawnym królestwie Ślepego Maksa, Szaji Magnata i bałuckiej dintojry. Układał i śpiewał satyryczne piosenki na żydowskich dygnitarzy. Wykpiwał w nich Szyszkowice, czyli Marysin, gdzie mieli swoje letnie rezydencje. Tematem wielu jego piosenek stał się marionetkowy król łódzkiego getta – Mordechaj Chaim Rumkowski. Szydził z jego despotyzmu i megalomanii, strojenia się w piórka władcy oraz innych wad i słabostek. Początkowo Rumkowski tolerował Jankiela Śpiewaka (taki zyskał przydomek). Starał się nawet go obłaskawić. Świadczy o tym następujący zapis w *Kronice getta łódzkiego* (t. I, s. 295):

„*Es gajt a jeke mit a teke* (Idzie Jeke z teką) to refren najnowszego gettowskiego szlagieru, śpiewa-

nego na melodię popularnej wojskowej piosenki *Karabin maszynowy*: parodiuje przygody przybyłych tu ostatnio »Niemców«, popularnie zwanych w żydowskiej gwarze »jekami«, na wesoło ujmuje ich dole i niedole, wieczne głodnych i szukających pożywienia, a »tubylcy« się z nich z lekka nabijają i często gęsto korzystają z ich naiwności i niezajomości stosunków: mowa jest i o kobietach paradujących uliczkami Bałut w spodniach. Autorem piosenki, jej wykonawcą, jest popularny gettowy »trubadur« uliczny Herszkowicz, dawniej z zawodu krawiec. W ur. r. skomponował on nader popularną aktualną piosenkę pt. *Rumkowski Chaim*, z której wykonania zarabkował przez szereg miesięcy, a raz nawet otrzymał 5-markowy datek od samego prezesa, który przypadkowo znalazł się wśród słuchaczy. Innym razem znów gettowy »trubadur« otrzymał osobiście od prezesa paczkę macy, gdy wykonywał swą piosenkę w okresie przedświątecznym przed sklepem, wizytowanym w tym czasie przez zwierzchnika getta. Obecnie piosenkarz zawiązał spółkę z wiedeńczykiem, niejakim Karolem Rozen-cwajgiem, byłym komiwojażerem. Wiedeńczyk przygrywa na gitarze lub cytrze. A ten osobiwy –

jak wszystko co jest w getcie – duet bałuckiego krawca z wiedeńskim komiwojazerem cieszy się wielkim powodzeniem wśród gawiedzi [...]”.

Doniesiono później Rumkowskiemu, że Jankiel Herszkowicz skomponował nową piosenkę o Trzech Chaimach, w której przyrównuje go do Chaima Grabarza, pracującego na cmentarzu żydowskim. Zamknięto wtedy Herszkowicza. Wówczas zebrały się pod więzieniem tłumy, domagające się jego uwolnienia. Rumkowski nie miał innego wyjścia, musiał go zwolnić. Jednak

zaszkodziła Jankielowi piosenka o tym, co dygnitarze getta będą robić po wojnie. Rumkowski miałby sprzedawać bajgielki na ulicy. Prezes wpadł wtedy ponoć w szał i wysłał Herszkowicza do Oświęcimia. Jankielowi udało się przeżyć Auschwitz-Birkenau, a następnie obóz pracy w Niemczech. Po wojnie wrócił do Łodzi. Pracował w różnych spółdzielniach krawieckich. Zmarł w 1972 r., pochowany został na Cmentarzu Komunalnym na Dołach.

Na nasz podziw zasługuje bohaterska postawa ludności getta łódzkiego w obliczu totalnej zagłady.

MIROSLAW PIETRZAK

Rogi – osada na skraju lasu

Stara wieś Rogi (Roghi, Rogy) swą topograficzną nazwę wywodzi od usytuowania na skraju dużego obszaru Lasu Łagiewnickiego (obecnie 1205 ha). Położona na krawędzi tzw. Wzniesień Łódzkich, charakteryzuje się pagórkowatym krajobrazem, który miejscami, w okolicy, tworzą izolowane wzniesienia od 250–270 m n.p.m. Miejscowość charakteryzuje się także rozległą strefą gleb wytworzonych z piasków gliniastych lekkich i mocnych, należących do średniej jakości gleb gorszych (kl. IV i IVb).

W odległej przeszłości teren wsi był pokryty zwartymi kompleksami leśnymi i zaroślami (obecnie leśno-parkowymi), potwierdza to jeszcze *Plan rekonstrukcyjny organizacji przestrzennej obszaru obecnej Łodzi w 1 połowie XV w. (około 1430 r.)*, opracowany przez Marka Kotera. Osada była położona na śródleśnej polanie na południu od rzeki Czerniec (obecnie Bzury), a pola ze wszystkich stron otoczone były zwartym lasem.

Występujące tutaj polodowcowe piaski – szczególnie rzeczne dobrze przemyte – były przedmiotem eksploatacji nie tylko do celów budowlanych, ale i niebudowlanych, np. na potrzeby prymitywnego hutnictwa szkła, szczególnie w początkach XIX w.

Pagórkowaty krajobraz tej miejscowości i najbliższych okolic jest przecięty głęboką bruzdą doliny Bzury, która obecnie ma swe źródła w pobliżu ul. Boruty w dwóch stawach (zob. najnowszy *Plan miasta Łodzi z 1996 r.*). Dawniej jej źródła znajdowały się na wschód od obecnej ul. Strykowskiej, ale wycięcie dużego obszaru lasu w epoce przedprzemysłowej (do pocz. XIX w.) spowodował jej zanik i

przesunięcie się na zachód, potwierdzają to mapy z XVIII i XIX w., a także plan opracowany przez Kotera. Warto w tym miejscu jeszcze wyjaśnić obecną nazwę Bzury, której południowy, bardziej wydajny ciek płynący na zachód przez Arturówek i na północ przez Łagiewniki Małe nosił dawniej nazwę Czerniec, dziś zanikną. Północny zaś strumień, biorący swój początek w rejonie Modrzewia, przepływał na zachód przez Las Łagiewnicki i był na mapach z XVIII i XIX w., a nawet wcześniej w średniowieczu nazwany Bzurą, dziś natomiast Brzozą, choć niekiedy w literaturze występuje pod popularną nazwą Łagiewniczanka (zob. mapa nr 1).

Obfitość świeżej wody, poblizko dużego lasu i samo ukształtowanie terenu wpłynęły tu na rozwój osadnictwa w epoce pradziejowej. Występujące ślady kilku kultur archeologicznych, potwierdzają jego atrakcyjność. We wczesnym i późnym okresie brązu (1,8–1,2 tys. p.n.e.), pojawia się tu kultura trzyniecka, udokumentowana przez drobne ułamki naczyń. Ceramika ta była pozostałością po osadach lub obozowiskach w Rogach i w pobliżu na Julianowie i Radogoszczu. Wcześniej, u schyłku neolitu (ok. 4,5–1,8 tys. p.n.e.), istniały tutaj kultury ceramiki grzebykowo-dołkowej i sznurowej, strefy leśno-zbierrackiej. Kolejny etap osadniczy, reprezentuje kultura przeworska (od 125 p.n.e.–375 n.e.), spotykamy też silne wpływy celtyckie, głównie w rozwoju metalurgii, zwłaszcza w wyrobie broni, słabiej w ceramice, które reprezentuje cmentarzysko w Rogach. Występują też na obszarze w pobliżu Rogów Arturówku, Łagiewnikach Małych i Łagiewnikach Starych znaleziska luźne np.: złote monety rzymskie.

Układ osadniczy wsi określa się bądź jako ulicówkę o formie szcawkowej i o wieloniwowym układzie pól (Bohdan Baranowski), bądź też jako przysiółek bezkształtny zwarty (Stefan Marian Zajączkowski). Ten ostatni przypuszcza, że jego kształt, sugeruje dość późne powstanie miejscowości, zapewne w XIV w.

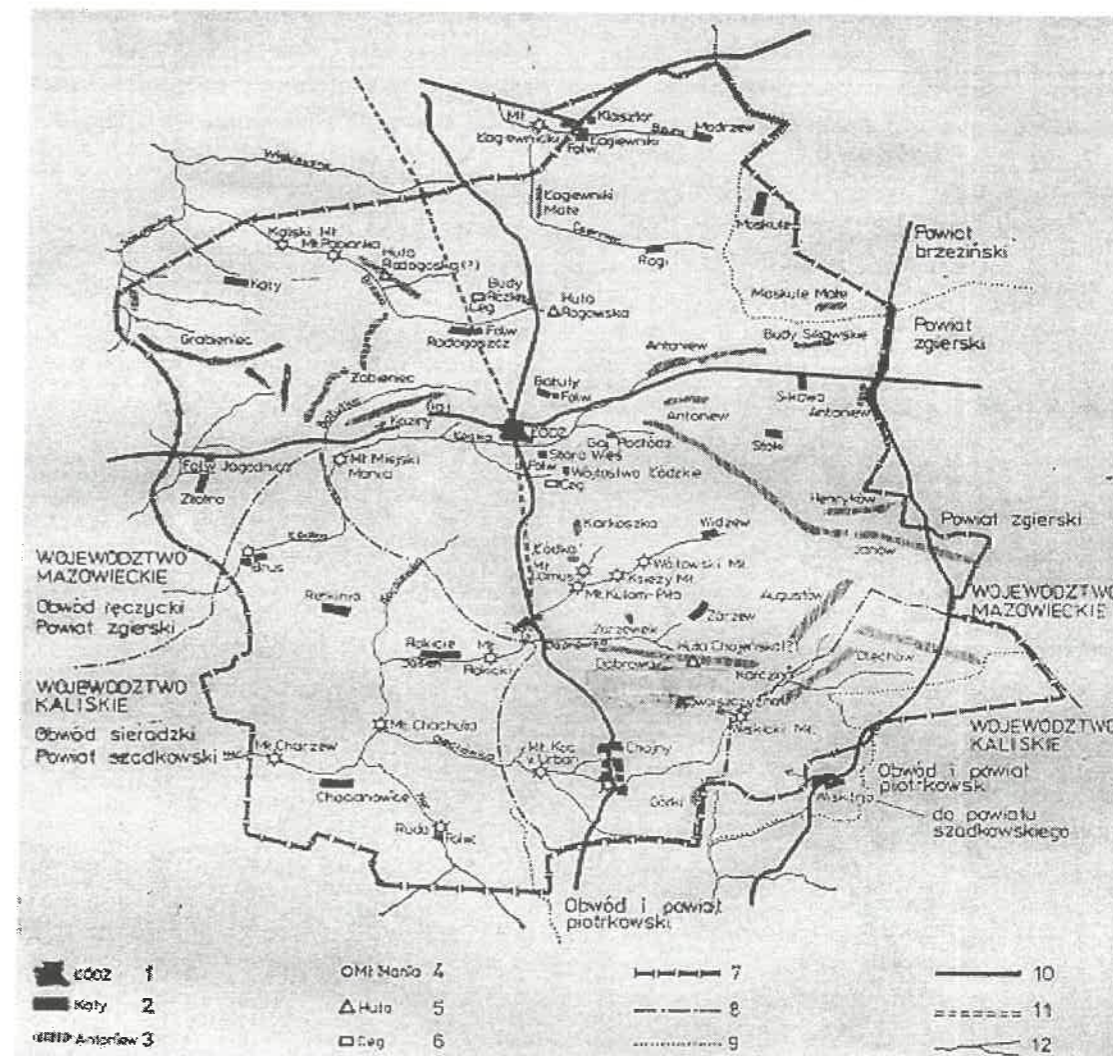
Najstarsza wzmianka źródłowa o wsi pochodzi z 1350 r., a zawarta jest w kopiarzu *Metryki Koronnej*. Dotyczy aktu podziału dóbr, między dziedzicami Gieczna, Sieciechem a Bogutą. Rogi przypadły Bogucie. Kolejna wzmianka źródłowa pochodzi z 1393 r., zanotowano tam imię kmiecia Pawła z Rogów – Paulus kmeto de Roghi (księga sądowa łęczycka). Od 1447 r. wieś należała do rodziny Rogowskich, stąd biorących (przypuszczalnie) swe nazwisko i tu najdłużej panujących.

Począwszy od 2 połowy XIV w., szlachecka wieś Rogi pod względem administracyjnym znajdowała się na południowo-zachodniej granicy, wspomnianego powiatu brzezińskiego, wraz z Łodzią, Dołami i Łagiewnikami. Pod względem natomiast przynależności kościelnej, należała do parafii łódzkiej, dekanatu

szczawińskiego i archidiaconatu łęczyckiego. Sytuacja ta nie uległa zmianie i w 2 połowie XVII w., co potwierdza mapka przedstawiająca osadnictwo okolic Łodzi z tego czasu (zob. mapa nr 2).

W XVI w., w małej osadzie (Rogy-villa), istniał folwark szlachecki, którego właściciel swobodnie dysponował dziesięciną z ról dworsko-folwarcznych na rzecz plebana łódzkiego. Natomiast łany kmiecie przeznaczały ją na stół arcybiskupa gnieźnieńskiego (według Jana Łaskiego, *Liber beneficiorum*, t. II).

Z informacji z 1512 r. dowiadujemy się o wymiarze dziesięciny snopowej, bardzo wysokiej, którą chłopię rogowscy i kilku wsi podłódzkich świadczyli indywidualnie na rzecz Kościoła. Wynosiła ona bowiem 10 grzywien (od XV–XVIII w. 1 grzywna = 48 gr), gdy np.: z Retkini – 7, Lipinek – 4, Rokicia – 2, a ze Złotna – 1/2. Z tego terenu była zbierana przez prałatów kolegiaty łęczyckiej, arcybiskupa albo parafie dalej położone, które ją od niego otrzymywały. Do 1555 r. obowiązywało chłopów też tzw. świętopietrze, które płacili na rzecz kurii papieskiej od po-



Mapka nr 1

czątku XIV w., w wysokości 1 denara (moneta o niskiej próbie srebra i ciężarze 1/240 grzywny = 120 gram, stosowana do 1 ćw. XVII w.). Tytułem natomiast kolędy każdy chłop płacił plebanowi rocznie 1 gr.

Powinności na rzecz dworu w XVI w. we wsiach szlacheckich wynosiły, na podstawie ogólnych danych, do czynszu 30–48 gr dodawano 30 jajek i po 2 kapłony (utuczone koguty) lub gęsi, po 1–2 sery oraz po 1–3 korce (korzec = 120 l) żyta lub po 1–2 korce żyta, owsa i pszenicy. Wymiar pańszczyzny na początku wieku wynosił 1–2 dni tygodniowo, a wzrósł do 3–4 dni pod koniec stulecia.

Na rzecz państwa chłopci płacili 2 gr z łanu (16,8 ha = 30 mórg), a ponadto tzw. pobory ustalone przez sejm, stale wzrastające, w 1511 r. – 6 gr, w 1553 r. – 12 gr, a w 1578 r. – 30 gr z opuszczonych zaś łanów po 15 gr. Zagrodnicy i rzemieślnicy wiejscy (w Rogach ich brak), którzy posiadali bydło płacili przeciętnie w latach 1576–1578 po 4 gr.

Wysokie świadczenia, zwłaszcza w naturze i robociźnie, powodowały często liczne spory i zatargi. Chłopi protestowali szczególnie przeciwko nadmiernemu obciążeniu ich pańszczyzną i niekorzystnym

dlań sposobem liczenia pańszczyzny zwłaszcza sprzężnej (m.in. za tzw. drogi).

Według rejestrów podatkowych z 1576 r., we wsi Rogi znajdowały się 3 zagospodarowane łany i 2 chłopów (dane z 1552 r.) oraz 4 zagrodników. Osada była w tym czasie podzielona między trzech członków rodziny Rogowskich. Gospodarujący wspólnie Jerzy i Marcin, posiadali 2 łany ornej ziemi chłopskiej, na których znajdowały się wspomniane 4 gospodarstwa zagrodnicze. Trzeci – Florian był posiadaczem 1 łana ziemi chłopskiej oraz 2 gospodarstw poddanych. Prawdopodobnie we wsi były 2 niewielkie folwarczki Rogowskich. Podano też ogólnie, iż część wsi opustoszała *caetera ibidem desertata* (może powodem było zbiegostwo – forma protestu przeciwko zbyt dużemu obciążeniu).

Od XVI do końca XVIII w. we wsi nie było rzemieślników, jak wyżej wspomniano, a wszystkie swoje potrzeby rogowianie zaspokajali u rzemieślników łódzkich.

W początkach XVII w. nastąpił pewien rozwój gospodarczy wsi, a areal ziemi chłopskiej wzrósł z 3 do 3,5 łana. W 1616 r. Rogi należały do kilku właścicieli: w części stanowiącej własność Mateusza Ro-

gowskiego były 2 łany ziemi chłopskiej, w części Wojciecha Rogowskiego 1 łan, a w części należącej do innego Rogowskiego i Rombieńskiego pół łana.

W kilkanaście lat później właścicielem części wsi Rogi był Jakub Rogowski.

Prawdopodobnie w okresie wojen szwedzkich (1655–1660) wieś została zupełnie zrujnowana, a jej dawni panowie – Rogowscy – wymarli lub rozproszyli się po świecie. Przez teren wsi łódzkich przeszły w tym czasie, a nawet później (2 połowa XVII i 1 połowa XVIII w.) liczne rekwizycje wojsk własnych, sojuszniczych i obcych, konfederacje wojskowe, różne epidemie i zarazy), wśród ludzi i zwierząt (np.: bydło), a także kłeski nieurodzaju np.: w 1662 r. Uciążliwe były też wyczyny niekarnego żołnierza narodowego, który często nie tylko bił i rabował chłopów z dobytku i żywności, ale i palił nieraz całe wsie.

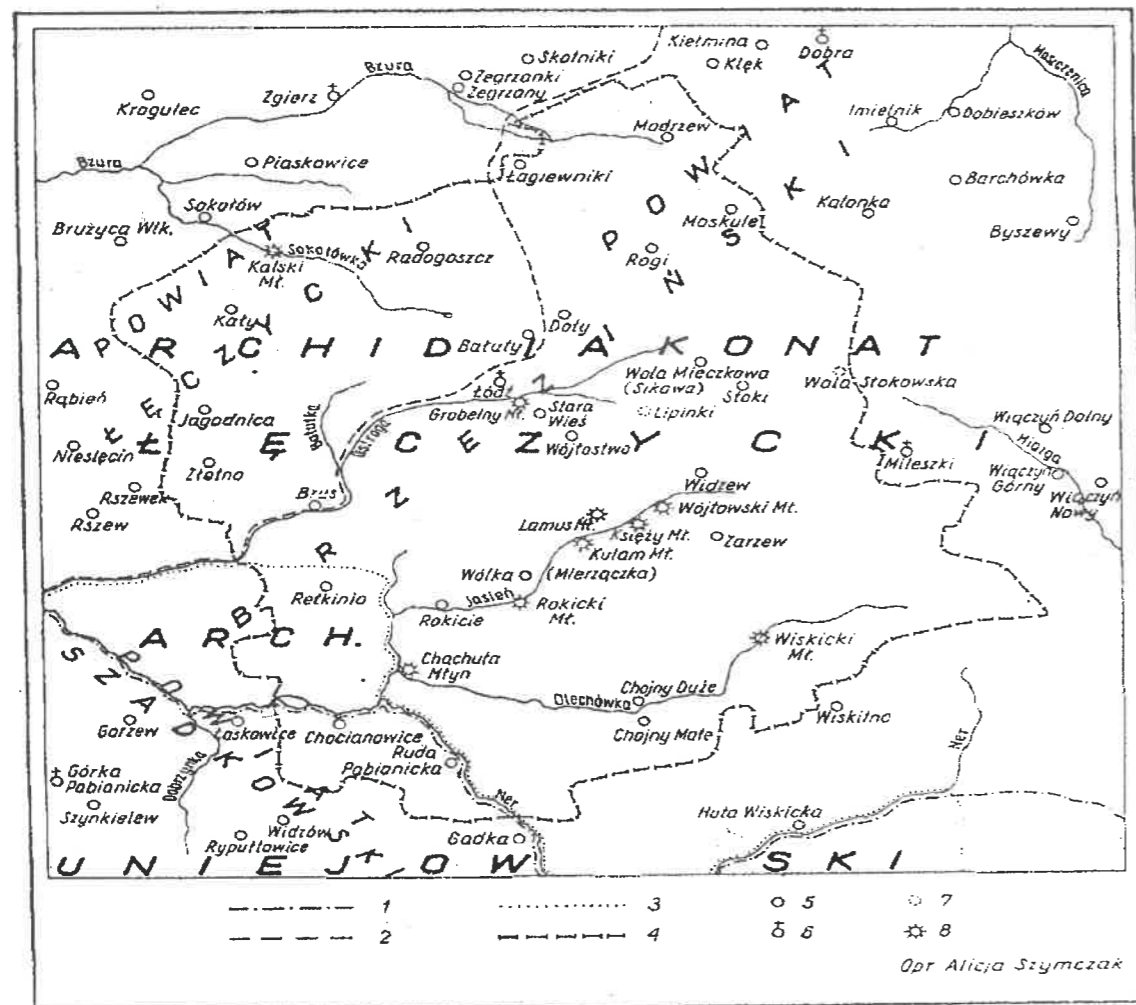
W 1667 r. dawna wieś Rogi, zupełnie zrujnowana, wchodziła w skład dóbr Radogoszcz. W inwentarzu tej miejscowości z tego czasu jest następująca wzmianka: „Do tej wsi należy wieś Rogi, w której jedyna chałupa. Mieszka w niej wdowa zagrodniczka, ma jedną krowę, stodołę przy chałupie i role puste, obejmują 3 składy, nie siano”. Jak więc widać, Rogi prawdopodobnie na skutek zniszczeń wojennych, znajdowały się w stanie zupełnego upadku.

Sytuacja wsi nie uległa poprawie i w 2 połowie XVIII w., kiedy należała do możnej, prawie magnackiej rodziny Karnkowskich, właścicieli m.in. dóbr łagiewnickich. Nadal były tutaj głównie grunty pokryte w części podmokłym lasem i krzakami. Istniała tam wówczas i jeszcze na przełomie XVIII i XIX w. (wg map Gilly'go i Brodowskiego) chałupa chłopska – jedyna – na śródleśnej polanie, niedaleko gościńca z Łodzi do Strykowa i jego krzyżowania z obecną ul. Rogowską. Na polanie znajdowało się prawdopodobnie pole uprawiane przez tegoż chłopca.

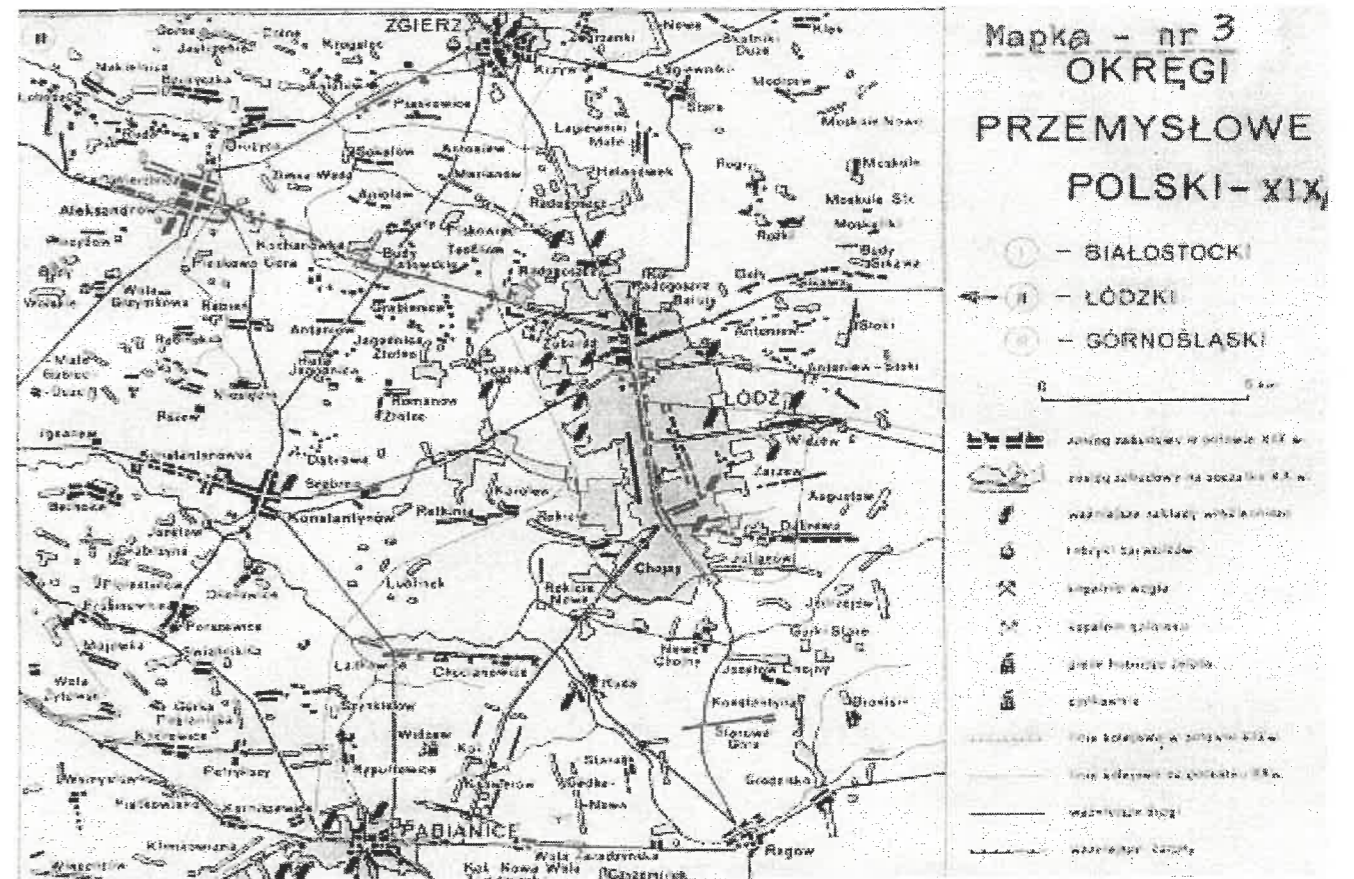
Dobra łagiewnickie obejmowały w 2 połowie XVIII w. Łagiewniki, Modrzew, Skotniki, a także sąsiadujące z nimi Bałuty oraz tzw. „dezerty” (tj. zniszczone zupełnie wsie), jak wspomniane Rogi i Doły.

Właścicielem dóbr przez wiele lat (od ok. połowy XVIII w.) był kasztelan konarsko-kujawski Antoni Karnkowski. Po jego śmierci dobrami wadała wdowa Katarzyna, a po niej Stefan Karnkowski, kasztelan i senator Królestwa Polskiego, zmarły w Łagiewnikach w 1824 r. Karnkowsy, posiadali liczne majątki i rezydowali przeważnie na innym terenie. Dobra łagiewnickie oddawano w dzierżawę albo zarządzano nimi przez administratorów.

Późniejszą właścicielką dóbr była córka Stefana Karnkowskiego Maria Zawisza, a zachowana do dziś



Mapka nr 2



Mapka nr 3

nazwa Arturówka, nadana została na pamiątkę bohaterskiego Artura Zawiszy straconego w Warszawie za działalność wolnościową 27 listopada 1833 r.

Stan miejscowości uległ poprawie dopiero pod koniec XVIII w., kiedy to w wyniku II rozbioru Polski (1793 r.) teren ten znalazł się pod zaborem pruskim (Prusy Południowe). Zaborca zapoczątkował wtedy proces kolonizacji opuszczonych wsi podłódzkich, w tym i Rogowa (stosowano kameralizm – tj. politykę gospodarczą państwa, sprzyjającą wzrostowi dochodów do jego skarbu – Kamery pruskiej). Proces ten kontynuowano w czasach Księstwa Warszawskiego 1807–1815 i później w Królestwie Polskim po 1815 r. Jego efekty uwidacznia nam pozytywna statystyka, wskazująca na ciągły rozwój osadnictwa, również w Rogach w XIX i początkach XX w.

W okresie przedprzemysłowym u schyłku XVIII i początkach XIX w. na terenie obecnej Łodzi powstało kilka hut szkła, m.in. w Radogoszczu, Żabieńcu, Chojnach, Jagodnicy, Wiskitnie i Rogach. Ta ostatnia powstała na gruntach dawnej wsi Rogi i znajdowała się w pobliżu traktu zgierskiego (zob. mapa nr 3). Huta Rogowska do produkcji szkła wykorzystywała wspomniane piaski polodowcowo-krzemowe, wodę z pobliskich strumieni i drewno z lasu, którego tutaj było pod dostatkiem (z czasem wylesiono duże obszary i doprowadzono do upadku tegoż przemysłu). Jej właściciel pobudował dla swych robotników specjalne „koszary”. W 1822 r. znajdował się tylko jeden dom, który zamieszkiwało 62 mieszkańców. Był prawdopodobnie największy na terenie ówczesnej Łodzi. Dzierżawcą huty był przed 1822 r. Maciej Wyszyński, pierwszy łódzki przemysłowiec i właściciel huty w Żabieńcu, zmarły 11 czerwca 1822 r. Huta miała duże znaczenie dla rozwoju gospodarczego tego terenu, dawała pracę na stałe lub dorywczo kilkudziesięciu robotnikom.

Dokładny obraz zaludnienia podłódzkich wsi i osad, daje nam *Tabela miast, wsi i osad z 1827 r.* (dane pewnie z 1822 r.) Rogi miały wtedy 14 domów i 104 mieszkańców. Natomiast w 1888 r. kolonia posiadała 20 domów i 198 mieszkańców oraz 510 mórg włościańskich (morga = 0,56 ha). Znajdowała się w gminie wiejskiej Radogoszcz, nowo utworzonym powiecie łódzkim (1867 r.) i guberni piotrkowskiej (*Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*, t. IX).

Na przełomie XIX i XX w. w związku z ogromnymi potrzebami budownictwa przemysłowego i mieszkalnego, na terenie obecnej Łodzi powstało 35 cegielni, w tym po jednym na Rogach i w pobliskich Różkach. Cegielnia w tej ostatniej osadzie musiała być dość duża, gdyż została zaznaczona na mapie okolic Łodzi z około 1914 r. (wg niemieckiej mapy *Karte des Westlichen Russland*). Posiadała 11 domów mieszkalnych. Natomiast Rogi liczyły ich w tym czasie 48, czyli ok. 3,5-krotnie więcej niż w 1822 r. (14 domów).

W końcu listopada i na początku grudnia 1914 r. (od 17 XI do 6 XII) w czasie pierwszej wojny światowej 1914–1918 wieś-kolonia Rogi znalazła się na linii frontu między walczącymi tu wojskami rosyjskimi i niemieckimi. Front w czasie tzw. pierwszej i drugiej bitwy łódzkiej przesuwał się kolejno z północy na południe, tj. od linii Zgierz-Stryków na obszar Lasu Łągiewnickiego, by ostatecznie rozłożyć się na skraju tegoż lasu, a na przedpolach miejscowości (zob. mapki u W. Bortnowskiego) zmasowany ostrzał artyleryjski z dział ciężkich i lekkich, liczne pożary, a być może rzucone bomby z areoplanów, które szybowały nad północnymi rejonami Łodzi, doprowadziły, iż opustoszała przypuszczalnie wieś została kompletnie zniszczona.

Po wkroczeniu Niemców do Łodzi (6 XII 1914 r.) na przedmieścia Bałut i Radogoszcza wracały tysiące ludzi, którzy w czasie bombardowania tych dzielnic, uciekli do centrum miasta. Duża ich część zastała swoje domostwa: spalone i zniszczone. To, co ocalało od bombardowania i pożaru, padło ofiarą rabusiów (rabowali również żołnierze obydwu walczących stron). „Rozpacz tych ludzi nie miała granic”, pisze Mieczysław Hertz, w pracy *Łódź w czasie wielkiej wojny*. Na podmiejskie pobojowiska „udały się też specjalne oddziały grabarzy, które zaczęły kopać bratnie mogiły z drewnianymi krzyżami, które i dzisiaj (ok. 1933 r.), spotkać można w okolicy Łodzi”, dodaje Hertz, kończąc swój kronikarski opis (prawie dzień po dniu) 3-tygodniowej kanonady wokół miasta.

Odbudowana wieś od 15 lutego 1920 r., znalazła się w granicach nowo utworzonego województwa łódzkiego. Natomiast do granic miasta Łodzi, została przyłączona po II wojnie światowej, decyzją władz miejskich z 13 lutego 1946 r., wraz z gminą wiejską Radogoszcz.

BIBLIOGRAFIA:

- Źródła dziejowe*, t. XIII, *Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym*, wyd. A. Pawiński, Wielkopolska t. II, Warszawa 1883.
- Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*, pod red. B. Chlebowskiego i W. Walewskiego, t. IX, Warszawa 1888.
- M. Hertz, *Łódź w czasie Wielkiej Wojny*, Łódź 1933.
- J. Dylak, *Łódź i okolice. Przewodnik geograficzny*, Łódź 1939.
- J. Dylak, Z. Dylak, R. Kaczmarek, *Województwo łódzkie. Przewodnik turystyczny*, Warszawa 1954.
- W. Bortnowski, *Ziemia łódzka w ogniu 1 VIII–6 XII 1914*, Łódź 1969.
- Materiały do słownika geograficzno-historycznego dawnych Ziemi Łęczyckiej i Sieradzkiej do 1400 roku*, oprac. S i S. M. Zajączkowski, cz. II, Łódź 1970.
- S. M. Zajączkowski, *Studia z dziejów osadnictwa na obszarze Łodzi do końca XVI w.*, Łódź 1976.
- B. Baranowski, *O dawnej Łodzi*, Łódź 1976.
- Łódź. Dzieje miasta do 1918 r.*, t. I, pod red. R. Rosina, Łódź 1980.
- Województwo miejskie łódzkie*. Monografia, pod red. H. Mortimer-Szymczak, Łódź 1981.
- W. Puś, *Dzieje Łodzi przemysłowej (zarys historii)*, Łódź 1987.
- K. Woźniak, *Huty szkła w okolicach Łodzi na przełomie XVIII i XIX wieku*, „Wędrownik”, nr I–II, 1996.
- Łódź do roku 1914. Stare mapy i plany...*, oprac. P. Kamiński, Warszawa–Łódź 1995.
- Łódź. Plan miasta*, Łódź 1996.

Spotkania z zabytkiem – późnogotyckie arcydzieło

Wszystko zaczęło się banalnie i nic nie zapowiadało czegoś nadzwyczajnego. Latem 1991 r., przeglądając świeżo nabyty w antykwariacie *Katalog zabytków sztuki w Polsce*, t. II, *Województwo łódzkie z 1954 r.*, uwagę moją przyciągnęła fotografia późnogotyckiej płyty-nagrobka Koniecpolskich z 4 ćwierci XV w., w kościele popaulińskim (Fig. 540) w Wielgomłynach k. Radomska.

W fotografii przyciągał wzrok: widok 3 rycerzy, zagadkowe tło ekspozycji, herby w tarczach i napisy na jej obwodzie, poza tym nigdzie w *Katalogu* nie znalazłem podobnego obiektu. Pomyślałem zatem, iż jest to kolejna płyta kamienna lub z metalu o typowych wymiarach, jakie często spotykałem w licznych kościołach w Polsce. Zwiedzając w tym czasie kościoły i zabytki w nich w okolicach Łodzi i Sieradzkim, postanowiłem również dotrzeć do Wielgomłynów, by obejrzeć i ten szczególnie pomnik przeszłości.

Wycieczka trwała cały dzień. W podróż wyruszyłem z dworca na Chojnach, aby koleją i autobusem przez Radomsko dotrzeć na miejsce. Jechałem

tym ostatnim w nieznanym mi kierunku. Gdy dojeżdżałem do miejscowości zauważyłem, iż krajobraz za oknem zmienił się, zaczęły pojawiać się pagórki pokryte ścianą lasu. W oddali za nimi ujrzałem górujący wierzchołek góry Chełm (323 m n.p.m. – najwyższe wzniesienie dawnego woj. łódzkiego do 1975 r.), również pokryty lasem. Choć czytałem o tej górze, nie wiedziałem, iż Wielgomłyny znajdują się kilka kilometrów od niej i łątwo tam dotrzeć czerwonym szlakiem turystycznym. Na szczycie góry, wznoszącym się ok. 120 m nad okolicą, znajduje się pozostałość grodziska z X w. otoczonego podwójnym wałem obronnym o wysokości do 4 m.

Wielgomłyny przywitały mnie piękną słoneczną pogodą. Była godzina 12⁰⁰ w południe, patetycznie brzmiały gotyckie dzwony na dzwonnicy przy kościele. Swoje kroki skierowałem do wnętrza kościoła klasztornego, do którego zakonnicy paulini wrócili ponownie w 1987 r. z Częstochowy. Obiekt znajdował się w prezbiterium świątyni, a jego wymiary 288 x 189 cm wprost mnie poraziły! Podzi-

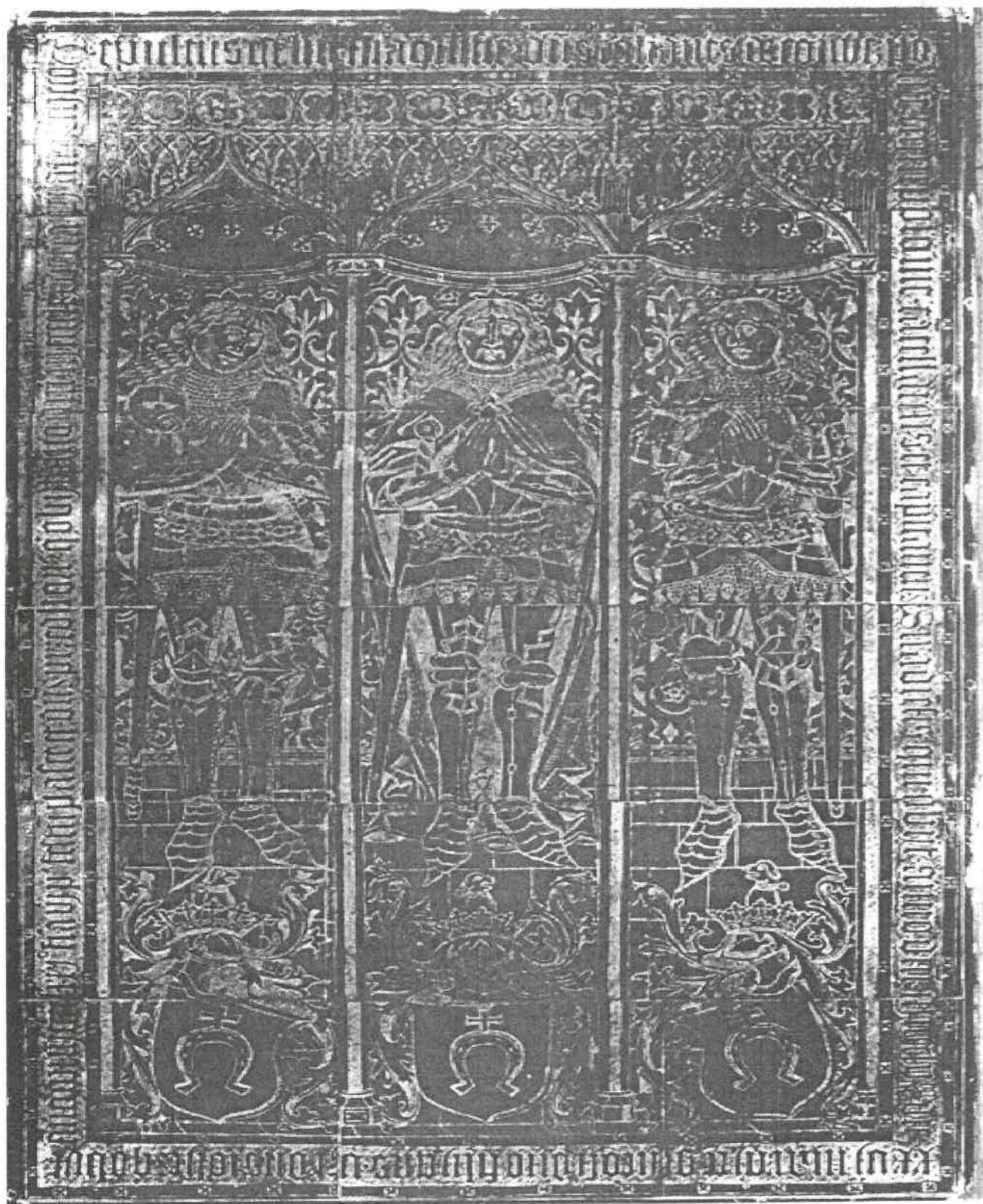


Gotycko-barokowy kościół św. Stanisława Biskupa i klasztor oo. Paulinów w Wielgomłynach (2 poł. XV–XVIII w.)

wiałem go, zastanawiając się jednocześnie nad jego rodowodem oraz ekspresyjnym wyrazem. Kto go ufundował, gdzie, kiedy i kto go wykonał? Kim są przedstawieni rycerze, ich imiona i stopień pokrewieństwa? Dlaczego umieszczono go tutaj, a nie w Koniecpolu w siedzibie rodowej tej małopolskiej fami-

lii? O czym mówią gotyckie napisy z licznymi skrótami na obwodzie zabytku? Pytania, pytania, pytania...

Wolno mijały chwile, chociaż odwiecznie odmierzonym trybem – niezmiennym, również i tutaj w siedzibie dużej wsi i gminy nad Pilicą (stąd tylko 12 km do Przedborza – miasteczka, bez którego nie



Nagrobek Jana Taszki z Koniecpola i jego synów, ok. 1475 r.

byłoby miasta Łodzi – tutaj bowiem nadano mu prawa miejskie 29 lipca 1423 r.).

Zwiedziwszy gotycko-barokowy kościół, stanąłem ponownie przed tą monumentalną płytą, którą wspaniale oświetlało słońce, promieniami wpadającymi przez gotyckie północne okno prezbiterium. Moją uwagę zwrócił również rosnący w ogrodzie klasztornym 900-letni dąb – pomnik przyrody – o obwodzie pnia ok. 650 cm. Starszy zatem od pierwszego tutaj zbudowanego z drewna kościoła (parafia ma tu rodowód z XIV w.). Obecny zaś kościół i klasztor wzniesiono z cegły w latach 1465–1470, jako mały zespół dla siedmiu paulinów z Częstochowy. Paulinów sprowadziła rodzina Koniecpolskich, ich fundator i dobrodziej. W XVII w. klasztor i kościół rozbudowano i przebudowano w stylu baroku.

Po powrocie do Łodzi postanowiłem rozwiązać nurtujące mnie pytania, dotyczące tej wspaniałej płyty z metalu, będącej jednocześnie pomnikiem nagrobnym o bogatych treściach ideowych i materialnych, późnogotyckiej sztuki, kręgu możnowładczego, XV-wiecznej Polski. Poszukiwania wskazały, iż interesujący mnie zabytek ma wysoką rangę w skali kraju i Europy.

Kiedy w lipcu 1993 r. ponownie dotarłem do Wielgomłynów, płyty w kościele nie zastałem. Była bowiem zdjęta ze ściany prezbiterium i przeniesiona do garażu k. klasztoru ze względu na remont kościoła. Obejrzałem ją wtedy dokładnie z bliska z przodu i z tyłu, poznałem jej konstrukcję, sposób zestawienia i umocowania (za pomocą nitów) jej 18 prostokątnych brązowych plakietek, tworzących całość tafli, do żelaznych płaskowników i do konstrukcji wsporczej przy zawieszeniu. Przy okazji zauważyłem, iż niektóre segmenty płyty są jaśniejsze od innych (rząd dolny i plakietka wyżej po lewo), może zostały wymienione po uszkodzeniu – nie wiadomo (zabytek ma przeszło 500 lat). Tak bliski kontakt z zabytkiem z tak odległej epoki był dla mnie wielkim przeżyciem. Przyglądaniu się towarzyszyło zaciekawienie i pewien niedosyt, gdyż tak mało jeszcze wiedziałem, w chwili tak niecodziennej, gdy zabytek jest poza miejscem ekspozycji. Remonty świątyń nie przeprowadza się, a szczególnie tak generalnych jak tu, zbyt często.

Po roku znowu w lipcu wróciłem do Wielgomłynów. Remont dobiegał końca, jednak płyta nie wróciła już na dotychczasowe miejsce w prezbiterium. Umieszczono ją wysoko na ścianie wschodniej w północnej kaplicy zakonnej – dlaczego? Tą nową lokalizacją płyty byłem niemile zaskoczony. Przecież fundatorami kościoła i klasztoru byli ukazani na płycie Koniecpolscy. Dlaczego przeniesiono ją tu z miejsca zaszczytnego w prezbiterium. Czy umarli nie mają racji aż tak dosłownie? Płyta przykrywała pierwotnie

grób. Mówi nam o tym początek gotyckiego nań napisu *Sepultus est hic...*

Gdzie są więc pogrzebani, czy pod posadzką prezbiterium, czy też w ścianie kaplicy? Przecież nawet w 2 połowie XIX w., gdy podniesiono ją staraniem pana Ostrowskiego na ścianę, nikt nie odważył się, by „wędrowała” w inne miejsce świątyni, a dziś klamka zapadła, wmurowano ją w nowe miejsce i koniec. Co na to konserwator zabytków? Poza tym płyta nie jest dobrze oświetlona, brak okna, trzeba więc podejść bardzo blisko, aby zobaczyć jej reliefy i tak nie w całości, gdyż oślepia blask z kaplicy.

Geneza pomnika

Płyta wielgomłyńska została wykonana jako całość w spiżu około 1475 r., chociaż w starszej literaturze spotyka się też 1480 r., w warsztacie i w nieznym miejscu w Polsce lub za granicą. Przyjmuje się zatem, iż miejsce gdzie ją odlano to: Flandria lub Bawaria (Norymberga), ale też i pisze się, iż równie dobrze mogła być wykonana na terenie Królestwa Polskiego w warsztacie w Małopolsce. Być może nastąpiła wtedy współpraca w opracowaniu projektu pomnika, krakowskiej pracowni malarstwa tablicowego z warsztatem kamieniarskim, gdzie ją wykonano. Potwierdzić to mogą uchybienia w grawerunku, jak niezgodność linii, niedopracowane ogniwa pasa rycerza po prawo i taszki jego miecza. Wskazuje to na niewprawną rękę grawera przy wykonywaniu takiego nagrobka w metalu. Płytę ze względu na rozmiary przypuszczalnie pocięto na segmenty, być może chodziło też o łatwiejszy i szybszy transport?

Domniemanymi fundatorami pomnika są: Jakub (zm. 1481 r.) syn ukazanego na płycie po środku Kanclerza Królestwa Polskiego Jana Koniecpolskiego, i być może wdowa po Kanclerzu Dorota ze Sienna (zm. ok. 1494 r.). Wspomniany syn pełnił funkcję prepozyta – proboszcza w kolegiacie św. Floriana w Krakowie i kanonika gnieźnieńskiego. Dorota natomiast upamiętniła się w tejże świątyni licznymi innymi fundacjami, np. dwoma dzwonami, chrzcielnicą, antepedium, tj. podstawą ołtarza głównego. Wdowa z pozostałymi synami ukazanymi na płynie była również inicjatorem sprowadzenia tu paulinów i wybudowania im klasztoru i kościoła. Synowie ci to po prawej stronie Kanclerza – Jan, a po lewej – Przedbór.

W listwach na obwodzie płyty znajdują się gotyckie napisy wykonane w minuskule (małe litery), z wyjątkiem dwóch liter „S”, które wyźłobiono majuskułą (duże litery). Po rozszyfrowaniu liczych skrótów dowiadujemy się: imion kanclerza i jego synów oraz pełnionych przez tego pierwszego funkcjach państwowych (również starosty sieradzkiego). Podane są dokładne daty ich śmierci: Kanclerza – 26 marca 1455 r., Jana – 19 kwietnia 1471 r. i Przedbora – 12 maja



Rycerze z 4 ćwierci XV w., płyta nagrobna z Wielgomłynów
Jan Koniępcowski z synami [w:] L. Kajzer, *Uzbrojenie i ubiór rycerski...*, s. 172.

1475 r. Krój liter jest bardzo staranny, a ich wypukłe kształty podkreślone są wyżłobionymi ukośnie liniami tła. Napisy na tej płycie, należą do najstarszych, jakie spotykamy w Piotrkowskim (obok niewiele starszych epigrafii z 1462 r. na tablicy erekcyjnej kościoła w Będkowie).

Treści ideowe

Założenia ideowe pomnika wielgomłyńskiego związane są z tzw. mecenatem możnowładczym rycersko-szlacheckim, którego znaczenie i ranga wzrasta w 2 połowie XV w. Stan ten w swoich liczn-

nych fundacjach, przeważnie na rzecz Kościoła, choć nie tylko, stara się zachować po sobie trwałą i wieczystą pamięć u potomnych. Ozdabia zatem swoimi herbami np. w świątyniach zworniki sklepień, wykusze, portale, okna, chrzcielnice lub antepedia ołtarzy (w Wielgomłynach herby: Pobóg, Starykoń, Dębno i Prus). Funduje również liczne nagrobki z herbami w kamieniu i metalu. W tym czasie zmienia się także tematyka tychże nagrobków. Znikają bowiem ulubione dawniej symbole moralizatorskie i religijne (np. zwierzęta personi-

fikujące cnoty i grzechy, symbole ewangelistów, emblematy męczeństwa Chrystusa itd.), a ich miejsce zajmują akcesoria mające podkreślić rangę społeczną zmarłego: zbroja, miecz, tarcza herbowa, a dla duchowieństwa: pastorał, infuła. Te nowe akcesoria w wystroju symbolicznym nagrobka występują też w wielgomłyńskim zabytku, który dodatkowo ukazują dominujące w nim 3 postacie ludzi na tle rozbudowanej architektury kościelnej i elementów roślinnych, rozpiętych za nimi opon. Zawiera wzorce protohumanistyczne przez formę i treść, zbliżone do dzieł Europy Zachodniej, tj. Niemiec, Austrii, a nawet Flandrii.

Trzej Koniępcowscy zostali ukazani w trzech polach pod arkadami gotyckiego kościoła. Te ostatnie w symbolice średniowiecza oznaczają „bramy wieczności”. Natomiast rozpięte za nimi w głębi makaty ze stylizowanymi ornamentami liści i kwiatów o wygiętych brzegach i „uciekające” prostokątne tafle posadzki, miały stworzyć wrażenie trójwymiarowości i iluzji, że rycerze stoją w niszach. Miały też dodatkowo podkreślić ich „wieczną prezentację” wobec widza.

U stóp rycerzy znajdują się trzy herby Pobóg, umieszczone w tarczach. Tarcza środkowa jest symetryczna, dwie boczne są wykrojone prawo- i lewoskrętnie. Na tarczach w ich polach umieszczono godła w postaci podkowy srebrnej z zaćwieczonym krzyżem kawaleryjskim złotym na barku. Znak ten ma bardzo stary rodowód. W symbolice starożytności i średniowiecza podkowa oznacza Górę Kalwarię, miejsce Męki Zbawiciela, natomiast krzyż to Drzewo Życia, a dla chrześcijan to symbol Odkupienia. Powyżej tarczy są hełmy z koronami i długimi labrami (chusty). W klejnocie natomiast półcharta srebrnego z obrazem i skreconą z tyłu pętlą.

W tym miejscu warto jeszcze zwrócić uwagę na bliskie związki rodzinne między wdową Dorotą a doradcą jej męża, kardynałem Zbigniewem Oleśnickim (zm. 1455 r.), którego była stryjeczną siostrą. Bliższe związki rodzinne były między nią a arcybiskupem gnieźnieńskim Jakubem z Sienna, była jego rodzoną siostrą. Jego wspomniała, równie olbrzymia płyta nagrobna ze spiżu, z około 1480 r. (szkoła flandryjska), znajduje się w katedrze gnieźnieńskiej. Arcybiskup został nań ukazany zgodnie z nowym duchem epoki! Klęczy w stroju pontyfi-

kalnym w infule na głowie, podparty krzyżem i pastorałem pod arkadami rozbudowanej gotyckiej Katedry Niebieskiej, w płaskim ujęciu. Może zatem istniały pewne związki w fundacji tych obydwu płyt w tej rodzinie możnowładczej?

Treści materialne

Wielgomłyński zabytek XV-wieczny prezentuje wiele elementów kultury materialnej XV-wiecznej Polski, jak np. architektura gotycka, stroje, uzbrojenie (broń, zbroje), wyposażenie świątyni gotyckiej i inne.

Rycerze są rozdzieleni w trzech polach pięcioma cienkimi filarami zakończonymi kapitelami. Na tych ostatnich opiera się maswerk późnogotycki o łukach podwójnie przegiętych w tzw. ośli grzbiet, bogato rozczłonkowany. Łuki nad ich głowami „nastrzępione są, jakby w dół zawieszonymi żabkami”. Za nimi są makaty-opony z dekoracją, wyżej wspomnianą, Rycerze stoją na posadzce, a u ich stóp umieszczone są tarcze z herbami.

Odkryte głowy z długimi włosami w puklach, spadające na ramiona i złożone ręce, jak do modlitwy, potwierdzają iż są w kościele. Środkowy rycerz z wąsami stoi do widza frontem, dwaj boczni są ku niemu zwróceniem głowami.

Wszyscy trzej są zakuci w zbroję z blachy, spod której wyglądają w dwóch miejscach kolczugi. Poszczególne elementy zbroi połączone są zawiasami. Przepasani są na biodrach rycerskimi pasami klamrowymi z ogniwoami zdobionymi rozetami. Łokcie opierają się na dużych mieczach w pochwach o półtoraręcznych rękojeściach. Dwaj mają miecze po swojej prawej stronie, a trzeci po swej lewej. Kanclerz dźwiga na swych ramionach płaszcz długi fałdzisty, spięty pod szyją dużą czterolistną zaponą (broszą).

Kończyny rąk i nóg chronią: naramienniki kapełuszowate, okrągłe tarczki opachowe, nałokcice, nakolanniki, wydłużone trzewiki folgowo do jazdy konnej o konstrukcji ułatwiającej zginanie stóp – kanclerz – ma nań nałożone ostrogi z gwiazdzistymi bolcami (skrzyżowane).

Gotyckie zbroje rycerzy zostały wykonane jako pełne zbroje płytowe, typu niemieckiego, brak tu jednak hełmów w wystroju, np. tła, które spotykamy szczególnie często później na nagrobkach w XVI i XVII w.

„... śni mi się jakiś domek biały”

Podróże były narkotykiem dla twórczości Marii Konopnickiej. Powiadano o niej, że była chora na dalekość. Ostatnie dwadzieścia lat życia spędziła w pensjonatach, tanich hotelikach, przedziałach wagonów kolejowych, rzadko wyższej klasy niż trzecia. Gdy otocznie jej się opatrzyło, pakowała kufarki i ruszała w świat, by sprawdzić, czy gdzie indziej nie jest przy-

padkiem inaczej. Czasami wracała do miejsc, w których już była, w nadziei, że może się coś na lepsze zmieniło. Pomieszkiwała w Monachium, chętnie odpoczywała na dalmackim wybrzeżu, jeździła do Normandii, zatrzymywała się w taniutkich hotelikach w Szwajcarii, Austrii, na Węgrzech i w Złotej Pradze.



Portret Marii Konopnickiej ze zbiorów w Bronowie



Bronów – dworek, w którym znajduje się izba pamięci Marii Konopnickiej

fot. B. Olszewski

Warszawę, w której spędziła ponad trzynaście lat, odwiedzała rzadko, taką o mieście wystawiając opinię: „Ciasnota zaś owa kładzie na wszystko, co wegetuje w Warszawie, cechę swoją”. I zaraz obok pisze: „Wszystko tam swoje, ale (z małymi wyjątkami) przyciasne”. Trzymała się więc z daleka od posępnej atmosfery miasta, napiętnowanego przepowiednią ówczesnego kuratora okręgu warszawskiego, że „niańki w Priwisłańskim Kraju będą usypiać dzieci ruską kołysanką”. Ale kurator rosyjski swoje, a Pani Maria swoje robiła. Wówczas powstawały jej baśnie dla dzieci, na których do dziś wychowują się kolejne pokolenia przedszkolaków: *O Jasiu Wędrowniczku*, *Jak to ze lnem było* i najulubieńsza ze wszystkich opowieść *O krasnoludkach i sierotce Marysi*.

Zanim Maria Konopnicka związała się z literaturą, przebyła długą drogę. Nikt by nie domyślił się przyszłej pisarki w młodej mężatce zajętej praniem i suszeniem pieluszek dla kolejnych dzieci – a było ich ośmioro. Mając zaledwie dwadzieścia lat, wyszła za męża za Jarosława Konopnickiego, drobnego ziemianina, gospodarującego wesoło i niefrasobliwie w mocno zadłużonym majątku w Bronowie, niedaleko Poddębic. Kuligi, zabawy, polowania i kolejno po sobie następujące chrzciny – oto co stanowiło treść życia mieszkańców małego, wiejskiego dworku. Domek był niski, kryty strzechą, bardziej przypominają-

cy chłopską chatę niż szlachecką siedzibę. Modrzewiowe ściany obrzucone były dla wzmocnienia tynkiem, cztery nieduże okna, skąpo przepuszczające światło dzienne zawierano na noc drewnianymi okiennicami z wyciętym serduszkim. Dworek był ciasny – wszystkiego pięć pokoi, kuchnia, kredens i spiżarnia. Prócz młodych państwa Konopnickich i ich dzieci dom zamieszkiwali jeszcze młodsi bracia Jarosława i jowialny teść. Podobno miłość jest ślepa na jedno oko, więc młoda mężatka w początkowym okresie nie widziała świata poza swym mężem, nazywając go czule w listach do przyjaciółki „wąsatym aniołem”. Powoli jednak takie życie zaczęło przysłać pisarkę nużyć.

Przyczyniła się do tego zapewne znaleziona na strychu i mocno nadgryziona przez myszy bogata biblioteczka, zawierająca między innymi *Wyznania św. Augustyna*, *Szkice Monteskiusza* i *Pamiętniki Michała Ogińskiego*. Pochłaniała książki jedna po drugiej – otwierały się przed nią nowe horyzonty. Monotonia otoczenia, błahy tryb upływającego we dworku życia uczyniły wiejską wegetację miłą i nudną. Do tego mnożące się długi, którym „wąsaty anioł” nie umiał zaradzić, postawiły kropkę nad „i”. Konopnicka podjęła, jak na owe czasy, szaloną decyzję – zabrała dzieci i wyjechała do Warszawy, zdając się na utrzymanie ojca. Niestety, ojciec niebawem umarł i widmo niedostatku zajrzało jej rodzinie w oczy. Do męża nie

zamierzała wracać, musiała więc sama zarabiać na życie. Utrzymywała się z korepetycji i dorywczych tłumaczeń. Zmagając się z ubóstwem, nie zaprzestała rozpoczętych jeszcze w Bronowie prób literackich, które wysyłała do kolejnych czasopism. Jednak wejście na rynek pisarski szło Konopnickiej opornie. Zmianę w nastawieniu wydawców spowodowały życzliwe recenzje Henryka Sienkiewicza. Nastąpił przełom – zaczęto się o jej artykuły ubiegać. Jej pozycję bardzo wzmocniło poparcie, udzielone również przez Józefa Kraszewskiego. Jednak im większe wśród czytelników zyskiwała uznanie, tym żywszą u niektórych krytyków budziła niechęć. Gdy napisała *Mendla Gdańskiego*, rzecz wymierzona w ksenofobię i nietolerancję, zarzucono jej „pogański liberalizm z domieszką żydowszczyzny”.

Konopnicka, wychowana w patriotycznym duchu, pisała utwory, które nie bez powodu wydawały się carskiej cenzurze podejrzane. Ciężko więc je bez miłosierdzia, zawieszano druk, nakładano areszt milczenia. Zangażowanie z wyłączeniem rolników wielkopolskich nie przysposobiło jej sympatii w Berlinie i nie ułatwiło wydawania dzieł w zaborze pruskim. Miary dopełniła *Rota* napisana w 1908 r.

W 1902 r. społeczeństwo uczciło ćwierćwiecze pracy twórczej Marii Konopnickiej. Motorem przedsięwzięcia była pisarka Eliza Orzeszkowa, oddana przyjaciółka z lat młodości. Ukoronowaniem jubileuszu było ofiarowanie Konopnickiej dworku w Żarnowcu, w okolicach Krosna. Był to królewski dar, skrojony jednak nie na miarę potrzeb i możliwości jubilatki. Wiejące od Przelęczy Dukielskiej wiatry i ostry, podgórski klimat nie sprzyjały coraz to słabszemu sercu pisarki.

Maria Konopnicka zmarła we lwowskim sanatorium Kisielki w 1910 r. i pochowana została na Cmentarzu Łyczakowskim. Jej pogrzeb zgromadził tysiące ludzi. Ukraińcy mówili o niej: „Umarł wielki człowiek”. Nad mogiłą przemówił poeta Jan Kasprówicz

WACŁAW JARONIEWSKI

Życie w rodzinnej wsi i miejscowe zwyczaje

CZĘŚĆ II

Biegająca przez gęsto zabudowaną wieś Zakrzewo nieutwardzona ulica, nazywana drogą, spełniała różnorodne funkcje. Stanowiła ona, zgodnie z przeznaczeniem, trasę komunikacyjną, po której z turkotem przejeżdżały codziennie w obu kierunkach liczne wozy

– zebrał się cały świat literacki i artystyczny Lwowa, przybyli posłowie i ministrowie.

Garść ziemi przywieziono z jej grobu i umieszczono u stóp pamiątkowego głazu w parku pałacowym w Poddębicach, dokąd często przyjeżdżała z dziećmi z pobliskiego Bronowa. Tak pisze poeta Tadeusz Chruścielewski: „Dziki park poddębicki. Spójrz, kawałek mgły miękkiej. Mgłą binokli lustruje róże i lebiody. Bo tu niegdyś zgubiła pieśń swej lireńki, przy kamieniu, gdy z dziećmi poszła na jagody”.

Po wyprowadzeniu się Konopnickich z Bronowa, dworek wraz z przyległościami sprzedano. Nowy właściciel, nazwiskiem Dzierzbicki, stary dworek rozebrał, a na jego miejscu wystawił obok obszerniejszy, murywany. Pamięć wielkiej pisarki pozostaje jednak w Bronowie żywa po dziś dzień. W dworku mieści się obecnie czteroklasowa szkoła, a w jednym z pomieszczeń urządzono izbę pamięci, poświęconą Konopnickiej. Stoją tam stare meble, stolicek ozdobny i rzeźbiony sekretarzyk. Na ścianie kopia rękopisu *Roty*. Obok bardzo osobisty wiersz, ujęty w liście do Orzeszkowej:

I śni mię jakiś domek biały,
gdzie dwoje ludzi dzieli się myślą,
uczuciem i bodaj czarnym chlebem niezależnej pracy
tęsknię do takiego żywota.

Za szkołą, w parku, staw i sadzawka, nad nimi ogromne białe topole, obok duży głaz narzutowy, będący niegdyś celem spacerów pisarki. W zalesionej części parku rosną i owocują jeszcze bardzo stare jabłonie, pochodzące – kto wie – może jeszcze z ogrodu Marii Konopnickiej?

Szkołą i parkiem opiekują się nauczyciele i dzieci. Organizowane są spotkania literackie i odczyty. W sezonie kilka wycieczek dziennie odwiedza Bronów. Z Łodzi dojechać łatwo. W miejscowości Niewiesz, przy drodze prowadzącej z Poddębic do Uniejowa należy skrócić w prawo – dalej trakt doprowadzi wprost do Bronowa.

konne oraz rowery. Tą samą ulicą pędzono codziennie na łąki dziesiątki krów, kóz i owiec. W suchej porze wozy i bydło wzniecały tumany kurzu, a po deszczu chlapały błotem. Poboczami drogi przechodziły codziennie dziesiątki pieszych podążających do miasta,

tj. osady Babiak, która do 1870 r. miastem rzeczywiście była, to znów do lasu, nazywanego borem.

Ulica wiejska stanowiła ulubione miejsce zabaw małych dzieci, a były tego drobiazgu spore gromadki, zważywszy, że średnia rodzina liczyła w 1930 r. pięcioro pociech. A gdzież indziej można było się bawić? Osobnych placów zabaw nie urządzano. W sadku rosły przeciw drzewa i krzewy owocowe oraz warzywa i kwiaty, bieganie zaś po podwórku i rzucanie piłką płożyło drób, a zwłaszcza zagrażało małym pskłutom. A jednak nieszczęśliwych wypadków z dziećmi bawiącymi się na ulicy nie pamiętam. Drogą nie jeździły jeszcze samochody i inne pojazdy mechaniczne. Poza tym droga przy wjeździe na podwórko miała wnękę, w której koło każdego domu mogły bawić się dość bezpiecznie maluchy pod okiem nieco starszego rodzeństwa.

Siedmiolatki i dzieci do 14 roku życia chodziły do szkoły, a poza tym musiały pomagać rodzicom. Młodzież osiemnastoletnia i starsza pracowała już w polu i przy domu na równi z rodzicami.

Dziewczęta i małe dzieci bawiły się w „kanki” – to jest podrzucanie 5 kamyczków wierzchem dłoni i chwytnością ich tą samą, odwróconą dłonią, następnie odwrotnie, uważając, aby żaden kamyczek nie spadł na ziemię. To znów inna grupa zabawiała się skakanką, a jeszcze inna piłką lub lalkami.

Starsi chłopcy bawili się w „krąg”. Stawało na przeciw siebie dwóch zawodników w odległości 15–20 m i rzucało do przeciwnika „krąg”, tj. drewniany krążek o średnicy 5–10 cm, odcięty piłką z okrągłego balika. Toczący się szybko po ziemi drewniany krążek należało zatrzymać kijem lub kawałkiem deski. Z miejsca, gdzie krążek się zatrzymał, można go było odrzucić w stronę przeciwnika. W ten sposób słabszy lub mniej zręczny zawodnik zostawał po kilkunastu rzutach odsunięty do określonego przedtem miejsca w tyle i przegrywał spotkanie. Następowala zmiana stanowisk i gra toczyła się dalej. Podobnie bawiono się piłką, którą zatrzymywano, łapiąc ją w locie lub odbijając rękami. Grano też piłką w dwa ognie.

Młodszy chłopcy i dziewczęta, biegnąc, popychali patykami kółko, np. fajerkę „wypożyczoną” z kuchni, zwykle bez wiedzy matki. Zdarzało się, że rozpedzona, żeliwna fajerka, padając na kamień przydrożny, pękała i fatalnie dekompletowała kuchenkę, za co młoda latorośl obrywała od rodziców tęgą burę.

Spokojniejsi bawili się w pieniądze lub guziki, odbijając od muru lub płotu drobne, stare, carskie monety bądź guziki tak, aby upadły jak najbliżej leżącej już monety przeciwnika. Jeśli zatrzymała się w odległości dającej się zmieścić w rozstawie palców jednej dłoni grającego, zabierał on monetę lub guzik przeciwnika. Jeśli upadła dalej, drugi z grających po-

dejmował i odbijał swoją monetę tak, aby zatrzymała się najbliżej monety przeciwnika. Oszczędni gracze odbijali monetę silniej, aby padała dalej, gdzie trudniej uzyskać pożądany odstęp, co zmniejszało ryzyko jej utraty.

Na ulicy młodzież organizowała wiele zabaw, np. w berka, konie i woźnicę, chowanego, złodzieja i policjantów, wojsko, gajowego pilnującego lasu lub gąsiora i gęsi oraz lisa. Zimą można było rzucać na ulicy śnieżkami bądź lepić bałwana. Ślizgano się też chętnie na oblodzonej powierzchni drogi, zdzierając z zapalem zelówki swoich butów. Korzystano też ze ślizgawki na zamrzniętych stawach, na specjalnych, podkutych grubym drutem małych, drewnianych saneczkach, odpychając się kijami zakończonymi ostrymi gwoździem. Kije te nazywano „kośtorami”. Typowych, prawdziwych łyżew młodzież wiejska nie miała, zresztą nie nadawałyby się do trepów, tj. butów z drewnianymi spodami, w jakich chodziła zimą przeważająca większość mieszkańców wsi.

Wiosną chłopcy robili fujarki z kory wierzbowej, na których gwizdali monotonię. Można też było grać na kawałku zielonego żdźbła żyta, spłaszczonego od miękkiej słomy, biorąc część do ust i dmuchając. Niektórzy strzelali z liści topoli lub bzu lilaka, kładąc je na lewej dłoni na otworze po zetknięciu końca palca wskazującego i kciuka, uderzało się z góry prawą dłonią.

Latem robiło się pukawki z kawałka młodej gałązki bzu czarnego, usuwało się z niej miękkie rdzeń i otrzymywało drewnianą rurkę. Do niej dopasowywało się z gałązki topoli odpowiedni stempel z rączką, nieco krótszy od rurki z bzu, po czym od tyłu wbijało się korek z bulwy ziemniaczanej, z buraka, brukwi lub z pachnącego kłącza tataraku. Nabity korek przesuwało się stemplem do drugiego końca rurki i z tyłu wbijało trzonkiem stempla, jak młotkiem, inny korek, po czym oparłszy trzonek stempla o brzuch, wypychało się ten korek ku przodowi. W pewnym momencie wzrastające w rurce ciśnienie powietrza wyrzucało przedni korek jak pocisk z głośnym stuknięciem, imitującym wystrzał.

Droga wiejska stanowiła też latem miejsce niedzielnych spacerów, a także spotkań towarzyskich wszystkich generacji, zaczynając od małych dzieci aż do leciwych starszków. Mężczyźni, gwarząc wieczorem po pracy, kurzyli papierosy skręcone ręcznie na poczekaniu z najtańszego tytoniu, nazywanego machorką. Zawijali je w specjalną bibułkę i sklejali własną śliną. Siadali na jakimś pnium ustawionym na ulicy pod płotem, na wystawionych w tym celu ławeczkach lub wreszcie na dużych głazach przy płocie, wygrzanych w ciągu dnia w promieniach słońca. Rozmawiali o wszystkim, o przeszłości, rolnictwie i

pilnych pracach polowych, o urodzajach, o chorobach i sposobach domowego ich leczenia, o polityce, to znów martwili się, że produkty rolne są tanie i nie ma na nie aktualnie zbytu. Podobnie gwarzono sobie podczas długich wieczorów zimowych na tzw. kominkach.

Inne ulubione tematy do opowiadań mieli ówczesni starszycy, którzy bardzo chętnie dzielili się ze słuchaczami swoimi przeżyciami z lat młodości. A było o czym opowiadać. A to służba wojskowa w odległych terenach carskiej Rosji, a to wyjazdy zarobkowe do Ameryki, to jeszcze inne wydarzenia, np. z czasów pierwszej wojny światowej. Rolnik Marcin Modrzejewski często opowiadał o swoim udziale w walkach z „Japońcami” z 1905 r., gdyż był w tym czasie jako rekrut na Dalekim Wschodzie, gdzieś w okolicach rzeki Amur. Uczestniczył w kilku drobnych starciach, ale na szczęście dla niego większe bitwy go ominęły.

Chętnie więc opowiadał, jak to w „bohaterski” sposób dowódca jego jednostki zdobył wysokie odznaczenie – order św. Aleksandra Newskiego. W tym czasie jego oddział stał w odwodach 50–100 km od linii frontu. Któregoś popołudnia szef poszedł z kilku oficerami na wódkę do pobliskiej wioski. Wszyscy wypili sporo i wracając nocą, aby skrócić drogę, poszli na przełaj przez las, gdzie po pijanemu wkrótce pobłądził. Krążyli tak ze 2 godziny w dużym napięciu, aż wreszcie któryś z nich nie wytrzymał nerwowo. Słyszając szelest spłoszonego zwierzęcia strzelił z pistoletu w jego kierunku, podejrzewając tam patrol japoński. Wywołało to chaotyczną strzelaninę jego kolegów.

Posłyszano strzelaninę w macierzystej jednostce, odległej o 1–2 km, która spowodowała nagły nocny alarm i panikę w obozie. Oddano z obozu w kierunku lasu kilka strzałów armatnich. To zorientowało błąkających się oficerów, w którą stronę należy iść, ale równocześnie napełniło obawą, że mogą być ostrzeliwani z armat. Ruszyli więc biegiem w kierunku obozu, kiedy w ciemnościach dowódca jednostki stoczył się do stromego jaru porośniętego kolczastymi krzewami, typowymi dla tamtejszej flory. Spadając zwichnął rękę i bardzo pokaleczył sobie twarz i szyję. Lżejsze obrażenia odnieśli jeszcze dwaj inni oficerowie.

Kiedy dotarli wreszcie do obozu, złożyli meldunek, że napotkali na skraju lasu patrol japoński, który przepędził z narażeniem życia strzałami z pistoletów. Rano „bohaterscy” oficerowie zostali umieszczeni w pobliskim „lazarecie”, czyli szpitalu wojskowym. Traf chciał, że jeszcze tego samego dnia odwiedziła szpital grupa kobiet z najbliższej rodziny cara. Ich przełożona, słysząc od opro-

wadzającego lekarza, że ten oto, obandażowany na twarzy oficer ze zwichniętą ręką, wraz z dwoma odważnymi, leżącymi obok kolegami przepędził nocą z narażeniem życia patrol japoński, wzruszona, udekorowała całą trójkę wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Po jakimś czasie prawdę o całym zdarzeniu wyplalali kolegom wartownicy obozu, którzy widzieli wychodzących po południu oficerów i później nietrzeźwych wracających podczas nocnego alarmu. Ponieważ jednak był wśród nich i dowódca jednostki, sprawa została oczywiście zatuszowana.

Inny z mieszkańców Zakrzewa, Władysław Kaczorowski, służył jako rekrut w carskiej jednostce „na Kaukazie”, czyli na Kaukazie i chętnie opowiadał o swoich wędrówkach służbowych jako goniec do pododdziałów w trudno dostępnych górach od strony granicy z Turcją. Wspominał o trudach wielotygodniowej podróży z Zakrzewa na Kaukaz, odbytej w dużej części konno, wozem konnym, a później w górach pieszo po urwistych, wąskich drogach nad przepaścią, co dla niego jako mieszkańca równin było straszliwym przeżyciem. Opowiadał o fantastycznie pięknych wschodach i zachodach słońca na tle gór, które często obserwował, pełniąc co kilka dni nocną wartę w jednostce wojskowej. Mówił także o zwyczajach tamtejszych mieszkańców, uroczystościach weselnych i rodzinnych oraz o ich życiu codziennym. Mógł to wszystko dobrze poznać, bo służba szeregowca trwała w wojsku carskim około 7 lat i nie było w tym czasie urlopów na wyjazd do rodziny ze względu na wielkie odległości i duże trudności komunikacyjne.

W latach międzywojennych ulubionym zajęciem Kaczorowskiego było przysłuchiwanie się różnym rozprawom sądowym. Odbywał więc co jakiś czas podróże do odległego o 24 km Sądu Powiatowego w Kole i brał udział jako słuchacz w niektórych rozprawach sądowych. Gdyby w młodości ukończył studia prawnicze, byłby z pewnością obrońcą sądowym.

Michał Świdorski, mój wujek, często opowiadał o swojej podróży do Ameryki i pobycie w USA w latach 1913–1919. Z kolei mój ojciec czasem mówił o swoich walkach z Niemcami nad Bzurą w 1915 r., gdzie został ranny kulą karabinową w pierś, a po wyzdrowieniu o walkach z Austriakami w 1916 r. w okolicach Przemyśla. Tam dostał się w końcu do niewoli. Józef Witkowski przeżywał jako kilkunastoletni chłopiec czasy powstania styczniowego 1863 r. i często wspominał o okrucieństwach wojsk carskich podczas walk z powstańcami w okolicach odległego o 6 km Brdowa, gdzie wtedy mieszkał.

Gdzie indziej przysiadły na ulicy kobiety, opowiadały o strojach, dzieciach, pracach domowych,

sporządzaniu potraw, o różnych kłopotach lub sukcesach życiowych. Inne tematy miały w swojej grupie młode dziewczęta, a znów inne dorastający chłopcy.

Latem i jesienią przy ciepłej pogodzie wystawali też na ulicy bezrolni wyrobnicy i małorolni rolnicy gospodarujący na karłowatych gospodarstwach o powierzchni 1–2 ha i oczekiwali propozycji dorywczego zatrudnienia. Ważne to było zwłaszcza w okresie żniw lub wykopków. Kiedy na ulicy lub koło domu nie było ich widać, oznaczało to, że już gdzieś pracują.

W niedziele i święta mieszkańcy wsi zakładali odświętne stroje. Mężczyźni kładli na głowę niedzielne kaszkiety, tj. okrągłe czapki z twardymi, błyszczącymi daszkami, rzadko kapelusze. Natomiast kobiety zakładały na głowę chustki lub bereoty. Wszyscy już od rana ciągnęli do kościoła na nabożeństwo. Jedni do dalej położonego kościoła parafialnego w Lubotyniu (4 km), inni do nieco bliższego w Babiaku (3 km), gdzie droga wiodła przez las i była przyjemniejsza. Przy kościele spotykali się po nabożeństwie krewni i znajomi z sąsiednich miejscowości. Można też było pokazać się im w nowym garniturze, płaszczu lub kożuchu. Po południu mieszkańcy paradowali, przechadzając się drogą wiejską.

W każdej wsi, a więc również i w Zakrzewie, przy drodze było kilka kapliczek starannie zadbanych i przystrojonych. Na środku wsi przy skrzyżowaniu dróg w kierunku Lubotynia stała i stoi dotąd duża kapliczka murowana z cegły, nazywana Figurą, od ustawionej na szczycie dużej figurki Matki Boskiej. Zgodnie z miejscowym zwyczajem, przy tej kapliczce zatrzymywały się wszystkie kondukt pogrzebowe zdążające na cmentarz parafialny w Lubotyniu. Po odśpiewaniu kilku pieśni pogrzebowych kondukt ruszał dalej. Był to symboliczny akt pożegnania zmarłego z wioską na zawsze.

W majowe wieczory przy kapliczkach, ale zwłaszcza przy tej na skrzyżowaniu (zwanym Krzyżówkami), zbierała się młodzież i starsi mieszkańcy wioski na majowe nabożeństwo. Polegało ono na śpiewaniu pieśni religijnych i stwarzało bardzo uroczysty nastrój, zwłaszcza kiedy wśród śpiewających znajdowały się osoby z ładnym głosem i dobrym słuchem. A w Zakrzewie w owych latach było kilkoro takich. W cichy wieczór echo pieśni rozchodziło się kilometrami. Słyszeć też było pieśni z sąsiednich wiosek.

Często chodzili po wsi żebracy „po chwieście”, czyli po kweście, nazywani zależnie od płci „działami” lub „babami”. Z reguły brudni, nieogoleni mężczyźni, a wszyscy ubrani w łachmany w celu wzbudzenia litości i większej hojności, wyglądali niesympatycznie i u małych dzieci budzili lęk. Nosili ze sobą toboły i worki, a w niech to, co uzebrali. Po przekroczeniu progu mieszkania odmawiali głośno modlitwę za pomyślność hojnych gospodarzy, aby Najwyższy z nieba miał w swojej opiece wszystkich żyjących w tym domu, a następnie pokornie wyciągniętą ręką prosili o jałmużnę. Otrzymywali zwykle małą porcję mąki żytniej, odmierzaną spodkiem od szklanki do herbaty lub kilka ziemniaków, rzadko jakąś drobną monetę lub używaną część odzieży.

Dość częste odwiedzanie zagród wiejskich przez żebraków, niekiedy jeszcze ludzi w średnim wieku, a więc zdolnych do pracy, powodowało, że nie cieszyli się na wsi zbyt wielką litością. Zbliżenie się „dziada” ujawniało zawczasu gwałtowne ujadanie psów w sąsiednich obejściach. Trzeba zaznaczyć, że psy tych ludzi bardzo nie lubiły. Skąpe gospodynie zamykały czasem drzwi wejściowe, udając, że nikogo nie ma w domu. Jednak często zdradzał je dym unoszący się nad dachem z komina, co wywoływało na ulicy głośne komentarze zdenerwowanego tym „dziada”.

Inni znów gospodarze, aby utrudnić takie wizyty, spuszczały z łańcucha złe psy na ogrodzone podwórko. Niektórzy żebracy nosili przeciw takim psom słynne kije dziadowskie, owinięte na końcu w skórę jeża lub obite ostrymi, cienkimi, długimi gwoździami. Takie kije skutecznie odstraszały natrętne czworonogi, torując żebrakom bezpieczne przejście do chałupy. Z kolei skomlenie pokłutego gwoździem psa, który chwycił, atakując „dziada” za koniec takiego kija, wywoływało czasem gwałtowną awanturę gospodarza. Ci żebracy, którzy nie mogli się dostać do takiej zagrody, srożyli się bardzo i przeklinali na ulicy skąpych domowników.

Żebracy mieli swego „starszego”, który jako szef wyznaczał im rewiry i terminy obchodów wsi oraz ustalał bardziej atrakcyjne miejsca zebrania, np. obok kościoła podczas świąt, odpustów i uroczystości religijnych bądź w pobliżu rynku podczas targów i jarmarków. Po wsi nie mogli ci sami żebracy chodzić zbyt często, gdyż wtedy niewiele dostawali.

cdn.

Jubileusz łódzkiego „Albatrosa”

Na jesieni 1996 r. Łódzkiemu Klubowi Kajakowemu „Albatros” im. Sławomira Forysiaka „stuka” 35 lat!

Prawda, że niezbyt wiele. Ale po pierwsze – każda historia była kiedyś krótka, zanim obrosła w lata i wydarzenia. Po drugie – czy jest wiele klubów PTTK-owskich bardziej „wiekowych”? Poza tym nie wiek jest najważniejszy, ale to jak się go przeżyło. Prawda też, że jest to ważne głównie dla samego Klubu i jego ludzi. Myślę jednak, że warto przedstawić także szerszemu środowisku turystycznemu garść faktów i wydarzeń zarysowujących 35-letnie życie Klubu w kronikarskim zapisie.

Ponadto ten mały, skromny jubileusz jest dobrą okazją, aby do mozaiki obrazującej życie turystycznego środowiska Łodzi dorzucić i nasz mały, kajakarski kamyk, tym razem w kolorze błękitu – symbolu wody. Wypełni to, być może, lukę w tym obrazie i poprawi jego wyrazistość i rzetelność, a może nawet wzbudzi trochę sympatii do jednego z tych małych, skromnych jubileuszy.

Jak więc swój „wiek” przeżył „Albatros”?

Powstanie Klubu i pierwsze działania

20 listopada 1961 r. z inicjatywy Zdzisława Surowieckiego powołano Łódzki Klub Turystyki Wodnej przy Oddziale Łódzkim PTTK, aby nadal „zawracać wodę wiosłem” tylko razem, bo to łatwiej i przyjemniej. Wybrano pierwszy zarząd w składzie:

prezes – Zdzisław Surowiecki

członkowie – Jan Cielecki, Ewa Chęcińska-Pecold, Krystyna Jamroz-Lessman, Józef Lubartowicz, Ryszard Pecold.

Działania organizacyjne: uzyskanie siedziby w lokalu Oddziału Łódzkiego PTTK, zakupienie 6 kajaków „Neptun” dzięki dotacji Oddziału, zmiana prezesa na początku 1962 r. – rezygnacja Z. Surowieckiego i wybór na jego miejsce Jerzego Hausera.

Początki pływania: spływy klubowe na Pilicy, Grabi, Widawce, Warcie, Rawce, a następnie na rzekach trudniejszych – Łupawie, Wełnie, Dunajcu.

Organizowanie spływów dla młodzieży szkolnej (Bogdan Kotulski).

Uczestnictwo w prowadzeniu wczasów i szkółek kajakowych.

Ważniejsze wydarzenia i fakty zarysowujące dalszą działalność Klubu

Organizacyjne

Powołanie przy Klubie Komisji Weryfikacyjnej TOK w randze Komisji Oddziałowej (1964 – do dziś),

wejście Jerzego Hausera do Kolegium Przodownickiego OŁ PTTK (1964), a Ryszarda Lessmana do Okręgowej Komisji Turystyki Kajakowej (1966).

Uzyskanie w 1965 r. samodzielnego lokalu przy al. Kościuszki 93, który był przed 25 lat nie tylko przechowalnią sprzętu, ale przede wszystkim ośrodkiem integracji społeczności klubowej, umacniania więzi koleżeńskich, towarzyskich itp.

Rok 1968: rezygnacja Jerzego Hausera z funkcji prezesa i krótka 6-miesięczna prezesura Alicji Kuny-Iżowskiej zakończona jej tragiczną śmiercią na spływie kajakowym.

Wybór na prezesa Sławomira Forysiaka, który przewodził Klubowi przez ponad 20 lat aż do śmierci w 1991 r. (z przerwą w latach 1974–1975 – prezesura Wacława Freytaga). Był on głównym organizatorem i uczestnikiem wszystkich największych osiągnięć Klubu.

Rok 1970: zmiana nazwy Klubu na Łódzki Klub Kajakowy „Albatros”;

Stopniowe, faktyczne przyjęcie kierowania Okręgową – a po 1975 r. Wojewódzką – Komisją Turystyki Kajakowej przez aktywny klubowy: S. Forysiaka, Z. Wilka, I. Pimpicką, R. Lessmana.

Rok 1976: obchody 15-lecia powołania Klubu z udziałem Zdzisława Surowieckiego i przedstawicieli władz PTTK – wojewódzkich i oddziałowych, wydanie pamiątkowego medalu.

Stopniowa wymiana i powiększenie stanu kajaków do 20 jednostek dzięki dotacjom Oddziału PTTK.

Dramatyczne zakończenie 30-lecia istnienia Klubu:

– utrata samodzielnego lokalu w 1990 r. po 25 latach „zasiedzenia”,

– 1991 r. śmierć Sławomira Forysiaka w roku 30-lecia Klubu – i odłożenie jubileuszu na rok 1992,

– w 1992 r. nadanie Klubowi imienia Sławomira Forysiaka; wybór na prezesa Zbigniewa Wilka,

– kolejna strata: w 1994 r. śmierć Zdzisława Surowieckiego.

Turystyczne

Medale i puchary za wysokie miejsca (I–III) w spływach klasyfikowanych.

– Zwycięstwa drużynowe w OSK na Dolnym Dunajcu (1973–1974).

– Zimowy Spływ Kajakowy na Brdzie imprezą 30-lecia. W 20 startach jako drużyna uzyskaliśmy: 10 zwycięstw (pozostałe miejsca – II i III, nigdy

wyżej), wysokie miejsca załóg (I–VI), dwukrotne wyróżnienia za sprawne akcje ratunkowe „wywrotkowiczów”, zdobycie na własność pucharu specjalnego (rzeźbionego w węglu) w 1992 r. po pięciokrotnym wygraniu oddzielnej klasyfikacji.

– „Medalowe” miejsca indywidualne w spływach: Trzy Zapory na Sole (J. Sowała, P. Darmach, Z. Wilk), na Bobrze, w Maratonach Kajakowych – na Wiśle, Zalewie Zegrzyńskim, w Karsiborze (także drużynowo) i Szczecinie (S. Forysiak, Z. Wilk, J. Sierakowski, J. Sowała, A. Krawiec, M. Weneci, B. Piotrowski) w latach 1976–1994.

Ciekawsze wyprawy klubowe:

– w 1977 r. „supermaratoński” spływ Wisłą z Krakowa do Włocławka – 600 km w 6,5 dnia (S. Forysiak, J. Sierakowski, Z. Wilk),

– w 1978 r. na Deltę Dunaju – 10 osób,

– w 1980 r. na 6 rzek górskich w 6 dni (od Skawy po Wisłok) – 8 osób,

– spływy na: Pojezierzu Kaszubskim, Pomorskim, Brodnickim, na Pasłęce, wiosenne spływy na Biebrzy i sąsiednich akwenach, na Żuławach i Zalewie Wiślanym, na Narwi i innych,

– indywidualne spływy na ciekawych szlakach: Kwisie, Bobrze, Nysie Kłodzkiej, Popradzie, Narwi (także zalewie w Siemianówce), Liwcu i Bugu, Płoni, Zalewie Szczecińskim itp.

Aktywny udział w spływach kajakowych i zagranicznych:

– Międzynarodowym Spływie Kajakowym na Dunajcu, spływach: Powitanie Wiosny – na Nidzie, na Brdzie, Wdzie, Bugu (także międzynarodowym) Sanie, Międzyodrzu i innych szlakach,

– spływy w Niemczech, Francji, Finlandii, Norwegii, Włoszech i in.

Wzbogacenie zainteresowań turystycznych uprawianiem innych jej form przez aktywny klubowy:

– turystyki pieszej – wycieczki w okolicach Łodzi oraz w mniejszym zakresie górskiej,

– turystyki narciarskiej, cieszącej się szczególnym powodzeniem, nie tylko w postaci wypadów do Łagiewnik (jeśli zimą śniegiem sypnie), ale także wielokrotnego udziału w takich imprezach, jak Bieg Piastów w Jakuszycach, a zwłaszcza ponad 20-letnia tradycja uczestnictwa w rajdzie Wędrówki Północy na Suwalszczyźnie – dzięki czemu przemierzamy te same wody (Czarną Hańczę, górną Biebrzę i jej bagna, jeziora: Wigry, Hańczę, Wiżajny, Pomorze i inne) raz kajakami, raz na nartach, czyli też po ... wodzie, tyle że zmarzniętej.

Działania zewnętrzne – pozaklubowe:

– spływy dla pracowników różnych zakładów i instytucji w latach 1977–1980,

– udział aktywny klubowego w prowadzeniu szkółek i wczasów kajakowych w latach 1986–1990,

– przeprowadzanie kajakowej części imprez rekreacyjnych w kąpielisku OSiR-Ruda Pabianicka dla młodzieży i rodzin pod hasłem „rodzice z dziećmi” (kajaki, rowery wodne) w latach 1992–1996,

– prelekcje z przezroczami o tematyce kajakowej w 5 szkołach dla ponad 100 uczestników, w latach 1993–1994,

– spływ dla młodzieży szkoły specjalnej (wady słuchu) na Warcie-Jeziorsku w 1994 r.

Szkoleniowe

Rozwijanie klubowej kadry przodownickiej przez indywidualne zdobywanie uprawnień na kursach PTTK i PZKaj. oraz organizowanie kursów w Łodzi w latach 1966, 1974, 1986, w wyniku czego kadra klubowa liczy:

– przodowników PTTK: I st. – 4, II st. – 5, III st. – 10, razem – 19,

– instruktorów PZKaj.: I st. – 3, II st. – 2, III st. – 4, razem – 9.

Liczby te obejmują nie więcej niż połowę wyszkolonej kadry – pozostali wykuszili się z naszego grona z upływem lat.

Prowadzenie szkolenia w innych środowiskach: PTTK w Zduńskiej Woli dwukrotnie (1979–1980, 1996), w jednostce wojskowej w Łodzi – dla podchorążych, organizatorów turystyki (1994), w Wyższym Seminarium Duchownym Salezjanów w Łądzie n. Wartą (1995).

Kadrowe

Członkostwo kajakarzy o wysokich kwalifikacjach w całym okresie istnienia Klubu, czego potwierdzeniem są zdobyte przez nich odznaki wysokich stopni:

– TOK PTTK: „Za Wytrwałość” – 3, Duża Złota – 4, – GOK (górska) PTTK: złota – 2, srebrna – 6, brązowa – 11,

– OT PZKaj.: „Diamantowa” – 3, „Złota na Wiośle” – 2,

– Międzynarodowej Federacji Kajakowej (ICF): srebrna – 2, brązowa – 1.

Zaangażowanie turystyczno-organizacyjne, które przyniosło działaczom klubowym wyróżnienia honorowe:

– odznakę „Zasłużony Działacz Turystyki”: srebrną – 3.

– Honorową Odznakę PTTK: złotą – 7, srebrną – 3.

– odznakę OŁ PTTK im. J. Czeraszewicza: złota – 2, srebrna – 2, brązowa – 4.

Posiadanie przez Klub w całym okresie działalności może niezbyt licznej, ale kompetentnej i aktywnej grupy działaczy, bez których nie byłyby możliwe nie tylko sukcesy, ale samo istnienie Klubu. Wobec ciągłego wykuszania się i wymiany działaczy, w następstwie różnych życiowych wydarzeń i spraw, nie sposób dziś odtworzyć pełnej listy ludzi będących fun-

damentem Klubu i decydujących o jego życiu, ale przynajmniej niektórych z nich warto przypomnieć.

Kolejni prezesi Klubu: Zdzisław Surowiecki (zmarł), Jerzy Hauser, Alicja Kuna-Izowska (zmarła), Sławomir Forysiak (zmarł), Waclaw Freytag, Zbigniew Wilk.

Członkowie kolejnych zarządów i inni bardziej aktywni działacze: Ewa Chęcińska-Pecold, Ryszard Pecold, Jan Cielecki, Krystyna Jamroz-Lessman, Ryszard Lessman (do dziś w zarządzie), Józef Lubartowicz, Krystyna Dębowska, Alina Matz, Waldemar Roszczyn, Wiesław Śliwiński, Emanuela Drozdowska, Krzysztof Dominikowski, Andrzej Konar, Bogdan Kruszyna-Kotulski, Józef Sowała (do dziś wiceprezes), Irena Pimpicka, Jolanta Grońska, Jerzy Siemakowski, Mirosław Wenecki i in.

Aktywni czynni obecnie, a wśród nich: Jerzy Bekier, Lucyna i Jerzy Drygalscy, Piotr Darmach, Marian Małachowski, Bożydar Piotrowski, Krystyna Sobańska, Paweł Gózdź i inni, którzy podtrzymują tradycje poprzedników.

I tak rok po roku, „ziarnko do ziarnka”, zbierał Klub „Albatros” fakty, wydarzenia i przeżycia do swojego „życiorysu”, który pisał wiosem i sercem oddany Klubowi zastęp aktywu, może niezbyt licznego, ale kompetentnego i zaangażowanego. Ludzie tworzyli i nadal tworzą NASZ Klub, zachowują ciągłość jego istnienia, działania i osiągnięć poprzez wyrastanie ciągle nowych działaczy na miejsce tych, których kręte ścieżki życia wyprowadziły z naszego grona. Dzięki nim, mimo rosnących kłopotów i trudności, Klub istnieje nadal, działa i „trzyma kurs”...



ANNA DĄBROWSKA

Zwyczaje świąt Bożego Narodzenia

Zbliżający się okres świąt Bożego Narodzenia stwarza okazję, by sięgnąć do skarbnicy rodzimej tradycji w celu zgłębienia bogactwa obyczajów i obrzędów, które każdego roku kultywujemy i w których uczestniczymy. Trudno bowiem nam Polakom wyobrazić sobie te piękne święta bez oprawy i klimatu, jakie tworzą przyjęte zwyczaje.

„Polska przeżywa głęboko radość nocy betlejemskiej, łącząc po swojemu stare wierzenia z nowymi” – czytamy w książce *Rok polski* Z. Kossak. Połączenie starych wierzeń z nowymi, a więc połączenie pogańszczyzny z liturgią Kościoła sięga starożytności, czasów pierwszych wieków chrześcijaństwa. Kościół katolicki pokrył bowiem własny cykl świąt zimowych z cyklem świąt pogańskich, by nadać starym zwyczajom nowy sens. Starożytny świąt pogański najbardziej znaczące święta obchodził właśnie na przełomie grudnia i stycznia, np. Saturnalia – święto ku czci Saturna, boga rolnictwa, urodzaju, dostatku obchodzono

17 grudnia. Paganie w tym dniu obdarowywali się prezentami: świecami, figurkami z gliny, lalkami symbolizującymi ofiarę składaną bóstwu. Saturnalia były świętem radosnym, świętem równości i pojednania. Rozpoczynały się od przeprosin, darowania win (analogia Wigilii), następnie bóstwu składano obrzędową potrawę z prosięcia.

W tradycji chrześcijańskiej obchody świąt Bożego Narodzenia rozpoczyna Wigilia, dzień charakteryzujący się wyjątkowym bogactwem i różnorodnością zwyczajów. Tradycja nakazuje zwracać uwagę na zdarzenia tego dnia, albowiem od przebiegu Wigilii zależeć ma przebieg nowego roku. Zgodnie ze starodawnym zwyczajem dziewczęta, które w zbliżającym się roku chciały wyjść za mąż, tarły w tym dniu mak; myśliwi, którzy w Wigilii coś upolowali, mogli liczyć na urodzaj i błogosławieństwo św. Huberta (patrona myśliwych), natomiast chłopcy udawali się do karczmy, by w nadchodzącym roku zapewnić sobie dostateczną ilość wódki.

Wśród wielu mieszkańców Europy panowało przekonanie, że w Wigilię, przychodzą dusze zmarłych, dlatego w Polsce nie wolno było w tym dniu tkać ani zamiatać izby w kierunku drzwi.

Zgodnie z tradycją w dzień wigilijny nie wolno było niczego pożyczać, szczególnie ognia, dlatego na wsiach rozpalano wielkie stopy (dzisiaj zapalanie świec).

Wierzono, że tego dnia spełniają się wszystkie wróżby, że tajemnicze moce sprawiają przemianę wody w miód, że drzewa zakwitają, zwierzęta przemawiają ludzkim głosem.

„W czasie Wilii – pisze Z. Kossak – nikt nie powinien wstawać od stołu. Niedobrze, gdy który z biesiadników zobaczy własny cień na ścianie. Zwiastuje to śmierć w ciągu roku. Liczba osób jest pożądana parzysta, świateł nie może być trzy, zwłaszcza dotyczy to świec. Każde zdarzenie w ciągu tej wieczery jest wróżebne i doniosłe”.

Niemal we wszystkich polskich mieszkaniach w Wigilię podziwiamy pięknie udekorowane choinki. Wiemy, że obrzęd ten sięga czasów aryjskich „drzewa życia”, choć polski zwyczaj ozdabiania choinki jest znacznie młodszy, gdyż sięga XIX w. i pochodzi z Niemiec.

Zgodnie ze starodawnym zwyczajem, głęboko zakorzenionym w polskiej kulturze, wieczór wigilijny można rozpocząć po ukazaniu się pierwszej gwiazdy na niebie, symbolizującej gwiazdę betlejemską, która prowadziła Mędrców ze Wschodu do stajenki z nowo narodzonym Dzieciątkiem Jezus.

Powszechnie praktykowanym w polskich domach zwyczajem wigilijnym jest obrzęd łamania się opłatkiem. Opłatek stanowi w tradycji pozostałość starochrześcijańskich eulogii – chleba ofiarnego będącego znakiem miłości i zjednoczenia chrześcijańskiego. Dzieleniu się opłatkiem towarzyszą życzenia, które wszyscy składają sobie wzajemnie, zapominając o urazach i nieporozumieniach, oraz pamięć o nieobecnych zarówno żywych, jak i umarłych: „Wyciągnięta dłoń z okrucieństwem chleba sięga poza rzeczywistość” (Z. Kossak).

W wieczór wigilijny pamiętamy nie tylko o ludziach, ale i o zwierzętach. Do dziś w wielu regionach Polski praktykowane jest zaklinanie wilków, zanoszenie opłatka bydłu, a w lubelskim opłatek wkłada się do studni, wierząc, że woda zamieni się w wino.

Znany jest także w naszym kraju zwyczaj pozostawiania wolnego miejsca przy stole wigilijnym. Jest ono przeznaczone dla bliskiej osoby, z którą rodzina nie może wspólnie spędzić świąt albo dla zmarłego członka ro-

dziny lub dla przygodnego podróżnego, którego w ten wieczór należy szczególnie życzliwie przyjąć i ugościć. Stół wigilijny tradycyjnie nakryty jest białym obrusem, pod którym leży siano, przypominające fakt złożenia przez Maryję narodzonego Syna w żłobie. Liczba oraz rodzaj potraw na stole zależy od zwyczajów regionu. Na obficie zazwyczaj zastawionych stołach wigilijnych możemy więc zobaczyć wśród tradycyjnych postnych potraw m.in. zupy: rybną, grzybową, piwną, migdałową, barszcz czerwony; ryby pod różną postacią, potrawy z kapusty, grzybów, kaszy, maku, fasoli, grochu oraz obowiązkowo kompot z suszonych owoców i wypieki z makiem lub pierniki. Zgodnie ze zwyczajem należy spróbować każdej z podanych potraw. Spożywaniu wieczery wigilijnej towarzyszy uroczysty, radosny nastrój, starci wspominają przebieg świąt w swoich domach rodzinnych, przyjezdni opowiadają o zwyczajach panujących w ich stronach, wszyscy dzielą się doświadczeniami, o których zwykle, na codzień się nie mówi. Kiedy już każda z potraw zostanie spróbowana, jeden z członków rodziny bądź zaproszony wcześniej Mikołaj rozdaje prezenty złożone pod choinkę. Zwyczaj ten szczególnie dużo emocji wyzwala u dzieci, a radości z otrzymanych upominków nie ma końca.

Kolejnym znanym i powszechnym w Polsce zwyczajem wigilijnym jest śpiewanie kolęd. „Stary czy młody, wierzący czy obojętny religijnie – gdzie jest Polak, dla którego melodie: *Bóg się rodzi, Wśród nocnej ciszy, W żłobie leży* – nie stanowiłyby części własnej duszy? Zrosły się one nierozdzielnie z polskością, której są wykwitem, a mogą być słuszną dumą” (Z. Kossak).

Wieczór wigilijny dopełnia udział o północy w pasterce, która rozpoczyna właściwy obchód świąt Bożego Narodzenia.

W pierwszy dzień świąt, po uroczystym spożyciu śniadaniu, rodziny zgodnie z tradycją udają się do kościoła, by odwiedzić żłóbek betlejemski.

Wytworzony w wigilijny wieczór nastrój towarzyszy dalszemu przebiegowi świąt Bożego Narodzenia. Pierwszy dzień świąt, podobnie, jak Wigilia, spędzany jest w gronie rodzinnym. Natomiast drugi dzień jest dniem składania wizyt, odwiedzin krewnych i znajomych.

Święta Bożego Narodzenia są świętami typowo rodzinnymi. Kulturowana tradycja, piękna w oprawie i bogata w treści religijne, wprowadza do domów specyficzną, ciepłą atmosferę, która wyzwala pozytywne uczucia, ożywiające i wzmacniające rodzinną więź.



Kącik Społecznego Opiekuna Zabytków

W ostatnim okresie wzrosło zainteresowanie zabytkami zarówno tymi ruchomymi, jak i nieruchomymi. Coraz częściej prywatne osoby przejmują niejednokrotnie zdewastowane obiekty i starają się doprowadzić je do stanu używalności. Bogatsi mogą korzystać z wyspecjalizowanych firm. Ci mniej bogaci, ale wrażliwi na prawdziwe piękno, starają się obiekt wyremontować we własnym zakresie metodami gospodarczymi. W obu wypadkach dobrze się trochę znać na sposobach prowadzenia niektórych robót – aby otrzymać dobry i trwały efekt oraz po prostu nie dać się nabierać często nierzetelnym rzemieślnikom. Proponujemy Państwu cykl artykułów, w którym doświadczeni Społeczni Opiekunowie Zabytków PTTK podzielą się z Państwem swoimi refleksjami i uwagami w zakresie remontów obiektów zabytkowych. Dziś przedstawiamy Państwu artykuł bardziej ogólny – przygotowujący do rozpoczęcia prac, natomiast następne będą już miały charakter szczegółowy, praktyczny.

Wybór i projekt adaptacji

Bardzo często się zdarza, że obiekt zabytkowy, zwykle bardzo zniszczony, „rzuca na nas swój urok” i



Tulowice k. Sochaczewa
Elewacja frontowa dworu odbudowanego z ruin przez A. Novaka-Zemplińskiego

fol. A. Danowski

wówczas tylko w tym miejscu widzimy naszą przyszłą siedzibę. To bardzo dobrze, bo tylko mając silną motywację i przekonanie, możemy w przyszłości znosić wszelkie niedogodności i niespodzianki przeprowadzanego remontu. Dobrze jest jednak, gdy oprócz emocji dochodzi także do głosu rozsądek. Przeanalizowanie własnych możliwości finansowych i czasowych, a także uwzględnienie tak banalnych elementów, jak choćby możliwość dojazdu, oszczędzą nam wielu rozczarowań i niespodzianek. Każdy, kto zamierza odbudować obiekt zabytkowy, ma oczywiście swoją własną wizję jego zagospodarowania i urządzenia, zależną od potrzeb, gustu, możliwości finansowych itp. Jest to oczywiście zrozumiałe i w pełni uzasadnione, pamiętać jednak należy, że w przeciwieństwie do budowania od podstaw, tu wchodzimy w określone wcześniej założenie architektoniczne (często architektoniczno-ogrodowe), którego naruszenie może spowodować jego zachwianie, a w rezultacie otrzymanie fatalnego, trącającego nowobogactwem obiektu.

Przed przystąpieniem do projektu adaptacji, zachęcam zatem do „postudiowania” swojego obiektu – jego założeń zewnętrznych, rozkładu funkcjonalnego po-



Tulowice k. Sochaczewa
Elewacja ogrodowa dworu odbudowanego z ruin przez A. Novaka-Zemplińskiego

fol. A. Danowski

mieszczeń mieszkalnych i gospodarczych itp. Bardzo ważne jest ujawnienie architekta, gdyż niezwykle często się zdarzało, że dany architekt, w większości swych projektów, stosuje te same kanony projektowania.

Literatura przedmiotu jest na tyle bogata, że jeżeli nie znajdziemy materiałów bezpośrednio nas dotyczących, to z pewnością trafimy na materiały opisujące podobne obiekty i wówczas przez analogię, będziemy mogli zastosować pewne rozwiązania. W tej fazie szczególnej pomocy może nam udzielić Wojewódzki Konserwator Zabytków. Należy się ponadto do niego zwrócić o tzw. *Wytyczne konserwatorskie* remontu obiektu zabytkowego. Otrzymanie takiego dokumentu gwarantuje na przyszłość pozbycie się merytorycznych kłopotów związanych z „zabytkowością” naszego obiektu. Korzystanie z pomocy Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków jest odpłatne na każdym etapie prowadzonego remontu. Pamiętajmy, że są to zazwyczaj osoby ze znakomitym przygotowaniem fachowym, zarówno w zakresie historii sztuki, jak i budownictwa, materiałoznawstwa itp.

Gdy poznaliśmy już nasz obiekt – być może również jego historię i tradycje – możemy przystąpić do jego adaptacji na nasze potrzeby. Pamiętać jednak należy o podstawowej zasadzie *jak najmniejszych możliwych zmian oraz dostosowywania bardziej własnych potrzeb do obiektu niż odwrotnie*. Pamiętajmy, że obiekt nasz był też obiektem użytkowym i może nasi przed-

kowie wcale go tak głupio nie wymyślili, jak nam się wydaje. Projektując adaptację, trzeba wziąć pod uwagę nie tylko naszą wygodę, ale także możliwości techniczne obiektu (możliwości ogrzania, doprowadzenia różnych czynników, obciążenie stropów itp.). Charakterystycznym przykładem może tu być sposób umieszczenia kuchni. W starszych obiektach kuchnie wyraźnie oddzielano od części mieszkalnej za pośrednictwem długiego korytarza bądź budowano wręcz oddzielne pomieszczenie kuchenne. Dzisiaj architekci polecają „otwieranie” kuchni, np. do pokoju dziennego. Wiąże się to zapewne ze zmianą funkcji kuchni, która dziś często skupia życie rodzinne. Zastanowić się należy dlaczego nasi zazwyczaj praktyczni przodkowie tak zdecydowanie „odcinali” się od kuchni. Przyczyna jest bardzo prozaiczna. Chodziło bowiem o ograniczenie przechodzenia zapachów, osadów tłuszczów i zanieczyszczeń kuchennych do części mieszkalnej.

Z tego powodu budowano też niezależne wejście do kuchni do celów gospodarczych. Dzisiaj motywacje te są zapomniane i przypominają o swoim sensie w momencie smażenia placków ziemniaczanych, ryby lub gotowania bigosu. Przemyślenie adaptacji obiektu jest zatem jednym z najważniejszych czynników odbudowy i nie należy żałować na nie czasu. Każda godzina poświęcona na przemyślenia i analizowanie adaptacji zwróci nam się wielokrotnie nie tylko w fazie budowy, ale także późniejszego zamieszkiwania.

Rośliny lecznicze w magii i czarach

Dziurawiec zwyczajny

Niektóre krajowe rośliny lecznicze pełniły niegdyś ważną rolę w wierzeniach ludowych oraz w magii i czarach. Jedną z nich był powszechnie znany w Polsce dziurawiec zwyczajny – *Hypericum perforatum* L. z rodziny dziurawcowatych (*Hypericaceae*). Roślina ta występuje w różnych formach w niemal całej Europie, zachodniej części Azji oraz w Afryce Północnej. Rodzaj dziurawiec (*Hypericum* L.) liczy około 400 gatunków typowych wyłącznie dla strefy umiarkowanej, z których 10 spotyka się w Europie Środkowej, a z tego 7 w Polsce.

Dziurawiec zwyczajny wydaje łodygę sztywną, nagą, do 60 cm wysoką, w górnej części silnie rozgałęzioną, z dwoma przeciwległymi żeberkami. Liście naprzeciwległe, bezogonkowe, eliptyczne lub lancetowate, całobrzegie, do 3 cm długie, przeświecające kropkowane od obecności w tych miejscach zbiorników z bezbarwnym olejkiem eterycznym. Stwarza to wrażenie istnienia w tych miejscach dziurek. Od tego pochodzi polska nazwa rośliny. Na brzegach liści, zwłaszcza u szczytu, widoczne są ciemnopurpurowe lub jaśniejsze gruczoły wydzielnicze w postaci punktów. Kwiaty promieniste, średnicy do 3 cm o koronie żółtej, ciemno kropkowanej, zebrane w szczytowe baldachogrona. Owocem jest do 1 cm długa torebka, otwierająca się 3 kłapkami, zawierająca liczne, drobne, ciemnobrunatne nasiona. Dziurawiec kwitnie u nas od czerwca do września, najobficiej w III dekadzie czerwca. Surowcem leczniczym jest ziele dziurawca – *Hyperici herba*.

Już w odległej starożytności stosowano w leczeniu wielu krajów ziele miejscowych gatunków dziurawca. Zalecał je wybitny lekarz grecki Hipokrates (460–377 p.n.e.) w stanach zapalnych narządów wewnętrznych, owrzodzeniach, a także w chorobach płucnych. Znano też ziele dziurawca w Rzymie, o czym nadmieniał lekarz Korneliusz Celsus i encyklopedysta rzymski Pliniusz Starszy (I w. n.e.). W tym okresie przyboczny lekarz Nerona Andromachus wprowadził ziele dziurawca do wieloskładnikowego preparatu zwanego teriakem, stosowanego prawie do naszych czasów jako uniwersalny lek na niemal wszystkie choroby, zalecany także w zatruciach i ukąszeniach jadowitych zwierząt. W zmodyfikowanej i bardzo uproszczonej formie teriak jest jeszcze skład-

nikiem ziół szwedzkich w płynie, sprowadzanych w ostatnich latach do Polski.

Sławny lekarz grecki w służbie rzymskiej Pedanios Dioskurides (I w. n.e.) w swej pracy *De materia medica* (*O rzeczach leczniczych*) wspomniął znane mu 4 gatunki dziurawca. Ziele dziurawca uważał za środek nie mający równego, przydatny na wszelkie choroby. Zaznaczył też, że jeden z gatunków dziurawca, który nazwał *androsaimon*, ma kwiaty, które w stanie świeżym po rozgnieceniu w palcach wydzielają sok, przypominający barwą ludzką krew. Było to wtedy niezrozumiałe i mogło sugerować prostym ludziom działanie sił wyższych. Dziś wiemy, że jest to spowodowane wydostawaniem się z rozgniecionych zbiorników czerwonego barwnika, zwanego hiperycyną.



Dziurawiec zwyczajny

Już bardzo dawno temu poznano trafnie różne kierunki działania ziele dziurawca. Aelius z Amidy (V w. n.e.) zalecał odwary z dziurawca do leczenia ran i owrzodzeń. Aleksander z Tralles w Azji Mniejszej (Trallianus), żyjący w latach 525–605 wspomniął o korzystnym działaniu dziurawca na nerwy, a Paweł z Eginety (Paulos Aeginetes) w VII w. stwierdził, że dziurawiec działa też moczopędnie.

Jeszcze w początkach średniowiecza dziurawiec stał się w Europie przedmiotem różnych legend, przesądów i zabobonów. Druga nazwa tej rośliny – świętojańskie ziele, powstała jak się wydaje w kręgu kultur gallicko-celtyckich. W ramach chrystianizacji Europy został przypuszczalnie przyjęty do rytuałów kościelnych miejscowy kult dziurawca przez mnichów irlandzko-szkockich, a następnie przeniesiony do Europy Środkowej. Nazwa świętojańskie ziele znana była w Irlandii już w VI w. Jeden z misjonarzy irlandzko-szwedzkich, św. Columban (ok. 550–616), na cześć św. Jana Chrzciciela nosił stale przy sobie gałązkę dziurawca. Czerwony sok powstały przy rozcieraniu świeżych kwiatów dziurawca miał symbolizować męczeńską śmierć św. Jana Chrzciciela, który został ścięty za swoją wiarę na żądanie Salome.

W okresie późnego średniowiecza wymieniła dziurawiec *Alphita*, będąca listą leków używanych w Europie Zachodniej w XIII w. Znalazło się w niej obok nazwy dziurawca *hypericon* dodatkowe określenie *daemonis fuga*, czyli ucieczka złego ducha. Jest ponadto uzupełnienie *S. Johannis perforata scopia regia – reiofricon*, tzn. świętego Jana dziurkowana różga królewska, odstraszaająca od zbliżania się złego.

Na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych przybyły jeszcze inne nazwy określające dziurawiec. W Niemczech było to ziele czarodziejskie i różga na diabła, we Francji *chasse diable*, czyli ścigania diabła. W zielnikach z XVI w. nie brak prawie nigdy przy dziurawcu określenia *daemonum fuga*, tj. ucieczka złych duchów.

Od wielu stuleci sporządzano w Polsce wianki z dziurawca i innych roślin, które po wysuszeniu i poświęceniu w kościele wieszano przy wejściach do domostw oraz w mieszkaniach. Miały one przynosić domownikom szczęście i odpędzać złe duchy od

zabudowań mieszkalnych. W leczeniu ludowym Polski dziurawiec stanowił lek przeciwbólowy, skuteczny również w niektórych chorobach kobiecych. Odwar z ziele dziurawca podawano zewnętrznie na rany i oparzenia, a także do okładów i mycia głowy przy bólach głowy.

Ziele dziurawca zawiera czerwony barwnik hiperycynę (ok. 0,1%) i związki pokrewne oraz pochodne antrazwiałków. Znalaziono też 3 do 8% garbników katechinowych oraz flawonoidy, jak hiperozyd i rutozyd (rutyna), olejek eteryczny (do 0,2%), a także fenolokwasy, fitosterole, leukoantocyjany i inne związki.

Ze względu na urozmaicony skład chemiczny, ziele dziurawca ma wielokierunkowe działanie lecznicze. Flawonoidy dziurawca działają rozkurczowo na mięśnie gładkie przewodu pokarmowego oraz dróg moczowych i wywierają wpływ moczopędny. Działają też żółciopędnie i nieco żółciotwórczo. Zapobiegają zastojom żółci i odkładaniu się kamieni żółciowych. Flawonoidy, jak rutozyd i niektóre pochodne katechinowe, wzmacniają i uszczelniają ściany włosowatych naczyń krwionośnych i przeciwdziałają drobnym wybroczynom oraz krwawieniom.

Wyciągi z dziurawca działają też uspokajająco. Są skuteczne w niepokoju nerwowym, zakłóceniach snu i stanach depresyjnych. Ze względu na częste występowanie różnych zaburzeń nerwowych i bardzo małą toksyczność przetworów z dziurawca, wykorzystanie ich w tej grupie chorób budzi ostatnio na Zachodzie duże zainteresowanie. Średnia dawka dobowo do użytku wewnętrznego wynosi 2–4 g ziele dziurawca.

Przetwory z dziurawca, a zwłaszcza wyciągi olejowe, zwiększają po pewnym czasie wrażliwość skóry na działanie promieni nadfioletowych światła słonecznego lub lampy kwarcowej, wywołanych głównie przez hiperycynę. Najbardziej wrażliwe są osoby o jasnej karnacji skóry. Wyciągi wodne z dziurawca zawierają garbniki i flawonoidy, podawane zewnętrznie działają ściągająco i przeciwzapalnie na skórę oraz błony śluzowe jamy ustnej i gardła. Dziurawiec stał się ostatnio bardzo modną rośliną leczniczą, z której sporządza się dziesiątki fabrycznych preparatów gotowych, dostępnych do nabycia w aptekach.

Na szlaku ... śladami Władysława Reymonta i „Kamieni na szaniec”

Z DOŚWIADCZEŃ NAUCZYCIELA-KRAJOZNAWCY

Wycieczkę można odbyć rowerami lub pociągiem z Dworca Łódź-Fabryczna przez Koluszki do stacji PKP Czarnocin (w kier. Piotrkowa Tryb.).

Z peronu stacji PKP Czarnocin udajemy się w prawo od zabytkowego budynku stacyjnego i idziemy połą drogą wzdłuż toru kolejowego. Po ok. 600 m, w miejscu gdzie droga, skręcając w lewo, „rozstaje się” z torem – stoi głaz z tablicą pamiątkową o następującej treści:

6 CZERWCA 1943 ROKU
ODDZIAŁ WARSZAWSKICH GRUP SZTURMOWYCH
SZARYCH SZEREGÓW
KEDY W KOMENDY GŁÓWNEJ ARMII KRAJOWEJ
DOWODZONY PRZEZ HM PPOR.
TADEUSZA ZAWADZKIEGO ps. „ZOŚKA”
WYSADZIŁ MOST NA RZECE WOLBÓRCIE
W POBLIŻU STACJI KOLEJOWEJ CZARNOCIN
PODCZAS ODWROTU Z MIEJSCA AKCJI POLEGLI
W WALCE:

PHM. SIERŻ. PODCHOR.
FELIKS P E N D E L S K I ps. „FELEK”
PHM. SIERŻ. PODCHOR.
ANDRZEJ Z A W A D O W S K I ps. „GRUBY”
KPR. PODCHOR.
RYSZARD W E S O Ł Y ps. „RYSZARD”

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI

6 czerwca 1993

Społeczeństwo
województwa piotrkowskiego

Po uczczeniu Bohaterów chwilą ciszy, można zająć wygodne miejsca na trawie w pobliżu tablicy i przywołać na myśl przebieg wydarzeń sprzed pół wieku, które upamiętnia tablica, a pomoże nam w tym rozdział *Wielka gra z Kamieni na szaniec*, w którym opisana jest akcja „Czarnocin” jako „jedna z najbardziej pechowych i ciężkich robót »Zośki«, a jak napisał autor książki A. Kamiński – „Miało to być wysadzenie mostu pod Czarnocinem [...]. Jeśli się da – brzmiało zadanie – wysadzić most w czasie transportu z materiałem wojennym idącym na front wschodni, jeśli się nie da – wysadzić sam most”.

Ostateczny termin akcji przesunięto z ważnych powodów na noc z 5 na 6 czerwca 1943 r. Nieoczekiwane przeszkody w podjęciu pożądanych materiałów i broni spowodowały opóźnienie, dlatego pociąg pełen czołgów przejechał bez przeszkód, a ponadto: „Przeklęty pech! Miny nie wysadziły całego mostu, uszkodziły tylko jego część”.

W wydaniu specjalnym „Raptularza” – miesięcznika Chorągwi Łódzkiej ZHP (czerwiec 1993) – czytamy o ostatnich momentach akcji: „»Zośka« daje rozkaz wycofania się do samochodów. Gdy znaleźli się tam, okazało się, że na »Ryśka« (Ryszarda Wesołego), ubezpieczającego samochody, nadszedł patrol cywilny strażników kolei. »Rysiek« sterroryzował ich stenem i mimo ich obecności wszedł na słup i zgodnie z rozkazem przeciął linię telefoniczną, łączącą folwark Remiszewice i Czarnocin z Piotrkowem Tryb. Gdy tylko wszyscy załadowali się na samochody, ruszono od razu, rozwijając dużą prędkość. Pierwszy samochód prowadził »Zośka«. Razem z nim jechali »Maciek«, »Pług« i »Dzik«. W drugim samochodzie prowadzonym przez »Ryśka« jechali: »Antek«, »Gruby«, »Giewont« i »Felek«. [...] »Rysiek«, bojąc się utracić łączność z wozem »Zośki«, nie zmniejszał szybkości i w pewnym momencie, na ostrym zakręcie, wyrzucił samochód. [...] »Zośka«, nie widząc drugiego samochodu, zawrócił [...], wziął do swego samochodu rannego »Ryśka«, wsiał też kapitan »Pług« [...]. Reszta szturmowców otrzymała rozkaz zniszczenia zepsutego samochodu, a następnie, po podzieleniu się na 2-osobowe grupki, szybkiego odmarszu bocznymi drogami w kierunku Żyrardowa lub Grójca. »Antek« i »Dzik« dotarli do Żyrardowa, a potem koleją do Warszawy, natomiast »Gruby«, »Maciek« i »Felek« weszli do najbliższego domostwa, nie wiedząc, że jego właściciel jest konfidentem gestapo. Gdy udali się w dalszą drogę, niebawem zostali zaatakowani przez niemiecką żandarmerię, zawiadomioną przez owego konfidenta”.

Trzej szturmowcy musieli stoczyć walkę. „Maćkowi” udało się wycofać pod osłoną żyta, potem na rowerze sterroryzowanego rowerzysty wrócił do Warszawy. Natomiast „Gruby” zginął prawdopodobnie od

pierwszych strzałów, a „Felek” poszarpany odłamkami kul tuż przed zgonem zdążył zniszczyć dokumenty osobiste, połykając cząstki papieru. Prosił także lekarza-Polaka, którego żandarmi przywieźli ze sobą, aby nie ratował mu życia. W ten sposób chciał oszczędzić kłopotów rodzinie i kolegom.

Tym właśnie bohaterom została poświęcona żeliwna tablica pamiątkowa w miejscu, gdzie na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci liczne grupy łódzkiej młodzieży harcerskiej organizowały biwaki, rajdy i zloty w kolejne rocznice wydarzenia czerwcowego z 1943 r. (np. w 1968, 1969, 1971, 1983, 1987).

Z pewnością nie wszyscy wiedzą, a szczególnie brak tej wiedzy może odczuwać młodzież spoza harcerstwa, że żyją nieliczne osoby – współorganizatorzy i współuczestnicy akcji uwiecznionych w dokumencie *Kamieni na szaniec* A. Kamińskiego. Jednym z nich jest harcmistrz Stanisław Broniewski ps. „Orsza” – prezes ZG Stowarzyszenia Szarych Szeregów, z którego inicjatywy rok 1993 został ogłoszony „Rokiem Grup Szturmowych Szarych Szeregów”. Jednocześnie Zarząd Stowarzyszenia zaproponował, aby 50-lecie tamtego pamiętnego 1943 r. uczcić centralnymi obchodami: Akcji pod Arsenalem, Akcji Celestynów, Akcji Sieczychy i Akcji Czarnocin.

W związku z tą ostatnią harcerze Szczepu im. Szarych Szeregów w Łodzi, głównie z inicjatywy druha Jerzego Miecznikowskiego – łódzkiego nauczyciela, nadal ściśle współpracującego z harcerstwem, postanowili uczcić 50-lecie Akcji Czarnocin tablicą pamiątkową, którą odsłonięto 6 czerwca 1993 r., a dokonali tego właśnie harcmistrz Stanisław Broniewski „Orsza” i druh Jan Kopałka (mieszka w Łodzi).

Do wiadomości bardziej zainteresowanych podaję, że w celu poznania szczegółów zarówno dotyczących samej akcji, jak i uroczystości odsłonięcia tablicy, można o spotkanie lub poprowadzenie wycieczki poprosić wspomnianego druha Jerzego Miecznikowskiego i jego żonę – druhenę Annę Miecznikowską.

Po skończeniu historyczno-literackiej lekcji przed tablicą pamiątkową kontynuujemy wycieczkę. Ruszamy dróżką w lewo przez mostek nad Wolbórką, pięknie meandrującą wśród rozległych łąk. Niebawem przed nami da się zauważyć samotny dąb (4,03 m obw.), a po 1 km – okazała lipa (7,7 m), zwana lipą Reymonta, rosnąca przed młynem nad Miazgą, która w pobliżu wpada do wspomnianej już Wolbórki. Naprzeciwko młyna znajdują się zabudowania dawnej Jakubówki czy Wolbórki – obecnie wsi Prażki. Tę właśnie posiadłość – włókę ziemi z młynem – kupił ojciec pisarza w 1880 r. po opuszczeniu Tuszyń i tu był ostatni dom rodziny przyszłego Noblisty, który w autobiografii wspomina to miejsce następująco:

„[...] Miałem wtedy 18 lat. Rodzice mieszkali już gdzie indziej. Kupili młyn z paru włókami ziemi przy samej drodze Warszawsko-Wiedeńskiej między stacjami Baby a Rokiciny [...]. Miałem w tym czasie wszystko i nie miałem nic, rwałem się do wszystkiego i brzydko mi wszystko [...]. Włóczyłem się tygodnie całe po polach, lasach i wodach”.

Krajobraz rodzinnej Wolbórki pisarz utrwalił na kartach utworu pt. *Dwie wiosny*: „O świcie pociąg wyrzucił mnie na małej pustej stacyjce w okolicach Piotrkowa. [...] Szaro było: tak pusto i tak cicho, że oprzytomniałem. Poszedłem w ten przedświataczny mrok w pola, na przełaj. Mgły jakby runami wełny pokrywały łąki. A przede mną nieobjęta równina szarozielona, chaos nieuchwytnych jeszcze zarysów drzew, wsi, pól i lasów, przez który snuły się jak wiza senna ledwo odczute zarysy rzeki”.

Trudno nie zauważyć, że niewiele zmieniło się w krajobrazie dawnej Wolbórki.

Idąc od młyna asfaltem w prawo, zobaczymy wśród drzew drewniany dom (drugi z kolei wybudowany w 1906 r.), który nie świeci pustkami, jego właścicielką bowiem jest siostrzenica W. Reymonta – pani Zofia Załęska, córka najmłodszej siostry pisarza – która skrzętnie opiekuje się rodzinnymi pamiątkami i czasopismami, zawierającymi informacje o pisarzu, a wśród nich najcenniejsze – dwa numery „Tygodnika Ilustrowanego” (1925) z opisem uroczystości w Paryżu z okazji otrzymania Nagrody Nobla.

Przy wejściu do ogrodu otaczającego dom usytuowano w 1967 r. kamień z tablicą pamiątkową, ufundowaną w czynie społecznym na 100-lecie urodzin pisarza. Na tablicy znajduje się następujący tekst:

W LATACH 1880–1906 STAŁ TU DOM,
W KTÓRYM SPĘDZIŁ LATA MŁODOŚCI
I PISAŁ PIERWSZE UTWORY
WŁ. ST. REYMONT,
LAUREAT NAGRODY NOBLA.

Sprzed tego domu mamy trzy możliwości kontynuowania wycieczki.

Pierwsza – dla najmniej wytrwałych: powrót tą samą drogą przez łąkę do stacji PKP Czarnocin i stąd przejazd pociągiem do Łodzi.

Druga – spacer w dalszym ciągu asfaltem (za dom) do toru kolejowego i po jego przekroczeniu – w lewo wzdłuż toru do stacji PKP Łaznow.

Trzecią wersję proponuję tym, którzy lubią dużo chodzić i zwiedzać, a przy okazji zdobywają np. Odznakę Turystyki Pieszej (OTP). Od domu Reymonta należy wrócić do młyna, zostawiając go z lewej strony, udać się asfaltem w stronę wsi Zamość, a stamtąd do ul. Głównej w Czarnocinie, który znany jest już od 1289 r. Zarówno wieś, jak i okolica słyną z wysokiej

kultury rolnej, którą rozwija Technikum Rolnicze, specjalizujące się w zakresie sadownictwa i ogrodnictwa.

Warto zatrzymać się, by zwiedzić kościół pw. Wniebowzięcia NMP przy ul. Głównej 143. Jest to budowla z lat 1880–1891, murowana w stylu neoromańskim, z barokowymi i rokokowymi elementami wyposażenia wnętrza. Obok kościoła zwracają uwagę okazałe lipy (3,04 m, 2,63 m), kasztanowiec (3,18 m) oraz lipa przed plebanią (3,69 m).

Za Urzędem Gminy skręcamy w ul. J. Poniatowskiego. Przy tej ulicy znajduje się gmach wspomnianego Technikum Rolniczego, otoczony pięknie utrzymanym parkiem, w którym można przy okazji odbyć

CELINA JAWORSKA-MAĆKOWIAK

Trasa dla początkujących: Gospodarz – Rzgów – Konstancja – Józefów – Łódź (ul. Rzgowska – Stawy Jana) 10 km

Na trasę najlepiej ruszamy autobusem PKS z pl. Niepodległości w Łodzi do cmentarza z I wojny światowej w Gospodarzu albo tramwajem linii 26 do krańcówki przy ul. Skrajnej, skąd trzeba dojść (1800 m) do cmentarza.

Przed cmentarzem wojennym, ukrytym wśród starych drzew, należy zwrócić uwagę na olbrzymi ogrodzony teren (35 ha) – to najnowsze miejsce pochówku mieszkańców Łodzi, czyli Cmentarz pw. św. Maksymiliana Kolbego, wytyczony w 1991 r., a poświęcony przez łódzkiego biskupa Jana Kulika. Przy wejściu z lewej strony widoczna nowoczesna kaplica przedpogrzebowa i kancelaria cmentarza.

Zanim wyruszymy na trasę warto wejść na teren cmentarza wojennego. Położony przy skrzyżowaniu szosy Łódź – Piotrków z drogą i dawną linią tramwajową z Łodzi do Rzgowa. Spoczywają tu szczątki 2000 żołnierzy poległych 20–22 listopada 1914 r. Na wzniesieniu znajduje się okazały obelisk, a na nim tablica z inskrypcją w języku niemieckim: HIER RUHEN IN GOTT 2000 TAPFERE KRIEGER. Od strony północnej napis: PRO PATRIA. W pobliżu pozostało kilkanaście kamiennych słupów-tablic, na których można jeszcze odczytać nazwy poszczególnych pułków niemieckich, biorących udział w bitwie o Łódź. Wokół wzniesienia znajduje się wiele mogił, coraz bardziej osłoniętych krzewami. Spoczywają w nich setki nie-

ciekawą lekcję z zakresu dendrologii, ponieważ wszystkie okazy ciekawego i bogatego drzewostanu parku są opatrzone tabliczkami z nazwą i pochodzeniem. Pobyt w tym parku to doskonała okazja, by uczyć się rozpoznawania mało znanych odmian drzew i krzewów. Można tam odpocząć na ławeczkach pod rozłożystymi konarami.

Po zwiedzeniu parku, idąc w dalszym ciągu ul. J. Poniatowskiego (2,5 km), dojdziemy do znanej nam już stacji PKP w Czarnocinie.

Proponowaną wycieczkę można też odbyć autokarem z wydłużeniem trasy o Tuszyn (również związany z życiem W. Reymonta), Koluszki i Brzeziny.

mieckich i rosyjskich piechurów. Wśród wrytych nazwisk były także polskie – Poznaniaków i Ślązaków, wcielonych do armii niemieckiej. Obecnie teren cmentarza coraz bardziej przypomina las i jest smutną pamiątką niezwykle krwawej bitwy, która przeszła do historii jako jedna z większych operacji wojennych, jakie miały miejsce na tym terenie. W sierpniu 1914 r. wojska niemieckie dwukrotnie zajęły Łódź, ustąpiły z miasta 27 października, a następnego dnia weszły do miasta pułki rosyjskie pod wodzą gen. Scheidemanna. W połowie listopada Niemcy postanowili odciąć tę część armii rosyjskiej od głównych sił zmasowanych na froncie śląskim. Od południa okrążył Łódź XXV Korpus Niemiecki pod dowództwem generałów: Scheffera i Litzmanna. 20 listopada znalazły się one na linii Wiskitno – Starowa Góra – Rzgów – Gospodarz. 21 listopada był niezwykle krwawym dniem. Przez cały czas artyleria niemiecka ostrzeliwała przedmieścia Łodzi. Zniszczeniu uległo wiele domów, były straty wśród ludności cywilnej.

Wkrótce sytuacja Niemców zmieniła się na niekorzyść, od północy bowiem nadszła rosyjska armia Rennenkampfa, a od południa V Armia Rosyjska pod dowództwem Plehwego. Niezależnie od tego IV Armia Rosyjska stała w pogotowiu pod Skierniewicami. Wojska niemieckie nacierające od Rzgowa znalazły się w okrążeniu.

W takiej sytuacji gen. Litzmann otrzymał rozkaz przedarcia się w stronę Brzeziny w celu związania przezwanej linii. Mimo wielkich trudności Niemcy zrealizowali powyższy plan operacyjny, wydostali się z okrążenia i dlatego gen. Litzmann wszedł do niemieckiej batalistyki jako bohater, a kiedy w 1939 r. Niemcy zajęli Łódź, na cześć tegoż generała nazwali nasze miasto Litzmannstadem.

Na cmentarzu rosną liczne okazałe drzewa, np. dąb (314 cm) i 2 modrzewie (235 i 175 cm).

Po zwiedzeniu cmentarza wojennego udajemy się ul. Czartoryskiego w kierunku Rzgowa. Idziemy prawą stroną ulicy ze względu na tory tramwajowe z lewej, dochodzimy do wiaduktu pod szosą z Łodzi do Piotrkowa, za którym rozpoczyna się ul. Rudzka, wprowadzająca do Rzgowa. Tuż przed Rzgowem, za zabudowaniami po lewej stronie ulicy, znajdują się ślady cmentarza choleryków, założonego w 1880 r. w okresie szerzenia się epidemii cholery.

Dochodzimy do Rzgowa i skręcamy w prawo w ul. Cmentarną, aby wejść na cmentarz, na którym (z prawej części) znajduje się zbiorowa mogiła polskich żołnierzy, poległych za ojczyznę we wrześniu 1939 r. Cmentarz zajmuje powierzchnię 1,4 ha. Najstarszy grób z 1905 r. orientuje w przybliżeniu o dacie założenia cmentarza.

Wracamy do ul. Cmentarnej i w prawo przez most na Nerze podążamy do miasta.

Rzgów leży w widłach rzeki Ner i jej bezimiennego dopływu, na skrzyżowaniu traktów: z Piotrkowa Trybunalskiego przez Łódź do Łęczycy i z Pabianic do Tomaszowa Mazowieckiego. To dogodne położenie skłoniło Kapitułę Krakowską do założenia tutaj miasta (drugiego obok Pabianic). Rzgów istniał już przed 1378 r. Prawa miejskie otrzymał od króla Kazimierza Jagiellończyka w 1467 r. Od początku XVI w. rozwijał się w Rzgowie przemysł sukieniczy. W XVII i XVIII w. miasto niszczyły liczne pożary oraz wojny szwedzkie. Po odbudowie z kolejnego pożaru w 1820 r. odbywało się tu 12 jarmarków rocznie. Nie rozwinął się jednak przemysł włókienniczy, dlatego Rzgów nie przekształcił się w większy ośrodek miejski. Od 1860 r. obok rolnictwa i sukienictwa ważnym źródłem utrzymania ludności stało się furmaństwo – aż 22 mieszczan trudniło się dowożeniem wapna z Sulejowa do Łodzi.

W 1870 r. Rzgów utracił prawa miejskie. Drewnianą zabudowę miasta poważnie zniszczyły 3 kolejne pożary. Natomiast działania wojenne w tak dużym stopniu zrujnowały miejscowość, że w 1917 r. w Parku im. Sienkiewicza w Łodzi zorganizowano koncert, z którego dochód przeznaczono całkowicie na odbudowę Rzgowa.

Obecnie Rzgów jest zurbanizowaną osadą, która zachowała dawną parterową zabudowę i średnio-wieczny układ miejski, tzn. rynek i szachownicowy

układ ulic. Liczy ponad 4 tys. mieszkańców i spełnia funkcję zaplecza mieszkaniowego Łodzi.

Na skrzyżowaniu za mostem na Nerze skręcamy w lewo na rynek, przy którym znajduje się kościół pw. św. Stanisława i św. Rocha. Został zbudowany w 1630 r., a restaurowany w 1699 i 1752 r. Wieża odbudowana po pożarze w 1812 r. została przebudowana w XIX w. i ponownie w 1917 r. Jest to kościół późnorennesansowy, orientowany, murowany, z zewnątrz opięty skarpami, przykryty dwuspadowym dachem. W ścianach i wieży kościoła widoczne kule armatnie z I wojny światowej oraz tablica pamiątkowa ku czci poległych w latach 1939–1945.

Świątynia jendonawowa z węższym i wielobocznie zamkniętym prezbiterium i chórem muzycznym, nadwieszonym na kroksztynach. Sklepienie kolebkowe z lunetami, wsparte na filarach przyściennych, dołem czworobocznych, górą – rozczłonkowanych. Dekoracja sklepień późnorennesansowa, stiukowa, w typie tzw. lubelsko-kaliskim, w prezbiterium pierwotna, w nawie rekonstruowana w 1918 r. Również rekonstruowana ściana tęczowa z belką tęczową, na której znajdują się litery: TR, CP, data 1630 oraz gotycka grupa ukrzyżowania.

Ołtarz główny barokowy z rzeźbionym krucyfiksem z XVIII w. zasuwany obrazem św. Stanisława, ponadto ławka kolatorska z pocz. XIX w., ambona i stalle z dekoracją girland oraz chrzcielnica w formie rokokowej wazy, trzymanej przez anioła – klasycystyczna z przełomu XVIII i XIX w. Dwa ołtarze boczne barokowe z przełomu XVII i XVIII w. Ponadto barokowe rzeźby świętych, konfesjonał i krucyfiks. W wieży barokowy portal. Obok kościoła pomnikowe drzewa: wiąz (297 cm) i lipy (436, 305, 275, 250 cm). Na rynku kamień pamiątkowy ufundowany z okazji 500-lecia Rzgowa.

Od kościoła wychodzimy w lewo ul. Grodziską. Tuż za granicami Rzgowa szosę prowadzącą do wsi Grodzisko (kierunek naszego marszu!) przecinają olbrzymie rury, widoczne z lewej strony nad Nerem. To tzw. nitka rurociągu prowadzącego do Łodzi wodę z Pilicy – ze zbiornika znajdującego się między Smardzewicami a Nagórzycami, poprzez stację uzdatniania wody w Kalinie. Ten magistralny wodociąg zbudowano w 1955 i 1963 r.

Na skrzyżowaniu dróg skręcamy w lewo, idąc za znakami czerwonego szlaku. Przechodzimy po raz drugi przez rzekę Ner. Jest to prawy dopływ Warty, długości 72 km, na terenie woj. łódzkiego – 30,6 km. Powierzchnia dorzecza zajmuje 828 km², a źródła rzeki znajdują się na wys. 220 m n.p.m. niedaleko wsi Nery, na pd.-zach. od Andrzejowa. Jest to druga co do wielkości (po Bzurze) rzeka woj. łódzkiego. Od źródeł do Stawów Stefańskiego jest rzeką I klasy czystości wód.

Za mostem na Nerze czerwony szlak skręca w prawo, a my idziemy nadal prosto drogą asfaltową. Niedaleko za Grodziskiem wchodzimy do wsi Konstantynowa, a następnie w lewo w ul. Nowe Górk i po pewnym czasie znów w lewo w ul. Józefów. Obie te ulice to dawne wsie, włączone do Łodzi. Między Nowymi Górkami a Józefowem po prawym stronie ulicy jest widoczne sztuczne wzniesienie w miejscu wysypiska śmieci, a jeszcze wcześniej – żyrowego wyrobiska. Latem 1987 r. zostały zakończone wszystkie prace ziemne, związane z rekultywacją terenu. Wzniesienie stanowi swego rodzaju punkt widokowy, a cały teren stwarza możliwości zagospodarowania do celów rekreacyjnych.

DANIELA KASZCZYK-GRODZICKA

Indie – kraj kontrastów

CZĘŚĆ II

Przed nami Agra. Wyjeżdżamy po obiedzie, czeka nas 5 godzin jazdy, mimo że dzieli nas tylko 200 km, gdyż będziemy przekraczać granice dwóch stanów: Utar Pradesz i Aliane. Pociąg na tej trasie kosztuje 83 rupie (1 dolar – 15 rupi). Z okien autokaru obserwujemy ruch uliczny, riksze, stare samochody, coś w rodzaju naszych nysek, które podwożą dzieci do szkoły, no i slumsy, których tu już poza centrum nie brakuje.

W czasie jazdy uzyskujemy trochę informacji na temat Indii. Mieszkania przydzielane są przez państwo, ale budownictwo boryka się z trudnościami finansowymi i w związku z tym mieszkań jest wciąż mało. Są również budowane mieszkania spółdzielcze. Wpłaca się wówczas 20% wartości, a resztę spłaca się przez 30 lat. Koszt 3 pokoi z kuchnią wynosi 170 tys. rupii. Oczekiwanie na własne „M” trwa 7 lat. Istnieją także mieszkania zakładowe, z tym że trzeba je opuścić po przejściu na emeryturę. Wiek emerytalny osiąga się po ukończeniu 59 lat.

Przemysł jest w większości prywatny. Tylko 20% przypada na przedsiębiorstwa państwowe.

Najpewniejszą pracą jest posada państwowa. Nie jest zbyt wysoko płatna, ale stała. Jest to ważne, gdyż jest tu duże bezrobocie. Na ulicach widać tabuny młodych mężczyzn włączających się bez celu lub usiłujących coś sprzedać.

Indie to kraj prawie jednolity pod względem religijnym. Hinduizm wyznaje aż 85% ludności. Pozo-

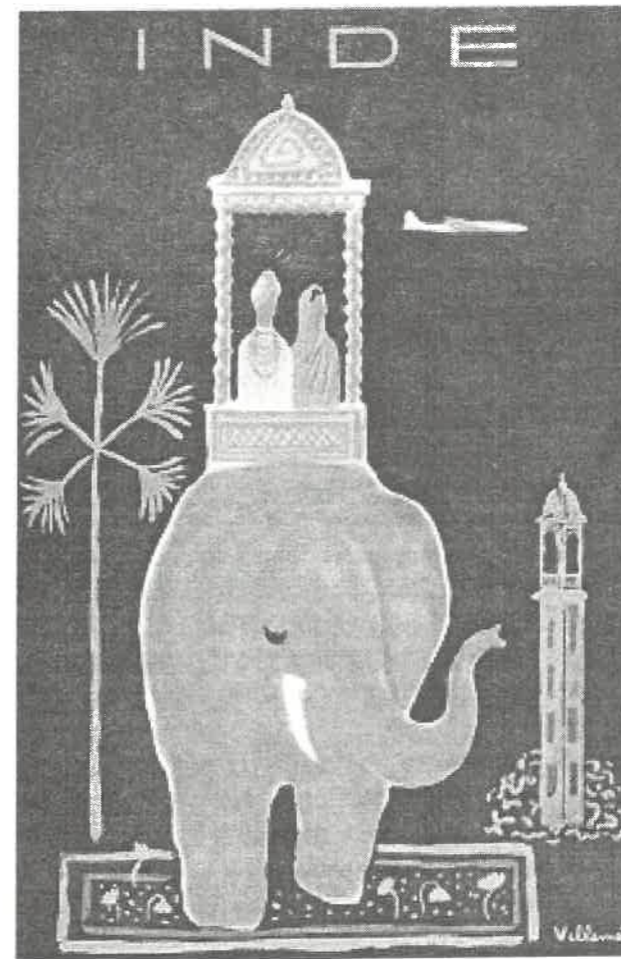
Ulicą Józefów dochodzimy do ul. Rzgowskiej, w którą skręcamy w prawo, a z lewej strony mamy Szpital-Pomnik Centrum Zdrowia Matki Polki, udajemy się do skrzyżowania ulic: Paradna – Kolumny – Rzgowska. Dosłownie na środku obecnego rozbudowanego skrzyżowania stał do 11 listopada 1939 r. pierwszy pomnik łódzki tzw. Kolumna Jasia, którą obecnie przypomina nazwa – ul. Kolumny oraz figura Serca Pana Jezusa. Przed tą figurą przechodzimy na lewą stronę ul. Rzgowskiej i za mostem na Olechówce skręcamy w lewo, by znaleźć się na terenie Ośrodka Sportu i Rekreacji Łódź-Górna, czyli nad Stawami Jana, gdzie kończymy trasę.

stałe religie to: mahometanizm (8–10%), sikhizm (1,5%), buddyzm (1%) i chrześcijaństwo (2%). Istnieje tu duża tolerancja wobec innych religii.

Początkowo jedziemy drogą dwupasmową, która po pewnym czasie się zwęża. Dużo riksów i rowerów. Na poboczu ciekawy dla nas widok, kawalkada wielbłądów, ciągnących wozy. Nikt u nas by nie przypuszczał, że w ten sposób można wykorzystywać te zwierzęta. Przy drodze ciąg parterowych budynków, sklepów, usługi, targi owocowe, kuchnie polowe. Drzewa przeważnie liściaste, krajobraz płaski, dużo nieużytków. Co rusz to pod koła autokaru wchodzi „święte krowy”. Jest ich w Indiach 250 mln. Te krowy to stare zwierzęta, które już nie dają mleka, a ich właściciele nie mogą ich wykarmić. Są więc wypędzane i same zdobywają pożywienie na ulicy.

Kierowca stale używa klaksonu, bo ruch na drodze duży, ale jeśli idzie o krowy to wykazuje maksimum cierpliwości i nieraz czekamy, aż łaskawie ustąpią nam z drogi.

Dojeżdżamy do Agry, stolicy Wielkich Mogołów, ośrodka kultu religijnego muzułmanów. Została założona na początku naszej ery. W XV–XVII w. została stolicą Wielkich Mogołów (od 1503 r.). Największym cesarzem tamtych czasów był Akbar (ok. 1542–1605). Pełne jego nazwisko brzmi – Dżelal ed-Din Muhammad. Władcą indyjskim został w 1556 r. i pozostał nim do śmierci w 1605 r. Był słynny z tolerancji, świetny organizator państwa, propagator idei



Pocztówka z Indii

ze zbiorów A. Dąbrowskiej

jedności Indii, reformator religijny, mecenas nauki, sztuki i literatury, budowniczy. Poszerzył swe państwo o Malwę, Bengal, Sindh i Kaszmir. Do rozkwitu sztuki przyczynili się artyści portugalscy, hiszpańscy, francuscy i arabscy.

Największą atrakcją turystyczną, mimo że innych też nie brakuje, jest Tadż-Mahal, mauzoleum Mumtaz Maha – ukochanej Szachdżachana władcy Indii. Zmarła w 1629 r. w wieku 36 lat przy porodzie czternastego dziecka. Mauzoleum wykonali artyści tureccy i perscy. Włosi utrzymują, że artyści z Wenecji.

Mauzoleum z białego marmuru, nie tylko indyjskiego, ma pośrodku jedną dużą kopułę, a z boków dwie mniejsze i cztery minarety. Było budowane 22 lata (1631–1653) przez 2 tys. robotników. Obszar wokół mauzoleum obejmuje 17 ha i jest pięknie utrzymany.

Na teren mauzoleum wchodzi się przez bardzo wysoką bramę. Wzdłuż dojścia do tego pięknego obiektu, podłużne baseny z wodą (podobno dawniej były wypełnione wodą o różnych kolorach). Na ich poboczach przystrzyżone trawniki o soczystej barwie zieleni, a za trawnikami cudowna, różnorodna roślinność. Wspaniale kontrastują ze sobą biel pięknego architektonicznie grobowca, błękit nieba, zieleń oto-

czenia i czerwień dwóch budynków po dwóch stronach mauzoleum. W jednym z nich sułtan był więziony przez swego syna.

Wchodząc do mauzoleum, zdejmujemy się obuwiem. Na absydach, wersety Koranu. Przy wejściu z prawej i lewej strony, lustrzane odbicie dekoracji, co stwarza złudzenie większej przestrzeni. Sarkofag z jednej bryły marmuru, na którym są wyryte elementy kwiatowe. Każdy kwiat jest wyrzeźbiony z 64 kawałków. Grób jest otoczony koronkową balustradą z marmuru, srebra i złota. Obok sarkofagu Mahal, grobowiec sułtana, jej małżonka. Okna w tym pomieszczeniu są wykończone misterną kratą, nie mają szyb. Jest więc przyjemny przewiew. W pomieszczeniu tym panuje jakaś specyficzna atmosfera powagi, i zadumy nad dalekim echem wielkiej miłości aż po grób. Zaiste potęgą tej miłości emanuje niewidzialnymi fluidami, którym poddają się wszyscy odwiedzający to miejsce i przesuający się bez przerwy turyści.

Mauzoleum jest uznawane za najpiękniejszy zabytek sztuki muzułmańskiej w Indiach, dzięki szlachetnym proporcjom i bogatej dekoracji fasad, rzeźbionych w białym marmurze. Potwierdzamy tę opinię. Dlatego z żalem żegnamy ten pełen uroku i spokoju zakątek.

Podobnie jak w Delhi, w Agrze w 1573 r. został wybudowany Czerwony Fort i jak w stolicy ma arkady. Został wzniesiony za czasów sułtana Akbara. Jest otoczony murami o długości 2 km. Mieszkało tu czterech sułtanów. Obecnie 3/4 powierzchni Fortu jest zajęte przez wojsko, a tylko 1/4 jest udostępniona turystom do zwiedzania. W obrębie Fortu znajduje się grób brytyjskiego gubernatora, który w 1857 r. zmarł na atak serca w czasie powstania hinduskiego. Feroowano tu w zaskakujący nas sposób wyroki śmierci. Do naszych czasów pozostał w Czerwonym Forcie kamień na placu Libadian. Do tego kamienia przywiązywano był słoń. Przyprawiano w to miejsce skazańca. Jeżeli słoń go stratował, to znaczyło, że był winien, a jeśli się nim nie interesował, był bez winy. Tak to sprawiedliwość pozostawała w gestii słonia.

W Agrze mieszkamy w 4-gwiazdkowym hotelu „Mumtaz” o ciekawym, oryginalnym, wschodnim stylu. Wnętrze pięknie zaprojektowane, pełne wygodnych kanap i foteli. Lustra i kwiaty dopełniają atrakcyjności hotelu. Zostajemy tu przywitani girlandami kwiatów. Co za różnica w porównaniu z warunkami w Delhi.

Po kolacji, późnym wieczorem oglądaliśmy niebywałą atrakcję. Wszyscy wyszliśmy z hotelu na ulicę z powodu hałasu spowodowanego przez walenie w bębny, granie na trąbkach oraz migające kolorowymi światłami dekoracje. Okazało się, że na ulicy odbywało się właśnie wesele. Panna młoda i pan młody ubrani byli w białe tradycyjne stroje hinduskie.

Goście weselni, również pięknie ubrani, bawili się przy dźwiękach tych dwóch instrumentów. Muzyka ta dla ucha Europejczyka jest trudna w odbiorze, a hałas nią spowodowany na dłuższą metę – męczący. Ulica była swoistą salą weselną. Trwało to do późnych godzin nocnych, co skróciło nam wypoczynek. Byliśmy jednak zadowoleni, że mogliśmy obejrzeć tak niezwykłą ceremonię, co nie każdemu turyście się trafia.

Poprosiliśmy Anitę, naszą przewodniczkę, aby powiedziała nam coś na temat zaślubin. Otóż małżeństwo kojarzy swat, ustala też posag. Jeżeli pan młody nie zjawi się na ślubie, panna młoda nie znajduje już męża. Okresem zaślubin jest marzec–czerwiec. Astrolog ustala datę ślubu. W miastach ustawia się namioty na przyjęcie gości. Wesele trwa około tygodnia. Goście nie przynoszą prezentów, tylko rodzina młodych. Kilka dni przed ślubem, 9 braminów, symbol 9 planet, odprawia modły, a młodzi abluje. Ojciec wprowadza pannę młodą przez próg domu, ma ona twarz zakrytą. Jest bogato ubrana. Po zaślubinach młodzi wracają do domu swoich rodziców i dopiero drugiego dnia młody zabiera żonę, goście obsypują ich ryżem i kwiatami. Kiedy pożycie się nie układa, rodzice muszą córkę zabrać, ale jest to dla nich hańbiące. W 1955 r. ustalono wiek dziewczyny na 16 lat, a pana młodego na 18. Prawodawstwo dopuszcza rozwody, ale wynoszą one tylko 0,2%. Kobieta nie ma możliwości ponownego wyjścia zamaż. Jeśli idzie o dzieci, to lansowane swego czasu, ze względu na duży przyrost naturalny, hasło 2+2 nie dało rezultatu. Akcja sterylizacji przyczyniła się do porażki Partii Kongresowej. Płacono za ten zabieg 100–140 rupii (od 65 do 90 dol.), a więc śmiesznie mało, a może dla tych najbiedniejszych dużo? Był to jednak ze strony rządu akt determinacji, gdyż w Indiach w ciągu 1 minuty umiera 15 osób, a rodzi się 40.

Po śmierci męża, podczas palenia zwłok, żona ma głowę ogoloną, jest poza kręgiem żyjących. Rząd stara się pomóc wdowom, ale możliwości są ograniczone. Dlatego zatrudniają się one w domach publicznych lub przy świątyniach, gdzie również uprawiają ten preceper podczas zjazdu wiernych, pielgrzymów. Kobiety na ogół nie są zorientowane w swych prawach konstytucyjnych, stąd ich bezradność. Średni wiek kobiety jest niższy niż mężczyzn, gdyż jest duża śmiertelność przy porodach. Indie mają więc więcej mężczyzn niż kobiet. Występuje też duża śmiertelność dzieci, co trzecie nie dożywa sześciu lat. Z tych wstrząsających dla nas informacji wyłania się tragiczny los kobiet oraz dzieci w Indiach i niestety brak nadziei na rychłą zmianę w tym zakresie.

Wracamy jednak do spraw związanych z Agrą. Za życia Akbara miasto miało 7 bram. Wszystkie budowle były wznoszone z miejscowego kamienia. Miasto istniało 200 lat, aby po śmierci sułtana popaść w

zapomnienie. W czasie swojego panowania posiadał 30 tys. koni, 14 tys. dzikich zwierząt. Utrzymywał też 800 nałożnic.

Zwiedzanie Fortu rozpoczynamy od sali audiencyjnej, która wyróżnia się oryginalną architekturą. W jej wnętrzu kolumny z jednego kawałka czerwonego kamienia, rozszerzające się ku górze, symbolizują poszczególne religie za czasów Akbara: perską, arabską, buddyjską i hinduską. Jest to uwidocznione odpowiednimi, wspianymi płaskorzeźbami. Oglądamy basen, do którego transportowano wodę wiadrami. Musiała to być ciężka praca, gdyż basen jest głęboki. W zacisznym miejscu dziedzińca, na którym były ustawiane szachy dla sułtana, znajduje się grób jego ukochanego słonia.

Pięciopiętrowy pałac letni przypomina chińską pagodę. Obok szkoła dla sierot, dalej miejsce wypoczynku dla pary królewskiej, przed nim basen z perfumowaną wodą. W czasie uroczystości osuszano basen i wypełniano go złotymi monetami przeznaczonymi dla gości.

Następne dwa budynki były przeznaczone dla żon, a obok kramy ze złotem i gołębnik dla gołębi pocztowych. Najokazalszy obiekt to dom żony-hinduski, matki następcy tronu.

W meczecie Solima znajdują się grobowce rodziny królewskiej. W centralnym miejscu meczetu we wnęce zasiadał cesarz. Naokoło sarkofagu cesarza, ażurowe okna, bez szyb. Modlący się wiążą nitki na tych ozdobnych, lekkich kratkach, wyrażając jednocześnie swe życzenia. Nitki przy najłżejszym powiewie wiatru wykonują swój niezwykły taniec bez końca. Jest to widok fascynujący.

Opuszczamy Czerwony Fort w Agrze urzeczeni egzotyką tego miejsca.

Agra to prawdziwy skansen. Wszystko pozostało tu jak za dawnych czasów. W ogóle nie ma tu nowego budownictwa. Wszystkie usługi jak: szycie, fryzjerstwo, wrywanie zębów, gotowanie potraw z ostrymi, wschodnimi przyprawami odbywa się na ulicy, a na dachach domów szaleją wszędobylskie małpy.

Agra liczy obecnie milion mieszkańców. Znajduje się tu jedna z baz lotniczych. Funkcjonuje również uniwersytet, założony w 1927 r. Na marginesie trzeba jednak dodać, że 28% mieszkańców to analfabeci. Posługują się oni trzema językami: hinduskim, udu i angielskim.

Następny i już ostatni etap podróży to Dżajpur. Przejeżdżamy stan Radżasthan, drugi co do wielkości w Indiach. Stan ten w 60% to pustynia. Na pozostałych terenach uprawia się proso, jęczmień, sorgo, pszenicę, kukurydzę. Hoduje się też bydło, konie, węży. Jeśli idzie o te ostatnie, to są one bardzo pożyteczne, gdyż zjadają szczury, które niszczą 25% plan-

tacji. W Indiach żyje też kilka gatunków kobry. Przebywają one głównie na drzewach sandałowych. Wyrąb tych drzew jest więc niebezpieczny. Rocznie 10 tys. osób umiera od ukąszenia tych wężów.

W tym stanie wydobywa się kamienie szlachetne, półszlachetne i srebro.

Za czasów brytyjskich stan ten miał największą niezależność. Od IV do XIX w. obowiązywał tu zwyczaj samobójstwa żony po śmierci męża. Obecnie ten preceper jest zabroniony. Mężczyźni noszą tu kolorowe turbany.

Po drodze, zauważamy duże stada sępów, które krążą nad domami albo siedzą na murkach, wyciągając swe długie, nagie szyje. Nie jest to widok przyjemny, raczej wzbudzający grozę. W Indiach jest bardzo dużo tych drapieżnych ptaków, pożytecznych w tym upalnym klimacie, spełniają bowiem rolę czyścicieli padliny.

Dżajpur (ang. Jaipur) – różowe miasto – zostało założone w 1728 r. Nie chlubi się więc zbyt długą historią. Wjeżdżamy drogą królewską. Przy wjeździe króla, kobiety stały szpalerem i rzucały mu pod nogi kwiaty i chusty.

Dżajpur z trzech stron jest otoczony wzgórzami, które zawierają czerwony kamień. Stąd nazwa miasta.

Zatrzymujemy się w wytwornym hotelu „Manshingh”. Wszędzie marmury, kwiaty, dywany, dyskretna hinduska muzyka, bezszelestna obsługa. Stwierdzamy, że im dalej od Delhi, tym standard wycieczki się podnosi.

Następnego dnia udajemy się najpierw do Amber (obecnie Amer) – Poranne Niebo – starej stolicy książąt, która znajduje się niedaleko Dżajpuru. Do pałacu Amber jedziemy na słoniach, których stanowiska znajdują się u podnóża góry, na której szczycie wznosi się pałac. Wsiadanie na słonia odbywa się następująco. Podchodzi się do rampy z daszkiem, chroniącym od słońca i kiedy podejdziesz słoń, który ustawia się bokiem, siada się na siedzeniu w rodzaju koszyka, umieszczonego na jego grzbiecie. Z jednej strony siadają dwie osoby, następnie słoń się odwraca i podchodzi ze strony przeciwnej, aby zabrać następne dwie osoby. Przed spadnięciem z siedzenia chroni zamykany z przodu metalowy pręt, którego można się również przytrzymać. W sumie więc każdy słoń niesie na swym grzbiecie czterech turystów i poganiacza, który kłęczy mu na szyi między uszami. Słoń jest pięknie ubrany we wzorzystą kapę, wykończoną falbaną w jednym kolorze. Każdy jest przybrany inaczej. Głowy mają przystrojone metalowymi błyskotkami. Majestatycznym, kołyszącym krokiem dźwigają nas ciągle pod górę. Za nami i przed nami cały ciąg słoni z turystami. Mijają nas, w dół kroczą już bez obciążenia.

Dojeżdżamy do dużego dziedzińca. Tu zsiadamy ze słoni i natychmiast zjawiają się chłopcy, którzy ro-

bili zdjęcia na dole przy wsiadaniu, aby nam wręczyć gotowe dowody naszej odwagi, oczywiście za odpowiednią i zawyżoną opłatą. Ich bystrość wprowadziła nas w zdumienie, gdyż bezbłędnie trafiali do adresata.

Przy wejściu do pałacu, na schodach, murkach i drzewach pełno małp. Trzeba było zachować ostrożność, gdyż bywają dość agresywne.

Brama, która prowadzi do pałacu została wybudowana w 1639 r. Nad nią wizerunek Gamisa, syna Sziwy. Sala audiencyjna również bez ścian jak w Agrze. Godne uwagi w tym pomieszczeniu są kapitele, które u góry mają kształt trąby słonia. Dalej „Ściana Szczęścia” z kolorowymi dekoracjami i amforami. Jest tu również pomieszczenie przypominające naszą łazienkę z prysznicem. Wnoszono tu wodę wiadrami. Widać, że zachowywanie higieny mieszkańców pałacu nie było obce.

Na terenie Fortu za pałacem znajduje się budynek z XVII w., który ma dwa dziedzińce. Była to siedziba generalnego wodza Mogołów – Manshingha. Miał on 12 żon, które mieszkaly w następnych zabudowaniach wzniesionych w czworobok. Każdy budynek zajmowały 3 żony. Pośrodku czworoboku znajdują się arkady. Tu było miejsce gdzie się spotykały. Miejsce pierwszej żony było wyłożone dywanami. Meble z tych obiektów znajdują się obecnie w Dżajpurze.

Władca tej rezydencji – Czandra Mahal – był olbrzymiej postury, mierzył ponad 2 m i ważył 240 kg. Jego szaty można również obejrzeć w muzeum.

Przechodzimy do Szklanego Pałacu, największego w Indiach. Obserwujemy ciekawe zjawisko, w szklanym suficie odbija się kolor ubrania. Zachwycają marmurowe kolumny całe pokryte płaskorzeźbami w formie kwiatów oraz motyli z oczami z czarnego marmuru.

W sypialni władcy nie ma okien, jest ciemno. Przewodnik zapala świecę i w tym momencie na suficie ukazują się gwiazdy. Jest to urzekające zjawisko. Sypialnie była kiedyś oświetlona lampami oliwnymi.

Do stóp góry, na której wznosi się piękna i oryginalna rezydencja letnia władców Dżajpuru, wracamy już pieszo, gdyż schodzenie w dół nie jest męczące, a dostarcza dodatkowych doznań estetycznych. Schodząc, podziwiamy rozciągające się przed nami dalekie widoki pól uprawnych, domków w otoczeniu zieleni krzewów i ludzi pracujących na roli, niestety w większości posługujących się wołami.

Wracamy do Dżajpuru, aby kontynuować zwiedzanie.

W Dżajpurze (ok. 1 mln mieszkańców) istnieją zachowane mury obronne o długości 15 km. Pozostał też pierwotny układ urbanistyczny. Niebezpieczeństwo ze strony wroga było sygnalizowane uderzeniami w bębny i wówczas bramy były zamykane.

Zatrzymujemy się przy drugim sławnym zabytku architektonicznym Dżajpuru, przy Pałacu Wiatrów, również rezydencji Czandra Mahal. Jest to pałac otoczony wspaniałymi ogrodami, charakteryzuje się nietypową architekturą, ma bardzo cienkie mury (25 cm), wznosi się na wysokość 5 pięter. Ostatnim władcą, który tu mieszkał, był Jaising II. Pałac Wiatrów został wybudowany w końcu XVIII w.

Na terenie pałacu są dwa muzea. Znajdują się tu wspomniane już wspaniałe szaty Czandra Mahala, tego olbrzymiego władcy, ubiory kobiece, dziecięce na różne okazje, tkane złotą nitką. W gablotach figury kobiece w strojach ślubnych. Panna młoda otrzymywała wyroby z 16 kamieni szlachetnych. Są tu eksponowane materiały bawełniane, a także tkaniny, w które ubierali się maharadźowie i ich rodziny, kiedy udawali się do świątyni, materiały wełniane z kaszmiru i haftowane. Różnego rodzaju naczynia.

W sali audiencyjnej, dwie olbrzymie kany srebrne, ważące po 350 kg i mieszczące 9 tys. litrów wody, przepiękne żyrandole z czeskiego kryształu. Podłoga wyściełana dywanami.

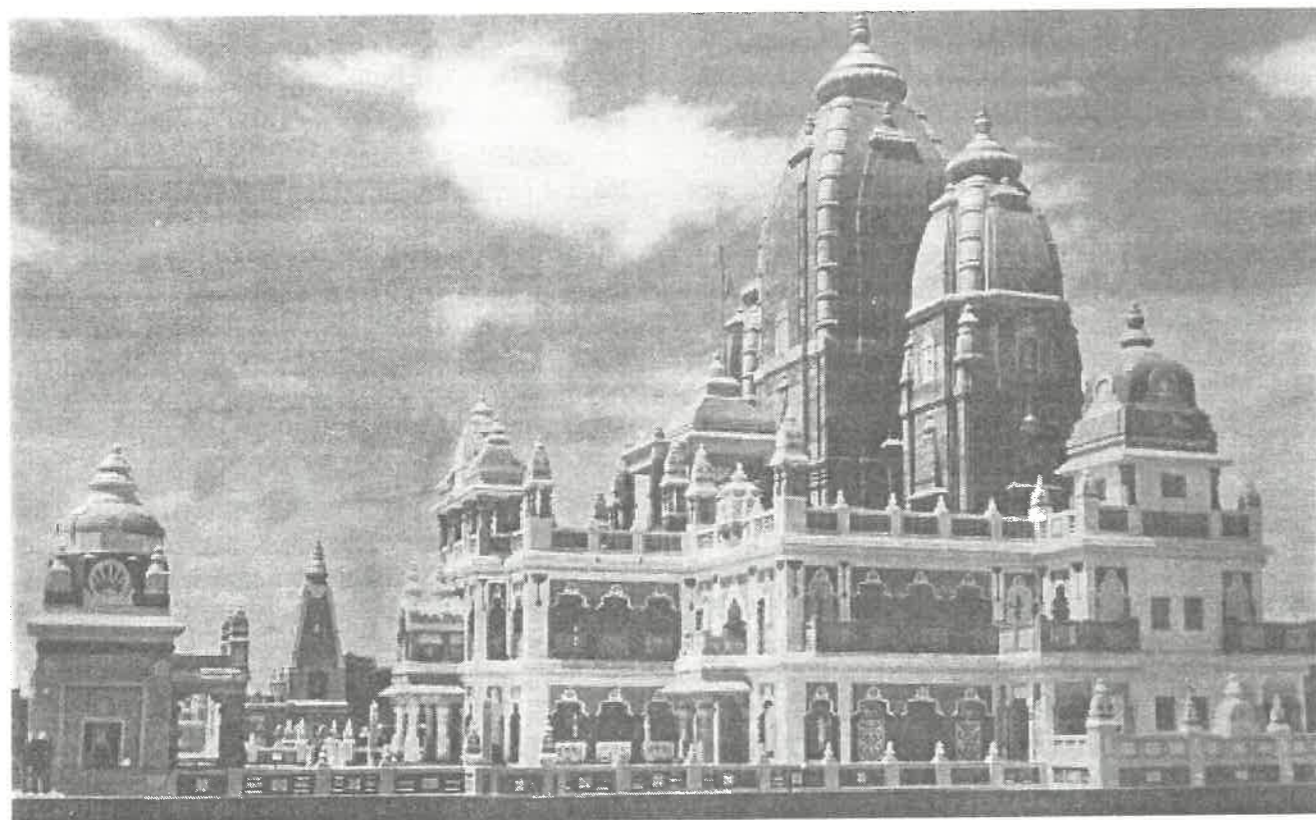
W drugim muzeum sala balowa, z cudownym kryształowym żyrandolem i 9 mniejszymi. Pośrodku lektyka maharadży z drewna sandałowego, pokrytego złotem, ołtarzyk boga Kriszny. W bocznej gablocie figura konia, na którym władca grał w polo. Na ścianach portrety władców. Naszą uwagę zwraca duży obraz

przedstawiający sultana-grubasa w łódce z ośmioma osobami, które go równoważą, aby łódka się nie wywróciła. Jest to niespotykane dzieło malarskie, nie z uwagi na wartość artystyczną, ale oryginalność tematu. W tym muzeum na ścianach wiszą olbrzymie dywany od sufitu do podłogi (a sala jest bardzo wysoka).

Odwiedzamy jeszcze świątynię Kali, bogini wojny. Wchodzimy bez obuwia, a nawet skarpetek. Świątynia ma ściany pokryte płaskorzeźbami z alabastru. Tu składano ofiary ze zwierząt, które do godziny 12⁰⁰ powinno się zjeść. Zostajemy przez kapłana naznaczeni łaską, w postaci czerwonej kropki między brwiami i namaszczeni wonnymi olejkami. Wnętrze tej świątyni jest mroczne, co stwarza odpowiedni nastrój powagi.

W Dżajpurze znajduje się również muzeum broni, które zostało wybudowane w latach 1718–1734 i jest największym tego typu muzeum. Są też resztki obserwatorium astronomicznego na wolnym powietrzu z zegarem słonecznym wskazującym miejscowy czas. Odbywamy przyjemny spacer wśród zieleni i kwitnących krzewów.

Do Delhi wyjeżdżamy następnego dnia już o 6⁰⁰ rano. Tym razem wjeżdżamy do stolicy od strony Nowego Delhi. Co za kontrast. Zamiast slumsów – piękne wille, rezydencje otoczone roślinnością i przystrzyżonymi trawnikami. Jest to inny, ten lepszy obraz Indii, tylko czy prawdziwy?



Nowa Delhi

ze zbiorów A. Dąbrowskiej

ANNA PILARSKA

Viva Espania

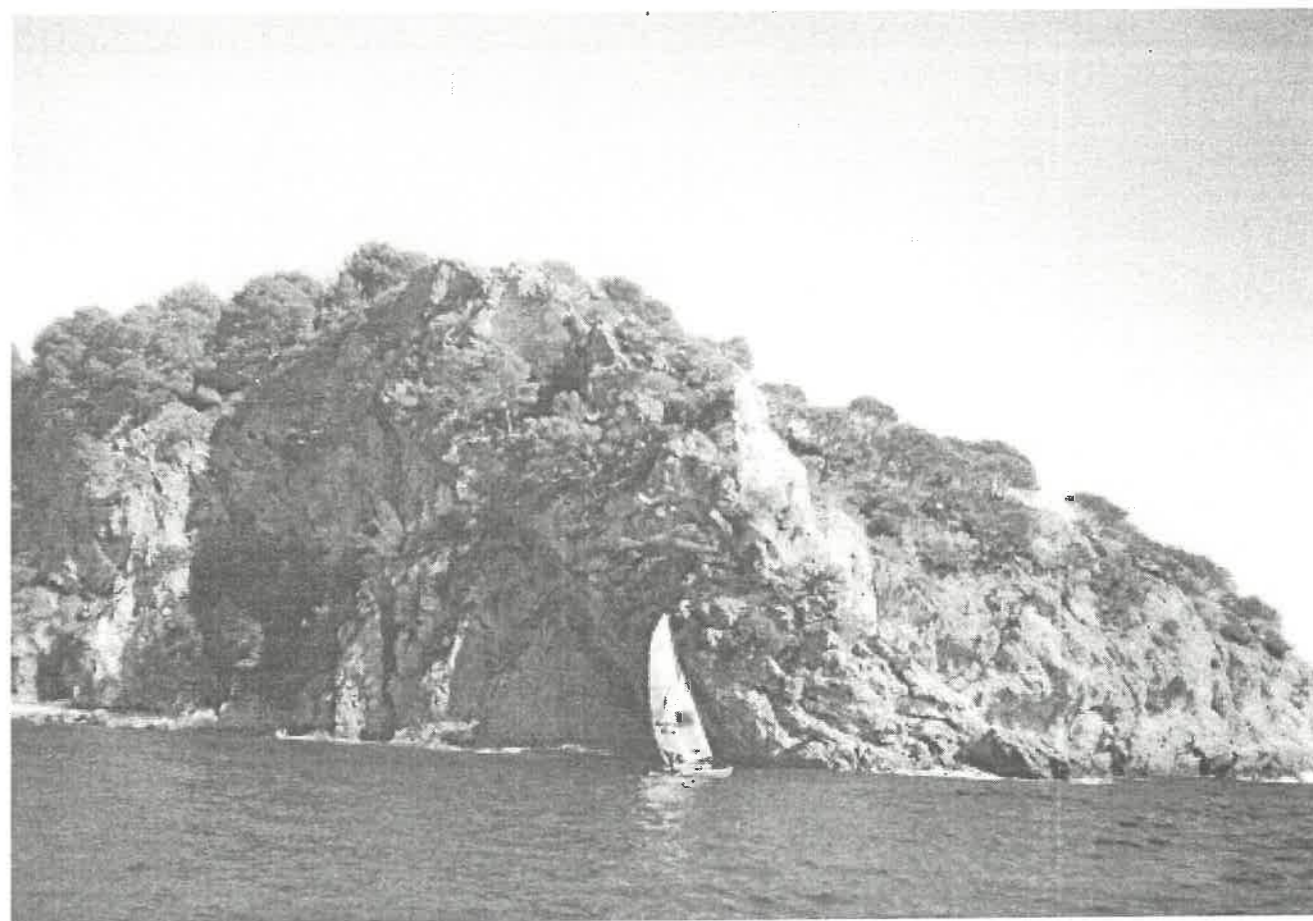
Costa Brava i Costa Maresma przyciągają turystów spragnionych ciepła, morskich kąpeli, pięknych widoków i dobrych hoteli zapewniających wygodny i miły odpoczynek.

Costa Brava – dzikie wybrzeże – poszarpane wybrzeże – rozciąga się na przestrzeni 60 km od granicy francuskiej do Blanes. Jest to wyjątkowo piękna część hiszpańskiego wybrzeża śródziemnomorskiego z wysokimi, częściowo zalesionymi wzgórzami dochodzącymi do morza, z niewielkimi zatoczkami z piaszczysto-kamienistymi plażami, będącymi świetnymi miejscami do kąpeli dla tych, którzy szukają do odpoczynku miejsc zacisznych i kameralnych.

Nad większymi zatokami Costa Brava znajdują się pełne uroku stare porty rybackie, które rozbudowały się w modne, wygodne miejscowości wypoczyn-

kowe takie jak: Blanes, Lloret de Mar, Tossa de Mar, Sant Feliu de Guixols, Palamos.

By móc odkryć piękno Costa Brava, trzeba wybrać się na rejs statkiem (*cruceros*) wzdłuż wybrzeży. Rejs zaczyna się w Blanes, jednej z ładniejszych miejscowości Dzikiego Wybrzeża, położonej nad malowniczą zatoką między skalistymi wzgórzami Sa Palomera i półwyspami Santa Anna. Największą atrakcją Blanes jest niewątpliwie Ogród Botaniczny (Botanic Mar i Murtra), przepięknie wysoko położony wśród skał nad brzegiem morza, o powierzchni 5 ha. Można tutaj dojechać z ronda, obok nadmorskiej promenady, specjalnym odkrytym samochodem. Podczas drogi do ogrodu, prowadzącej w górę krętymi, wąskimi uliczkami można podziwiać przepiękne widoki na port, miasto i niebieskie morze.



Costa Brava

fot. Anna Pilarska



Blanes – Ogród Botaniczny

fot. Anna Pilarzka

W ogrodzie wśród ponad 3 tys. egzotycznych roślin znajdują się dorodne odmiany często bardzo wysokich palm, hibiskusy, fuksje, oryginalne ponad 3-metrowe białe trawy ozdobne, paprocie, las bambusowy, owocujące drzewa bananowe, mandarynkowe, granaty, kwitnące juki, areokarie, figowce. Pergole, otaczające staw ze złotymi i czerwonymi rybkami, obrośnięte są oryginalnymi kwitnącymi krzewkami o wielkich kolorowych, wydłużonych kielichach oraz różami. Bogata jest również kolekcja kaktusów: okrągłych i strzelistych, kolczastych i kudłatych, zielonych i prawie czarnych, kwitnących małymi, delikatnymi lub dużymi efektownymi kwiatami, a także z dojrzałymi jasno-wiśniowymi podłużnymi owocami, chętnie zjadanymi przez ludzi i ptaki.

Do punktów widokowych i romantycznej altanki z czerwoną kopułą na białych kolumnach, znajdujących się nad samym urwistym brzegiem, skąd rozciągają się rozległe widoki na Costa Brava i pływające po morzu statki i żaglówki, prowadzą piękne aleje cyprysowe, palmowe lub obsadzone krzewami strzyżonymi w różne geometryczne kształty. Na klombach rośnie mnóstwo ślicznych kwiatów. Różne kolory i odcienie kwitnących fiołków alpejskich z daleka przyciągają uwagę zwiedzających.

Z Ogrodu Botanicznego warto zejść ciekawą widokowo drogą do portu, gdzie trzeba odwiedzić późnym popołudniem targ rybny. Panuje tutaj gorączkowa, handlowa atmosfera. Na świetlnych tablicach ukazują się nazwy, ceny i waga ryb przeznaczonych do sprzedaży. Ludzie zaopatrujący swoje sklepy, restauracje, smażalnie ryb za pomocą radiotelefonów natychmiast reagują na podawane informacje i dokonują zakupów. W skrzyniach różnej wielkości poukładanych na posadzce można zobaczyć wszystkie gatunki ryb wyłowionych w danym dniu z morza. Jedna z apetycznych „rybek” ważyła 30,8 kg.

Obok targu w rybnej restauracji można spróbować wielu ciekawych potraw, następnie przejść się długim falochronem otaczającym port, do którego przybijają kutry rybackie, a trochę dalej cumują jachty. Wzdłuż zatoki usytuowane są domy mieszkalne, w których parterowe pomieszczenia zajmują sklepy, restauracje, kawiarnie. Między nimi a morzem ciągnie się efektowna, otoczona bujną roślinnością promenada. Można tutaj odpocząć na solidnych, wielkich, wygodnych, drewnianych ławach. Warto też wejść wąską drogą na skalistą wyspę, ze szczytu której wspaniale widać panoramę miasta.

Blanes, dawna osada rzymska, w której mieszka obecnie ok. 25 tys. mieszkańców, jest kurortem z ładną, piaszczystą plażą.

W porcie Blanes rozpoczynamy rejs po Morzu Śródziemnym wzdłuż wybrzeży Costa Brava. Na pokład statku wsiada się po trapie prosto z plaży. Uroczę wzgórze, częściowo porośnięte lasami, małe skaliste przybrzeżne wysepki, niewielkie zatoczki, niebieski kolor wody morskiej i błękit nieba zachwycają nas turystów.

W pierwszej większej zatoce, w szczególnie pięknej części Dzikiego Wybrzeża, położone jest miasteczko Lloret de Mar, do którego wpływamy, by zabrać kilka osób. Lloret jest kurortem nastawionym na zaspokajanie wymagań nawet najwybredniejszych wczasowiczów. Można tutaj znaleźć całe kompleksy rekreacyjno-sportowe z kortami tenisowymi, polami golfowymi, basenami. Zwolennicy windsurfingu, żeglarstwa, nart wodnych i pływania mają świetne warunki do uprawiania swoich ulubionych sportów. Na głodnych i spragnionych czeka mnóstwo restauracji, pubów, pizzerii, kawiarenek, barów, które oferują najróżniejsze przysmaki i napoje. Nie brakuje również nocnych klubów i dyskotek.

Płynąc dalej, co pewien czas mijamy położone wśród skał stare baszty i ruiny zamczysk. Na wodzie unosi się wiele mew, które tutaj wcale nie leżą za statkiem. Po około 45 min. od Lloret de Mar dopływamy do Tossy, jednego z najpiękniejszych miasteczek śródziemnomorskiego wybrzeża. Z daleka już widać na wzgórzu ruiny średniowiecznego zamku i mury obronne. Miasteczko malowniczo rozciąga się wzdłuż zatoki. Balkony domów wyglądają jak wiszące, kolorowe ogrody nad piaszczystą, szeroką plażą. Będąc w Tossa, koniecznie trzeba wejść na dawne wzgórze zamkowe. Spod ruin kaplicy z zachowanymi resztkami krzyżowego sklepienia rozpościera się wspaniały widok na to wyjątkowe miasteczko, zatokę i morze. Efektownie prezentuje się górująca nad okolicą, ciekawie zwieńczona baszta, zbudowana z jasnego kamienia.

Ponieważ nasz statek zostawił nas w Tossa na dosyć długo, po zwiedzeniu miasteczka, płyniemy na 40-minutowy rejs wzdłuż wybrzeża niewielkim stateczkiem ze szklanym dnem przez które możemy obserwować podwodny świat. Jestem zachwycona wyjątkową czystością dna morskiego. Nie ma tutaj żadnych, nawet najmniejszych zanieczyszczeń. Oglą-



Tossa – widok ze wzgórza

fot. Anna Pilarzka

damy ławice ryb i pojedyncze duże okazy pływające między wodorostami. W niektórych miejscach przepływamy tuż nad wielkimi kamieniami. Wydaje się, że zaczepimy o nie, ale czujne oko kapitana zapewnia nam bezpieczeństwo. Wpływamy do środka wąskich zatoczek, wyżłobionych przez wodę wśród skał. Są tak wąskie, że ledwo mieści się w nich nasze niewielkie „pływające obserwatorium”.

Gdy powracamy na morze, uwagę naszą przyciągają siedzące na małych skalistych wysepkach eleganckie czaple. Niezapomniane wrażenie stwarza możliwość oglądania na zmianę życia w morzu i widoków nad jego powierzchnią. W pobliżu zatoczek z piaszczystymi plażami mijają nas pływające katamarany i żagłówki z barwnymi żaglami.

W drodze powrotnej mamy jeszcze trochę czasu na oglądanie Tossy. Zachwyceni tym wyjątkowo urzekającym miasteczkiem wsiadamy na czekający na nas statek, by dalej podziwiać oświetlone słońcem wybrzeże Costa Brava. Płynące z głośników nastrojowe melodie i białe fantazyjne obłoki na błękitnym niebie dodatkowo podkreślają urodę tego miejsca i sprawiają, że chciałoby się płynąć jeszcze bardzo, bardzo długo. Ale ponieważ nic nie trwa wiecznie, nasz statek

wpływa do portu w Sant Feliu de Guixais, gdzie kończy się nasz przepiękny rejs. Czeką na nas już wygodny autokar, który wijącą się wzdłuż brzegów, ładną widokowo drogą dowozi do następnego wypoczynkowego miasteczka La Platja d'Oro (Złota Plaża). Główną atrakcją jest tutaj 3-kilometrowa, szeroka plaża, z którą sąsiadują wysokie, niezbyt efektowne hotele. Kąpiel jest tutaj wspaniała. Ostatnim punktem programu całodziennego wycieczki była wizyta w winiarni i degustacja win i likierów. Z dziesiątek beczek z winami i likierami można było próbować te doskonale hiszpańskie trunki. Przy muzyce wyśmienicie smakowały niemal wszystkie.

Z wycieczki wszyscy wracaliśmy do hotelu w doskonałych humorach. Wracaliśmy do Santa Susana, gdzie w przyjemnym, wygodnym hotelu „Alhambra” spędziliśmy urlop. Santa Susana jest hotelową dzielnicą Malgat de Mar, piętnastowiecznego miasteczka katalońskiego, znajdującego się na Costa del Maresme, części wybrzeża śródziemnomorskiego, ciągnącego się od Blanes do Barcelony.

Costa del Maresme jest jedną niemal wielką, szeroką plażą, ciągnącą się na przestrzeni prawie 50 km. Piasek jest tutaj gruboziarnisty, co sprawia, że nie



Santa Susana – hotelowa dzielnica Malgat de Mar

fot. A. Pilarska

przyklepia się do ciała po kąpieli i nawet przy dużym wietrze nie sypie nim w oczy. Woda do kąpieli jest wspaniała i nawet na początku października można kąpać się kilka razy dziennie. Można też spacerować plażą do następnych miejscowości położonych wzdłuż Wybrzeża Śródziemnomorskiego takich jak: Pineda de Mar czy Calella.

Santa Susana, położona pomiędzy morzem a wzgórzami, jest świetnym miejscem na odpoczynek. Wszystkie hotele położone są bardzo blisko plaży, mają własne baseny wśród egzotycznej roślinności z leżakami i łózkami do opalania, siłownie oraz różne przybory i przyrządy do uprawiania sportów. Codziennie wieczorami w trakcie spacerów po Santa Susana cały czas słychać muzykę. Przed niemal każdym hotelem można zobaczyć uroczę Hiszpanki tańczące flamenco, przystojnych Hiszpanów grających świetnie na gitarach lub posłuchać hiszpańskich melodii i piosenek w wykonaniu niewielkich zespołów muzycznych i solistów. Najczęściej wykonywana jest piosenka *Viva Espania*, którą niegdyś w Sopocie śpiewała wyjątkowo żywiołowa i piękna Conchita Bautista.

W przeciwieństwie do włoskich i francuskich kurortów, tutaj, w katalońskiej części wybrzeża, turysta może wejść do każdego hotelu, by posłuchać muzyki, zobaczyć pokazy flamenco, pospacerować po efektownych wnętrzach. Dużą atrakcją i ozdobą są szklane, ciekawie oświetlone windy jeżdżące po zewnętrznej stronie fasad hoteli. W windach dyskretnie rozbrzmiewają melodie, a w czasie jazdy można oglądać okolicę z wysokości kilku pięter. Wszędzie dookoła piękne palmy, kaktusy, kwiaty, równo ostrzyżone trawniki. Kawiarenki, restauracje, snack-bary, lodziarnie oferują różne smaczne dania i desery, oczywiście przy muzyce.

W jednym z pasaży na spragnionych mocnych wrażeń corridy oczekuje spory byk na sprężynie uruchamiany żetonem. Siadającego nań torreadora tak mocno wytrzęsie, aż nieszczęśnik wśród śmiechów i dopingów publiczności, znajdzie się na gumowym materacu. Nawet najbardziej wysportowani chłopcy mają duże trudności z pokonaniem tego sprężynowego postrachu młodych torreadorów.

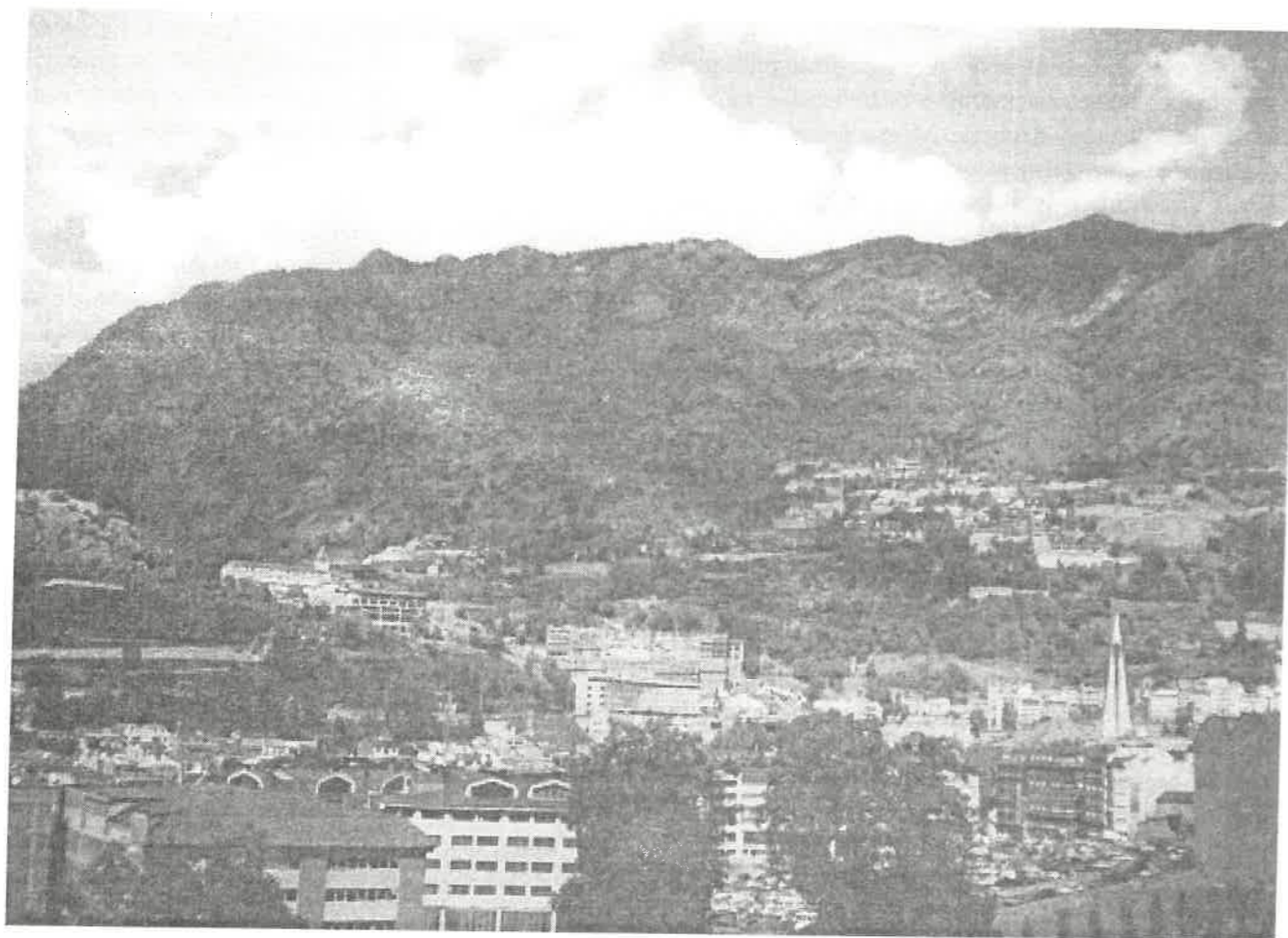
Na ciekawy spacer można wybrać się również na pobliskie wzgórze, skąd roztaczają się widoki na miasteczko i morze, a po drodze zachwycają pięknie kwitnące różnokolorowe hibiskusy i obsypane amarantowymi kwiatami egzotyczne pnące rośliny, owocujące cytryny, mandarynki, granaty, palmy otaczające eleganckie, wygodne wille i rezydencje. Santa Susana oprócz świetnych warunków do wypoczynku oferuje możliwość uczestniczenia w wielu ciekawych wycieczkach do zabytkowych miejsc.

Na pierwszą wycieczkę wybraliśmy się do Andorry, księstwa położonego w Pirenejach na obszarze 450 km², jednego z najbogatszych krajów Europy, żyjącego głównie z handlu i turystyki. W Andorze nie obowiązuje żaden podatek dochodowy ani żaden podatek bezpośredni. Jest to obszar wolnościowego handlu alkoholem, papierosami i elektroniką. Księstwo zamieszkuje ok. 60 tys. Andorrańczyków. Oficjalnym językiem jest kataloński, obowiązującą walutą frank francuski i pesety hiszpańskie.

Będąc w stolicy Andorry – La Vella, położonej na wysokości 1000 m, warto wejść na wzniesienie znajdujące się wzdłuż głównej ulicy (m.in. nad wielkim supermarketem „Andorra 2000”), żeby zobaczyć ciekawe położenie miasta wśród wysokich gór. Do Andorry warto wybrać się ze względu na piękną widokowo drogę wiodącą wśród gór, przecinającą wiele dolin rzek, biegnącą nad szerokim zalewem oraz przez ciekawe miasteczka.

Miejscem, które w Katalonii trzeba odwiedzić, jest wapienny masyw górski Montserrat. W dosłownym tłumaczeniu nazwa oznacza przepiłowaną górę. Jest to miejsce niezwykle. Skały wyrzeźbione przez wodę i wiatr mają niepowtarzalne kształty. Patrząc na skały, ma się wrażenie, że są to zakłęci w skały mnisi w kapturach, wyłaniający się z lasów i zarośli. Masyw górski wznosi się grzebieniastym urwiskiem nad wąwozem rzeki Llobregat na wysokości do 1235 m n.p.m. Ma 10 m długości i 5 m szerokości. To właśnie w tym wyjątkowym miejscu Ryszard Wagner wyobraził sobie zaczarowany zamek świętego Grala, w operze *Parsifal*.

W Montserrat na wysokości 725 m, w miejscu otoczonym dookoła górami, w 1030 r. benedyktyni wybudowali klasztor, który w XIII w. zrekonstruowano w stylu gotyckim. Był jednym z najbardziej liczących się w Europie Zachodniej ośrodkami studiów teologicznych. Klasztor z renesansowym kościołem z drugiej połowy XVI w. tworzą imponujących rozmiarów obiekt wzniesiony na tak znacznej wysokości. Nie bez powodu benedyktynów uważa się za ludzi wyjątkowo pracowitych. Najlepszym przykładem jest niewątpliwie Montserrat. Miejsce to jednak jest znane na całym świecie dzięki 90-centymetrowej figurce Najświętszej Marii Panny – Morenecie – znajdującej się w niszy nad głównym ołtarzem. Do Morenety – Madonny o czerniałej twarzy przyjeżdżają pielgrzymki z całej Europy. Najprawdopodobniej twarz Morenety poczerniała od kadzideł i dymu świec palonych tutaj od wieków. Legenda głosi, że figurka została znaleziona w grocie Santa Cueva (Grotta Dziewicy) w górach Montserrat w 880 r. Historycy sztuki uważają jednak, że pochodzi ona z końca XII wieku. Odwiedzając klasztor, warto poczekać na wy-



La Vella – stolica Andorry

fot. Anna Pilarska

stęp doskonałego chłopięcego chóru „Escolania” klasztornej szkoły muzycznej, założonej w 1498 r. Można go codziennie usłyszeć: o godz. 11⁰⁰ podczas mszy gregoriańskiej, o godz. 13⁰⁰ i 18⁴⁵ podczas nieszporów. Przed wejściem na teren klasztoru, na małym targu można kupić różne smakołyki przygotowywane przez zakonników, jak: miody, zioła, serki z miodem, nalewki.

Niezwykle cenne galerie obrazów znajdują się w Muzeum de Montserrat, a bezcenne dzieła sztuki w skarbcu klasztornym.

Jeżeli mielibyśmy więcej czasu, w Montserrat można wybrać się na wycieczkę kolejką linowo-szynową na szczyt San Juan (970 m) lub kolejką linową do grotty Santa Cueva. Ze szczytu San Juan widać nie tylko wyjątkowe skały masywu Montserrat, ale również w oddali ośnieżone Pireneje. Zjeżdżając autokarem krętymi serpentynami spod klasztoru, uświadamiamy sobie, jak wielkim wysiłkiem było wybudowanie tak dużego zespołu klasztorowego na tak znacznej wysokości.

Przez Santa Susana co pół godziny kursują pociągi z Barcelony do Banes. Jazda takim pociągiem

jest wielką przyjemnością. Niezwykle czyste, szybkie, wyciszone w środku, z pełną klimatyzacją, wygodnymi fotelami, dyskretnie brzmiącą muzyką. Na świetlnej tablicy pojawia się przemiennie: nazwa najbliższej stacji, temperatura i godzina. Pociągi jeżdżą bardzo punktualnie.

Do Barcelony można wybrać się indywidualnie pociągiem albo na wycieczkę autokarową, których wiele organizują wszystkie hotele. Podczas jednodniowego pobytu w Barcelonie, stolicy Katalonii, miejsce przepięknie położonym między górami i morzem, nie sposób poznać wszystkich jego ciekawych miejsc, zabytków, zakątków. Można zobaczyć jedynie te najbardziej znane i przekonać się, że trzeba do Barcelony przyjechać na znacznie dłużej.

Barcelońskie stare miasto – La Ciutat Vella – rozciąga się na północny zachód od portu na przestrzeni 1,5 km w kierunku południowym. Centrum Starówki stanowi Barrio Gótico. Tutaj na przestrzeni 500 m² usytuowanych jest wśród średniowiecznych, wąskich uliczek i zaułków wiele zabytkowych gotyckich domów i kościołów, z których najważniejsza jest katedra św.

Eulalii (Santa Eulalia). Ta katedra barcelońska (La Seu) zaliczana jest do najwspanialszych budowli gotyckich w Hiszpanii. Główny gotycki ołtarz, pod którym znajduje się krypta z sarkofagiem – relikwiarzem patronki św. Eulalii, otacza 29 kaplic bocznych, gdzie można zobaczyć wspaniałe dzieła sztuki gotyckiej. Trzynawowa katedra o długości 85 m, szerokości 37 m i wysokości 25,5 m stoi na miejscu starej bazyliki zburzonej przez Maurów w 985 r. Budowana przez

królów aragońskich od końca XIII do połowy XV w. z główną fasadą neogotycką ukończoną w 1892 r.

Najbardziej znaną budowlą Barcelony jest niepowtarzalna La Sagrada Familia, kościół św. Rodziny, wybitne dzieło wyjątkowego artysty katalońskiego Antonio Gaudiego. Sagrada Familia miała być kościołem pokutnym, wybudowanym z funduszy publicznych. Inspiratorem jej budowy był Josep Bacabella, wydawca kataloński, który powierzył zlecenie architektowi France-



La Sagrada Familia – kościół św. Rodziny

fot. Bogdan Pilarski

sco de Paula Villarowi. Planował wybudowanie skromnego kościoła w stylu neogotyckim. Pracę nad nim rozpoczął w 1882 r. Wskutek różnicy zdań pomiędzy zleceniodawcą a budowniczym, po dwóch latach dalszą realizację powierzono innemu architektowi Antonio Gaudiemu. Zmienił on całkowicie koncepcję budowy kościoła, która stała się dziełem jego życia, poświęcił mu 40 lat. Przez kilkanaście lat mieszkał nawet w warsztacie na placu budowy, cały swój czas, umiejętności i serce poświęcił Sagrada Familia. Aż do śmierci w 1926 r. realizował coraz nowsze rozwiązania i pomysły. Gaudi zmarł w szpitalu w wyniku wypadku tramwajowego. W ostatniej drodze żegnała go cała Barcelona.

Kościół mimo trwających od końca lat pięćdziesiątych prac budowlanych, pozostaje nadal budowlą nieskończoną. Niestety plany i modele Gaudiego w 1936 r. zniszczone zostały przez anarchistów. Dyskusje na temat ukończenia obiektu trwają. Jedni uważają, że budowlę powinno się pozostawić tak, jak skończył ją Gaudi, inni twierdzą, iż Gaudi chciał, by każde pokolenie kontynuujące ją, realizowało budowę we własnym stylu.

Wielka fasada kościoła zaprojektowanego przez Antonio Gaudiego jest imponująca. Stożkowate, ażurowe wieże wznoszą się na wysokość od 112 do 170 m nad poziom posadzki. Miało ich być 18, a pięcionawowa świątynia miała pomieścić wszystkich mieszkańców Barcelony. Część kościoła wykonana przez tego artystę jest wspaniała. Inspirowały go głównie sztuka mauretańska i gotycka, którą uważał za najwspanialszy styl europejski. Na stylu mauretańskim wzorował swoje wieże, powtarzanie motywów, ceramikę, gzymsy, smoki. Inspirowała go też przyroda: drzewa, skały, zwierzęta, ptaki, rośliny. Część dobudowana po śmierci Gaudiego jest zupełnie inna i nie robi już takiego wrażenia.

Gaudi zaprojektował w Barcelonie również niezwykłe domy, jak np. Casa Mila, w elewacji którego nie ma w ogóle linii prostych, Casa Batllo – porównywany przez Salvadora Dali do „spokojnych wód jeziora”, fasada bowiem składa się jakby z fałd skóry, na których umieszczone balkony mają poskręcane fantazyjnie balustrady.

Do wybitnych osiągnięć Gaudiego należy Park Güel położony na wzgórzu, skąd można oglądać widoki Barcelony. Artysta wybudował tutaj oryginalne pawilony, salę kolumnową, olbrzymie jaszczurki, wymyślne ławki, wszystko zdobione ciekawą ceramiką. Na terenie parku znajduje się Muzeum Gaudiego (Casa Museu Gaudi), w którym znajduje się wiele eksponatów związanych z jego życiem i twórczością. Wśród nich są niezwykle interesujące meble zaprojektowane przez niego.

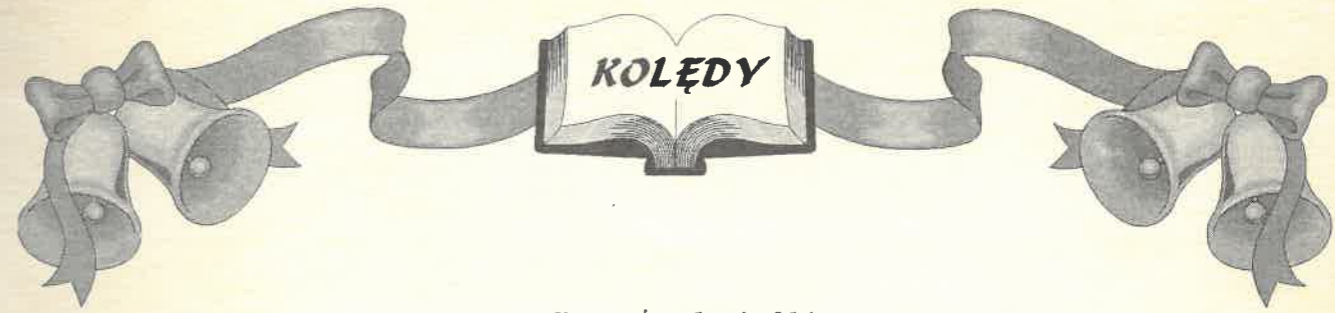
W Barcelonie można zobaczyć bardzo dużo przepięknych budynków z różnych epok historycznych, w różnych stylach, o różnym przeznaczeniu, zaprojekto-

wanych przez wielu wybitnych architektów. Mnie najbardziej zafascynowała twórczość właśnie Gaudiego, chociaż zachwycało mnie mnóstwo miejsc w stolicy Katalonii. W Barcelonie trzeba przespacerować się po szerokiej Ramblas, wyjątkowej ulicy, łączącej port ze starym miastem, podzielonej na 5 części, jakby 5 kolejnych ulic, z których każda następną jest przedłużeniem poprzedniej. Środkiem biegnie aleja wysadzana platanami. Można tutaj zrobić najróżniejsze, nawet bardzo dziwne zakupy, posiedzieć na ławce, popatrzeć na nieruchomych, romantycznych mimów, często wyglądających jak duże figurki z porcelany, posłuchać muzyki w wykonaniu amatorów, artystów ulicznych i studentów szkół muzycznych.

Rambblas zaczyna się przy Placu Katalońskim (Placa de Catalunya) najwyższym, eleganckim placu miasta, z wysokimi fontannami, ogrodami, ławkami i mnóstwem gołębi, a kończy przy Placu Portal de la Pau, na środku którego stoi na 60-metrowej żelaznej kolumnie Krzysztof Kolumb wskazujący morze. Tuż obok w basenie portowym zakotwiczona jest kopia jego karaweli „Santa Maria”. Wielką atrakcją dla turystów jest kolisty Plac Hiszpański (Placa d’Espanya) ze słynnymi magicznymi fontannami. Wieczorem można oglądać tutaj wspaniałe spektakle, podczas których w zmieniających się rytmach muzyki zmieniają się również kolory i natężenie strumienia wody i układają się w najróżniejsze kompozycje. Barcelona ma wiele punktów widokowych: na jednej z wież Sagrada Familia, na kolumnie Kolumba, na górze Tibidabo. Jeżeli mielibyśmy więcej czasu należałoby wybrać się na Montjuic, strome wzgórze, będące największym parkiem miasta oraz centrum kulturalnym. Mieści się tutaj 5 muzeów, wesołe miasteczko, „Hiszpańska Wioska”, piękne ogrody. Turyści interesujący się sportem mogą odwiedzić obiekty olimpijskie wybudowane na wielkie igrzyska w 1992 r. oraz wioskę olimpijską.

Barcelona oferuje mieszkańcom i turystom wyjątkowo dużo możliwości podróżowania po jej ciekawych, rozległych terenach: metro, autobusy miejskie i turystyczne, miejską linię kolejową łączącą przedmieścia z centrum, tramwaje, kolejkę linową oraz kolejkę linowo-szynową. Atrakcją są również rejsy statkiem po porcie.

Na każdym niemal kroku w Barcelonie jest coś ciekawego do zobaczenia. Niezwykle bogate muzea, galerie, zabytki, ogród zoologiczny, ogród botaniczny, wesołe miasteczko, piękne parki, teatry – zapraszają tych, którzy chcą odpocząć, poszerzyć swoje wiadomości o sztuce, nacieszyć się pięknem przyrody. Barcelona na pewno należy do tych miast, które chciałoby się dobrze poznać. Gdy wracam często myślami do pięknej Katalonii razem ze wspomnieniami powracają słowa piosenki *Hej viva Espania*.



Jezus malusieńki...

Jezus malusieńki, leży wśród stajenki,
Placze z zimna, nie dała Mu Matula sukienki.

Pokłon oddawajmy, Bogiem Je wyznajmy.
To Dzieciątko ubożuchne ludziom ogłaszajmy.

Bo uboga była, rąbek z głowy zdjęła,
W który Dziecię owinąwszy, siankiem Je okryła.

Niech Je wszyscy znają, serdecznie kochają,
Za tak wielkie ponizenie chwałę Mu oddają.

Nie ma kolebeczki ani poduszczeni,
We źłobie Mu położyła siana pod główeczki.

O, Najwyższy Panie! Waleczny Hetmanie!
Zwycięzonym, mając rączki miłością związane.

Dziecina się kwili, Matusieńka lili,
W nóżki zimno, źłóbek twardy, stajenka się chyli.

Leżysz tam, na sianie, Królu nieba, ziemi
Jak baranek na zabicie na moje zbawienie.

Matusia truchleje, serdeczne łzy leje:
„O, mój Synu! Wola Twoja, nie moja się dzieje.

Pójdź do serca mego, Tobie otwartego,
Przysposób je do mieszkania i wczasu Swojego.

Przestań płakać, proszę, bo żalu nie zniosę,
Dosyć go mam z męki Twojej, którą w sercu
noszę”.

Albo mi daj Swoje, wyrzuciwszy moje,
Tak będziesz miał godny pałac na mieszkanie
Twoje.



Je- zus ma- lu- sień- ki, le- ży na- gu- sień- ki,



Pia- cze z zimna, nie da- ła Mu Ma- tu- la su- kien- ki.





graf. T. Grzeszczak